

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

MAJ 2024 // NR 5/1277 // CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

CO TY WIESZ o emeryturach?

Żyjemy coraz dłużej, a świadczenia emerytalne topnieją. Będzie nas też coraz mniej. Najwyższy czas sprawdzić, czy warto pracować krócej i jak zebrać kapitał, który zabezpieczy emeryturę.

”

Prof. Gertruda Uścińska,
była prezes ZUS:

Jeśli weźmiemy pod uwagę nowe, zmieniające się corocznie tablice długości życia, okaże się, że przejście na emeryturę pięć lat później znacząco podwyższy świadczenie. Emerytura to nie obowiązek, to uprawnienie.



„POZIOM WIEDZY FINANSOWEJ POLAKÓW 2024”

Coroczne badanie wykazuje, jak mało wiemy o finansach, oszczędzaniu i inwestowaniu. Choć zdajemy sobie sprawę z naszej niewiedzy – po informacje sięgamy głównie do internetu.

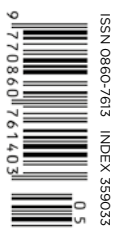
DEMOGRAFIA ZMIENI ŚWIAT

Rządy muszą zaplanować reakcje na pojawiające się zagrożenia dla gospodarki, bezpieczeństwa żywnościowego, zdrowia, środowiska i bezpieczeństwa geopolitycznego spowodowane zmianami demograficznymi.

”

Bartosz Marczyk,
wiceprezes PFR:

Nie wiem, co z polityki przeciwdziałania zapaści demograficznej zostanie wdrożone w Polsce w najbliższych latach, ale protestuję przeciw twierdzeniu, że już nic nie da się zrobić.



**KONKURS NAJLEPSZY BANK 2024
I BANKOWY MENEDŻER ROKU 2023**

Prezesi banków komercyjnych i spółdzielczych nominowani, ankiety trafiły do banków

**KONKURSY TECHNOLOGICZNE
TECHNOBIZNES „GAZETY BANKOWEJ”**



Tegoroczne zgłoszenia zebrane – teraz czas na decyzje i rekomendacje Kapituły

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

WYWIAD GOSPODARCZY

W POLSCE PL



CODZIENNIE O 14:00

O gospodarce z gośćmi programu rozmawiają:

- Maciej Wośko
- Agnieszka Łakoma
- Stanisław Koczot

OGLĄDAJ NAS 

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192


orange™

NA POZYCJI

32

 **vectra**

NA POZYCJI

825


dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

REDAKCJA

ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa
tel. (22) 616 36 00
redakcja@gb.pl

REDAKTOR NACZELNY

Maciej WOŚKO mwoško@gb.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Stanisław KOCZOT

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof KOTOWSKI

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Joanna BUCZYŃSKA, Ryszard CZARNECKI,
Małgorzata DYGAŚ, Agnieszka ŁAKOMA (wGospodarce.pl),
Jan ROKITA, Arkady SAULSKI, prof. Grzegorz SZULCZEWSKI,
prof. Małgorzata ZALESKA, Beata ZUBOWICZ

RADA PROGRAMOWA

prof. Grażyna Ancyparowicz, GWSH; dr hab. Dominik Bierecki, Spółdzielcy Instytut
Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; Tomasz Chrostny,
prezes UOKiK; prof. Leszek Dziawgo, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu;
prof. Andrzej Gospodarowicz, Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu; dr hab. Beata
Kozłowska-Chyła, Uniwersytet Warszawski/PZU S.A.; prof. Alojzy Z. Nowak, Uniwersytet
Warszawski; Zdzisław Sokół, doradca Prezydenta RP; Henryk Uzdrowski, Grupa Fratria;
prof. Małgorzata Zaleska, SGH, przewodnicząca Komitetu Nauk o Finansach PAN;
prof. Jerzy Żyżyński, Uniwersytet Warszawski

WYDAWCA



Fratria sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
www.fratia.pl

PREZES

Romuald ORZEŁ

DRUK

Walstead Kraków Sp. z o.o.

DYREKTOR KREATYWNY

Michał KORSUN mihael.korsun@fratria.pl

STUDIO GRAFICZNE

Andrzej SKWARCZYŃSKI andrzej.skwarczynski@fratria.pl
Lidia SŁOWIKOWSKA-SMOLINSKA lidia.slowikowska@fratria.pl
Paweł ŻURAWSKI

FOTOEDYCJA

Anna ŁABĘCKA anna.labecka@fratria.pl

KOREKTA

Anna WOLF

PRODUKCJA I DYSTYBUCJA

Mariola BARCIKOWSKA mariola.barcikowska@fratria.pl

DYREKTOR DS. MARKETINGU,
KOMUNIKACJI ORAZ ORGANIZACJI EVENTÓW
Joanna MAZUR joanna.mazur@fratria.pl

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU

Katarzyna MARCHEWKA – katarzyna.marchewka@fratria.pl,
tel. 603 097 503

PATRONATY MEDIALNE

marketing@fratria.pl

BIURO REKLAMY

e-mail: reklama@fratria.pl
tel. (22) 463 49 93

PRENUMERATA REDAKCYJNA

prenumerata@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00

Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.gb.pl

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
nr konta: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Publikacja jest chroniona przepisami prawa autorskiego.
Wykonywanie kserokopii lub powielanie inną metodą oraz
rozpowiadanie bez zgody wydawcy w całości lub w części
jest zabronione i podlega odpowiedzialności karnej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega prawo redagowania
nadesłanych tekstów. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Zdjęcia na okładce:

Shutterstock (x2), Andrzej Wiktor, mat. prasowe



PARTNER



Wspólny mianownik

Zamykając to wydanie „Gazety Bankowej”, myślimy już o kolejnym numerze i w tym kontekście zadajemy sobie pytania o tematy wynikające poniekąd z naszych rozmów publikowanych w tym wydaniu, wywiadów, zredagowanych właśnie artykułów, które wypełniają karty majowej „Bankowej”. Jest bowiem pewien wspólny mianownik ostatnich kilku, jeśli nie kilkunastu wydań. To bezpieczeństwo. Pojęcie odmieniane przez wszystkie przypadki i na wszelkie sposoby. Także w czasie kampanii wyborczych do polskiego parlamentu i samorządów.

Pisząc o wojnie na Ukrainie, stawiamy zawsze pytania o militarne bezpieczeństwo Polski czy – dalej – geopolityczny porządek Europy Środkowej i Wschodniej. Trójmorze znów, dzięki niezwykle szeroko komentowanemu szczytowi Inicjatywy w Wilnie, stało się ważnym elementem tej układanki. Czy jesteśmy bezpieczniejsi? Z pewnością mówimy wspólnie, niemal jednym głosem z naszymi sąsiadami, że Rosja stała się zagrożeniem dla wszystkich w Europie, którego nikomu nie wolno dziś zbagatelizować.

Ale bezpieczeństwo to także stabilne ceny energii i paliw. To pewność, że kolejna zima nie będzie oznaczać energetycznego ubóstwa w wielu polskich i europejskich domach. A o to trudno w kontekście kolejnych dyrektyw i coraz bardziej „ambitnych” celów Brukseli. Przed nami wybory do Parlamentu Europejskiego, w których Zielony Ład z pewnością będzie jednym z głównych elementów kampanijnej gry. Tak jak kwestia ochrony granic UE i przymusowej relokacji migrantów – o tym zatem, o bezpieczeństwie to będą wybory.

Bezpieczeństwo energetyczne jest na tu i teraz, ale kwestia zabezpieczenia emerytalnego wymyka się codziennemu dbaniu jedynie o spięcie bieżącego budżetu. O przeczności i odpowiedzialności rozmawiamy w tym wydaniu z prof. Gertrudą Uścińską, była prezes ZUS, która mówi wprost: „Ważna jest edukacja. Odkładać na przyszłość powinno się tak naprawdę z każdego przychodu – czy jest on niższy, czy wyższy. Później na starość istotny będzie strumień dochodu ze wszystkich źródeł”. Czy perspektywa odległego bezpieczeństwa senioralnego przekona dzisiejszych 30-latków, że warto myśleć o tym, co za kolejnych 30 lat wydarzy się z ich dochodami? Dobrowolny ZUS, wakacje zusowskie i inne projekty sygnalizujące pełną dowolność w odkładaniu na starość zdają się działać wbrew tak potrzebnej nam edukacji senioralnej.

To jednak już nie tyle kwestia samego bezpieczeństwa, ile odpowiedzialności za to bezpieczeństwo. I rozsądku polityków (o ile można polityków o rozsądek prosić) – odpowiedzialności za nasze bezpieczeństwo energetyczne, militarne, geopolityczne, w końcu – za bezpieczeństwo bytowe. Trzecie w tym roku wybory, już w czerwcu, zdecydują w szczególności sposób, czy będziemy mogli w kolejnych latach bezpiecznie zasypiać i bezpiecznie budzić się rano do pracy. Zimą, latem, w Polsce i w Europie. Ale to już temat na kolejne wydanie „Gazety Bankowej”.

Maciej Wośko

MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”





TEMAT NUMERU:

System emerytalny to nie zabawka „na twittera”

Wszelkie zmiany w systemie emerytalnym wymagają czasu, bardziej dekad niż lat. Tak samo jest z dodatkowym oszczędzaniem na starość – te programy również wymagają czasu, determinacji i wytrwałości – mówi prof. Gertruda Uścińska, była prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, przewodnicząca Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk.

str. **6**

WYDARZENIA:

Wadliwe prawo zagraża suwerenności banku centralnego

Prof. Grażyna Ancyparowicz: Sprzeczne z prawem unijnym normy, ograniczające autonomię NBP, pochodzą nie tylko z prawodawstwa realnego socjalizmu, niektóre są całkiem świeżej daty.



WYDARZENIA:

Polskie pancerne niebo

Obrona przeciwrakietowa i przeciwlotnicza we wszystkich krajach świata skupia się jedynie na obszarach o strategicznym znaczeniu i nie obejmuje każdego skrawka ziemi.

str. **38**

SPIS TREŚCI



WYDARZENIA:

Bogaty jak Trump

Donald Trump był bogaty od zawsze. Jego historia jest ciekawa także dlatego, że koleje losu trzech pokoleń Trumpów są jedną z najlepszych egzemplifikacji „amerykańskiego snu”.

str. 44

WYDARZENIA:

Energetyka atomowa dla Europy

Kraje proatomowe kontynentu zakładają, że łączne koszty inwestycyjne sięgnęłyby gigantycznej kwoty 250–550 mld euro.

str. 50



WYDARZENIA:

Polski plan na rzecz energii i klimatu

Transformacja energetyczna w Polsce wymaga gigantycznych inwestycji zarówno w odnawialne źródła, jak i energetykę jądrową.

str. 54

FINANSE:

Moda na polskie wino

W Polsce są już wina bardzo dobrej jakości, które spokojnie mogłyby wejść na europejski rynek: białe, różowe, lodowe, słomkowe. Jesteśmy krajem win białych. Cięższe, czerwone mniej się udają.

str. 68



od redakcji 3

temat numeru

Demograficzna zapaść.

Dlaczego musimy zadbać o swoje finanse

System emerytalny to nie zabawka „na twittera”
Prof. Gertruda Uścińska, była prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, przewodnicząca Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk: Zbudowaliśmy ogromne zaufanie do Polski, ale też do ZUS, co zauważyła Organizacja Narodów Zjednoczonych. UNICEF uznał, że Zakład jest wiarygodną instytucją, i udzielił 20 mln dolarów pomocy na wsparcie obywateli Ukrainy w Polsce 6
Michał Polak, wiceprezes Fundacji Warszawskiej
Instytut Bankowości: Na tróję z minusem 12
Bartosz Życiński: Nie będzie przeludnienia, liczba ludzi zacznie spadać 14
Bartosz Marczuk, wiceprezes PFR odpowiedzialny m.in. za wdrożenie PPK i Tarcz Finansowych: Przez najbliższe trzy dekady ma zniknąć prawie 7 mln Polaków! ... 16

wydarzenia

Stanisław Koczoł: Groźna akcja przeciw NBP 20
Grażyna Ancyparowicz, wykładowca Akademii Górnośląskiej im. W. Korfa, członek Rady ds. Społecznych przy Prezydencie RP, członek rady Polityki Pieniężnej kadencji 2016–2022: Wadliwe prawo zagraża suwerenności polskiego banku centralnego 21
Piotr Filipczyk: Komu przeszkadzają Małaszewicze? 28
Joanna Buczyńska: Czekając na nowy program mieszkaniowy 34
Arkady Saulski: Polskie pancerne niebo 38
Artur Ceyrowski: Bogaty jak Trump 44
Stanisław Koczoł: Inflacja z wielką niewiadomą 48
Agnieszka Łakoma: Energetyka atomowa dla Europy – coraz mniej wątpliwości 50

kronika

II Energetyczne Forum wGospodarcę.pl

Polski plan na rzecz energii i klimatu 54
OZE w Polsce? Ostatecznie chodzi o niższe rachunki za prąd 55
Atom w Polsce – zadanie trudne, ale wykonalne 60
Dekarbonizacja wymuszona przez UE – bez odwrotu 64

felietony

Jan Rokita 33
Małgorzata Zaleska 37
Ryszard Czarnecki 43
Stanisław Koczoł 78
Grzegorz Szulczewski 82

finanse

Beata Zubowicz: Moda na polskie wino 68
Najlepszy Bank 2024 i Bankowy Menedżer Roku 2023 73
Sylwetki nominowanych do tytułu Bankowy Menedżer Roku 2023 „Gazety Bankowej” – kategoria: Banki komercyjne 74
Sylwetki nominowanych do tytułu Bankowy Menedżer Roku 2023 „Gazety Bankowej” – kategoria: Banki spółdzielcze ... 76
Folder Finanse 80

temat numeru

Fakty & Procesy & Prognozy



fol. Andrzej Wiktor

System emerytalny to nie zabawka „na twittera”

Prof. Gertruda Uścińska, była prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, przewodnicząca Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk, mówi o zmianach w polskim systemie emerytalnym, najniższych emeryturach i najważniejszych płatnikach składek, a także o odpowiedzialności polityków

ROZMAWIALI

MACIEJ WOŚKO I STANISŁAW KOCZOT

Między rokiem 1990 a 2020 średnia dalsza długość życia mężczyzn w wieku 65 lat w Polsce zwiększyła się o ponad 2,5 roku, do poziomu 17,9 roku. Ten sam wskaźnik dla 60-letnich kobiet wzrósł o ponad 3 lata i wynosi 23,2 roku. To ważne świadectwo transformacji ustrojowej, zwłaszcza że przez poprzednie 30 lat nie nastąpiła w tym zakresie praktycznie żadna poprawa. Pod koniec marca Główny Urząd Statystyczny opublikował nową tablicę średniego dalszego trwania życia kobiet i mężczyzn. To dane o dotychczasowej umieralności, dające podstawę przewidywania długości życia kolejnych kohort ludności w Polsce. Tablica zawiera dane niezbędne do obliczenia emerytury z systemu powszechnego. Wniosek jest jeden – żyjemy coraz dłużej, więc ta sama kwota zebranego kapitału emerytalnego pozwoli na obliczenie niższego świadczenia niż w poprzednich latach, zwłaszcza w okresie pandemii.

Prof. Gertruda Uścińska: Emerytura obliczona na podstawie obecnie obowiązującej tablicy trwania życia jest mniej korzystna niż na podstawie poprzedniej tablicy o 3,7 proc. w przypadku osoby w wieku 60 lat oraz o 4,1 proc. dla osoby w wieku 65 lat. Dla przykładu 60-latka, która zgromadziła 700 tys. zł kapitału emerytalnego, otrzyma świadczenie w wysokości ok. 2 650 zł. Mniej o 103 zł niż na podstawie poprzedniej tablicy. Podobnie będzie w przypadku 65-latka z takim samym kapitałem. Otrzyma on emeryturę w wysokości ok. 3 198 zł, czyli mniej niż poprzednio o ok. 136 zł. Po prostu kwota zebranych składek emerytalnych zostanie podzielona przez większą liczbę miesięcy, które średnio ma do przeżycia nowo upieczony emeryt. W przypadku 60-latki jest to 264,2 zamiast 254,3 miesiąca, natomiast dla 65-latka – 218,9 wobec 210 miesięcy. Tablice obowiązują od 1 kwietnia danego roku do 31 marca roku następnego. Osoby odraczające emeryturę nie muszą się obawiać, że kolejne tablice będą dla nich mniej korzystne, ponieważ w razie potrzeby do obliczenia przyszłej emerytury zostanie wykorzystana tablica obowiązująca w chwili osiągnięcia wieku emerytalnego.

To, co można zrobić, by emeryturę podwyższyć, to wydłużać okres składkowy, czyli zbierać wyższy kapitał, dłużej pracować. Czy w związku z tym wróci debata na temat podniesienia wieku emerytalnego?

Po pierwsze, trzeba edukować. System wprowadzony w 1999 r. został tak skonstruowany, że każdy miesiąc, każdy rok pracy po osiągnięciu wieku emerytalnego daje wyższą emeryturę. Ten wzrost nie jest liniowy, jak w starym systemie, lecz coraz większy, im dłużej odraczamy emeryturę. Ale można powiedzieć, że za pierwszy rok wzrost ten może wynosić od 5 do 20 proc. Głównie zależy to od waloryzacji, ale też

opłacenia dodatkowych składek oraz właśnie krótszego trwania życia przyjmowanego do obliczeń.

Mówi pani o edukacji finansowej. Mamy wrażenie, że obecni emeryci doskonale wiedzą, jak działa ten system, problemem są raczej przyszli świadczeniobiorcy, którzy nie do końca zdają sobie sprawę z wagi gromadzenia kapitału na przyszłą emeryturę...

Tak, system emerytalny wprowadzony w styczniu 1999 r. jest faktycznie bardzo wymagający dla osoby ubezpieczonej. Po pierwsze, trzeba zgromadzić jak największy kapitał emerytalny. Warto od samego początku pracować na oskładkowanych umowach, aby nasze składki mogły jak najdłużej pracować na naszą emeryturę. Po drugie, warto jak najpóźniej przejść na emeryturę, gdyż w mianowniku wzoru na wysokość emerytury jest średnie dalsze trwanie życia. Im wyższy kapitał zgromadzimy oraz im później przejdziemy na emeryturę, tym wyższe będzie przyznane nam comiesięczne świadczenie. Kluczową kwestią jest też to, skąd bierze się nasz dochód na starość. W Polsce wciąż opieramy się przede wszystkim na publicznym systemie emerytalnym. Z danych GUS wynika, że 88 proc. dochodu gospodarstw domowych emerytów w Polsce pochodzi ze świadczeń społecznych od państwa, w tym 84,5 proc. z emerytur. Ideą reformy z 1999 r. było natomiast między innymi zwiększenie dywersyfikacji źródeł dochodów na okres starości. Nie możemy w dłuższej perspektywie opierać się jedynie na publicznym filarze, czyli ZUS, KRUS i systemie mundurowym. Trzeba rozwijać też instrumenty, za które odpowiada pracodawca, czyli Pracownicze Plany Kapitałowe oraz Pracownicze Programy Emerytalne. Ten element ma ogromny potencjał, bowiem w Polsce jest ok. 13 mln pracowników i zleceniobiorców. Istotny powinien być także filar indywidualnej przeczności, czyli Indywidualne Konta Emerytalne, Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego oraz uregulowane niedawno Ogólnoeuropejskie Indywidualne Produkty Emerytalne.

Wciąż jednak trzymamy się systemu emerytur z ZUS.

Stąd tak ważna jest edukacja. Odkładać na przyszłość powinno się tak naprawdę z każdego przychodu – czy jest on niższy, czy wyższy. Później na starość istotny będzie strumień dochodu ze wszystkich źródeł. Po to ustawodawca nakazał utworzenie przez Polski Fundusz Rozwoju jednej platformy emerytalnej, która pokaże obywatelowi, w jakich programach publicznych i prywatnych uczestniczy, jak mu idzie i na co może z tego tytułu liczyć w przyszłości. To kluczowe narzędzie, by prowadzić całą edukację społeczną na ten temat. Takie platformy rozwija się również w innych

krajach i ma to roboczą nazwę pulpitu emerytalnego (ang. pensions dashboard). Państwo ma zaciągnięte zobowiązania emerytalno-rentowe w systemie powszechnym, rolniczym, mundurowym i sędziowsko-prokuratorskim na łączną kwotę nawet 6 bln zł. To dane z badania GUS sprzed kilku lat. Na ten moment same zobowiązania emerytalne zapisane na kontach i subkontach w ZUS sięgają 3,8 bln zł. Do tego trzeba doliczyć wartość aktywów OFE na koniec marca br. sięgającą 222 mld zł, które z czasem trafią na subkonta. Natomiast w programach dodatkowego, dobrowolnego oszczędzania na starość zgromadzono raptem kilkadziesiąt miliardów złotych, najwięcej w PPK (22 mld zł), następnie PPE (20 mld zł), IKE (18 mld zł), IKZE (9 mld zł). To ogromna dysproporcja między poziomem oszczędności publicznych i prywatnych. Musimy dążyć do tego, by udział rozwiązań dodatkowych wzrósł do 20 czy 30 proc. To praca, którą trzeba oprzeć na moźolnej, stałej edukacji. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że takie ostateczne odejście od starego systemu emerytalnego, kiedy istotnie zmaleje znaczenie kapitału początkowego przy ustalaniu wysokości emerytury kolejnych roczników nowych emerytów, nastąpi dopiero w 2039 roku. Widać po tym, że wszelkie zmiany w systemie emerytalnym wymagają czasu, bardziej dekad niż lat. Tak samo jest z dodatkowym oszczędzaniem na starość – te programy również wymagają czasu, determinacji i wytrwałości.

Wymagają też zaufania obywateli. Sytuacja z OFE sprzed 10 lat to zaufanie do państwa, trwałości i nienaruszalności systemu mocno nadszarpnęła... Dziś z odbudowaniem tego zaufania mierzą się PPK.

Rozumiem i nie dziwię się, że na zmianach w OFE cierpi cały rynek emerytalny. Jednak nie należy mylić OFE i PPK. To pierwsze od samego początku było częścią systemu publicznego. To drugie to rozwiązanie o zupełnie innym charakterze z systemowego punktu widzenia. To, co je łączy, to podobne narzędzie, czyli wykorzystanie rynku kapitałowego. System emerytalny to nie perpetuum mobile i musi być reformowany, ale trzeba te reformy wprowadzać ostrożnie, przewidywalnie, aby nie utracić stabilności, przewidywalności, zaufania społecznego. Decyzje z lat 2011–2014 zachwiały systemem. Co prawda dziś wciąż otwartych jest 14,6 mln rachunków OFE, ich aktywa sięgają wspomnianych 222 mld zł, a średnia ważona stopa zwrotu w ostatnich trzech latach, do marca, wynosi, jak informuje KNF, 51,5 proc. To jednak niewiele zmienia, bowiem kapitałowy filar publicznej części systemu emerytalnego będzie w końcu wymagał podjęcia takiej czy innej decyzji co do jego przyszłości. Poza tym należy powiedzieć, że w Polsce od kilkadziesiątu lat budujemy stabilny system emerytalny. Przede wszystkim z punktu widzenia demografii – starzenia się społeczeństwa,

”

Zbudowaliśmy ogromne zaufanie do Polski, ale też do ZUS, co zauważyła Organizacja Narodów Zjednoczonych.

UNICEF uznał, że Zakład jest wiarygodną instytucją, i udzielił 20 mln dolarów pomocy na wsparcie obywateli Ukrainy w Polsce

coraz mniejszej liczby osób wchodzących na rynek pracy, dłuższego życia, opieki zdrowotnej. Stopa zastąpienia, czyli relacja przeciętnego świadczenia do przeciętnej pensji, wynosi nieco ponad 50 proc. Ale już w 2040 r. trudno będzie utrzymać poziom 40 proc., a w kolejnych latach stopa zastąpienia będzie się zmniejszać. Dywersyfikacja, pracownicza, indywidualna i rodzinna przezorność musi zatem wejść na wyższy poziom. Warunkiem jest stabilne państwo, które decyduje o przepisach prawnych, instrumentach finansowych, gwarancjach wypłaty. Tu potrzebna jest ciężka praca.

Warto powiedzieć, że to w czasie kadencji pani profesor udało się odbudować zaufanie Polaków do ZUS. Ponad 84 proc. wydatków Funduszu Ubezpieczeń Społecznych pokrywają obecnie wpływy z bieżących składek. Gdy przejmowała pani stanowisko, było to tylko 70 proc. Wyplacalność buduje poczucie bezpieczeństwa systemu.

Wydaje się, że to kluczowa sprawa. To budowanie wiarygodności instytucji publicznej, ale też optymalizacja kosztów. Pokrycie wydatków Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (FUS) potrzebowało i wciąż potrzebuje reform. Zmieniliśmy sposób pobierania składek, zapobiegliśmy przedawnieniom, które były na bardzo wysokim poziomie. Wprowadziliśmy instrumenty, które służą przedsiębiorcom. Wspomnę o odejściu od segregatorów z papierową dokumentacją, poprzez budowanie e-urzędu – Platformy Usług Elektronicznych, gdzie każdy może założyć swój profil, możliwości pobierania zaświadczeń w ciągu kilku minut przez platformę. To ma bezpośredni związek z tym, ile składek pobieramy, ile środków terminowo trafia do FUS. Dzięki temu ZUS nie musi corocznie pobierać z budżetu państwa coraz wyższych dotacji do FUS.

To także pochodna sytuacji na rynku pracy.

Oczywiście tak, przede wszystkim dynamiczny wzrost funduszu wynagrodzeń, stabilny poziom za-

trudnienia. Badamy i prognozujemy wszystkie zmiany na rynku pracy, badamy budżety gospodarstw domowych, rynek finansowy. Bo to nie jest system na tu i teraz. Trzeba być konsekwentnym, uważnym i budować system w perspektywie wielu lat.

PPK, IKE, IKZE, produkty finansowe oferowane przez rynek... Tych instrumentów jest sporo. Ale część z nich wiąże się jednak z ryzykiem. Czy pani zdaniem państwo powinno uczestniczyć w gwarancjach, partycypować w zapewnieniu bezpieczeństwa długoterminowych produktów?

To są kwalifikowane formy oszczędzania na okres starości. Poszczególne plany i programy mają charakter prywatny, ale państwo ustanowiło pewne normy ich prowadzenia – przepisy gwarantujące, że te pieniądze będą bezpiecznie gromadzone i wypłacane – oraz przewidziało dla nich ulgi podatkowe.

Projekt emerytur stażowych mieści się w tej koncepcji odpowiedzialności obywateli za zabezpieczenie własnej starości? Czy jest raczej wbrew długoterminowym systemom oszczędzania i inwestowania na przyszłość?

Projektów tego rozwiązania jest kilka, a ten najbardziej liberalny wymaga posiadania 35–40 lat ubezpieczenia, zależnie od płci. Spełnienie tego warunku uprawniałoby do przejścia na emeryturę przed osiągnięciem wieku emerytalnego. I to jest pytanie, czy stać nas na to w XXI wieku, gdy wiemy, jakie zmiany na rynku pracy nas czekają, gdy coraz mniej ludzi wchodzi na rynek pracy. I nie idzie tylko o pieniądze, lecz o odpływ pracowników. Ten projekt otwiera w pierwszych dziesięciu latach prawo do wcześniejszej dezaktywizacji zawodowej dla miliona osób, w tym wielu osób po pięćdziesiątce. Ich emerytury, przyznane w tak wczesnym wieku, będą dużo niższe, w wielu przypadkach na poziomie minimalnej emerytury. To zupełnie nie wpisuje się w ten model, o którym mówiliśmy, zakładający zwiększenie świadomości dbania o kapitał na zabezpieczenie emerytalne. Do tego dodajmy koszty z punktu widzenia państwa. To jest wzrost wydatków na emerytury o ok. 50 mld zł w perspektywie 10-letniej oraz ubytek składek na poziomie 37 mld zł. A mamy już przecież znowelizowany system emerytur pomostowych, przewidujący, na stałe, szczególne rozwiązania dla osób pracujących w szczególnych warunkach.

Ale to się składa w pewną całość. Pracować mniej, wprowadzić krótszy, czterodniowy tydzień pracy, nie odrabiać lekcji z dziećmi w domu, żeby mieć czas „dla siebie” i być czynnym zawodowo krócej – tak może do pięćdziesiątki, a na końcu żądać od państwa wyższych emerytur... Czy ktoś zadaje sobie pytanie, co potem?

Odpowiedź, nieco przewrotna, jest w prognozach sporządzanych przez ZUS. Tych średniotermino-

wych, na kilka lat wprzód, jak i długoterminowych, z horyzontem do 2080 r. W tej najdłuższej perspektywie sytuacja funduszu emerytalnego znacznie się poprawi, ale to będzie wynikiem zmniejszającej się stopy zastąpienia. Natomiast w najbliższych latach deficyt całego FUS będzie wymagał nieco większej interwencji budżetu państwa. Pokrycie wydatków funduszu ze składek może spaść do 80 proc. W kolejnej dekadzie – z powodów demograficznych – jeszcze bardziej. Proszę więc zwrócić uwagę, co jako państwo bierzemy na siebie? Obowiązek i gwarancja wypłaty świadczeń będą trwałe, jeżeli będziemy dbać o gospodarkę i rynek pracy. To oznacza dążenie do wzrostu liczby osób zatrudnionych, aktywnych ekonomicznie zarówno w wieku produkcyjnym, jak i starszych. Dotyczy to osób z obszarów wiejskich, kobiet, osób z niepełnosprawnościami. Jeśli zaś przyjmimy koncepcję wycofywania pracowników z rynku, z tytułu tworzenia nowych uprawnień, pozostaje pytanie o tworzenie jeszcze większego deficytu, wyższego finansowania z podatków, a więc i ogromnego obciążenia dla budżetu państwa oraz budżetów domowych Polaków. Nie można tylko widzieć idei, trzeba spojrzeć na system w całości, znaleźć źródło finansowania, nie „tu i teraz”, ale za 10, 20 lat. Emerytury to zobowiązanie państwa na kilkadziesiąt lat do przodu. To nie jest zabawka „na twittera”, na atrakcyjny post w mediach społecznościowych, tylko kwestia zapewnienia bezpieczeństwa finansowego obywateli na wiele, wiele lat.

Choć pani minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk analizuje możliwość wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy przy poparciu sporej części polityków koalicji rządowej. Takie projekty są też wprowadzane w niektórych państwach na zachodzie Europy.

To oczywiście kwestia efektywności pracy, rotacji pracowników w tygodniu pracy. W Polsce powinniśmy się skupić raczej na analizie możliwości rynku pracy. Na dziś debata na ten temat powoduje takie przekonanie, że mamy pracować mniej i żądać wyższych wynagrodzeń. I z socjologicznego punktu widzenia wszystko się zgadza, ale przecież ktoś odpowiada za państwo, ktoś odpowiada za stabilizację, gwarancję wypłaty świadczeń, także emerytalnych. Proszę zwrócić uwagę, że Unia Europejska wcale tak bardzo nie rwie się do skrócenia czasu pracy. Słyszymy raczej, jak wiele jest do zrobienia w kontekście ostatnio głośniejszej pracy na platformach cyfrowych czy też innych nietypowych form zatrudnienia, od których nie są potrącane składki na ubezpieczenie, na fundusz emerytalny; nie zawsze są również opodatkowane.

„Ozusowanie” umów zlecenia w Polsce sprawdziło się. Dziś nikt już nie tęskni za pracą bez ubezpieczenia, choć wielu zleceniobiorców wciąż płaci najniższe stawki.

Od 2016 r. umowy agencyjne, zlecenia i o świadczenie usług są oskładkowane, ale tylko do poziomu minimalnego wynagrodzenia. Wciąż jest wiele przypadków zawierania dwóch umów – jednej oskładkowanej, a drugiej już na dużo wyższe wynagrodzenie, nieobjęte składkami. Mówimy jednak o szerszym problemie obowiązywania archaicznych przepisów ubezpieczeniowych, które wyłączają obowiązek odprowadzania składek w przypadku wystąpienia u danej osoby zbiegu kilku umów czy rodzajów działalności. W grudniu 2020 r. opublikowano raport na podstawie danych ZUS, z którego wynikało, że takich osób jest milion i wcale nie są to osoby młode, o niskich zarobkach, lecz 30-, 40-latkowie z przychodem średnio 7,5 tys. zł miesięcznie. Przyszła emerytura tych osób będzie jednak niska, bo opłacają składkę tak, jakby zarabiali minimalne wynagrodzenie. A przecież to dopiero początek długiej listy metod na omijanie opłacania składek.

No tak, tyle że to problem polegający na społecznym odbiorze składek emerytalnych. Wciąż traktujemy składkę ZUS jak podatek, coś, co nam się zabiera. A chcemy zarabiać więcej, zatem minimalny ZUS przy zleceniach wydaje się atrakcyjny na tu i teraz...

Jeśli w kampanii wyborczej pada obietnica wprowadzenia dobrowolnego ubezpieczenia dla przedsiębiorców, to właśnie takie mamy potem efekty. I nagle się okazuje, że składki pokrywają siedemdziesiąt kilka procent świadczeń. Mamy jeden wspólny fundusz emerytalny, więc bierzemy od tych, którzy są najbardziej obciążeni składkami – czyli od pracowników. Na choroby, zasiłki, zwolnienia... A składka chorobowa pokrywa raptem 68 proc. kosztów funduszu chorobowego. Z kolei w ubiegłym roku ZUS pobrał i przekazał do NFZ 134,3 mld zł z tytułu składki zdrowotnej. Z tego 51 proc. wpłacili pracownicy, 17 proc. – przedsiębiorcy, zaś zleceniobiorcy odpowiadają jedynie za 3 proc. tej kwoty.

I wracamy do potrzeby przekonania Polaków do długoterminowego oszczędzania i inwestowania. Cały czas płacimy za 50 lat systemu gospodarki socjalistycznej – czy się stoi, czy się leży, każdemu się należy.

Mamy jednak coraz więcej osób urodzonych w nowym systemie. Ale oni często patrzą liberalnie na kwestie danin i składek. Absolutyzują odpowiedzialność jednostki za siebie. Sądzą, że państwowy system jest zbyt drogi i że gdyby oszczędzali na własną rękę, zabezpieczyliby się lepiej. Jest też takie podejście ignoranckie, bezrefleksyjne powielanie potocznych ocen i haseł, memów. W każdym przypadku

trzeba edukować, informować, usuwać brak wiedzy i podstawowych kompetencji ekonomicznych...

To też kwestia odpowiedzialności polityków obiecujących „dobrowolny ZUS”...

I odpowiedzi na pytanie, skąd się biorą emerytury. To gigantyczna odpowiedzialność państwa. W Europie wszyscy szukają sposobu na współpracę państwa z drugim filarem, także poza systemami publicznymi. Ale nikt nie mówi o resecie, o odejściu od oszczędzania na emeryturę.

To odpowiedzialność każdego członka wspólnoty za składkę do jednego funduszu publicznego... Żeby się nie okazało, że za tych z minimalną składką potem płacą pozostali.

Tak, bo to jest wspólnota ubezpieczeniowa właśnie. Są osoby wpłacające wysokie składki, niechorujące, niepobierające renty, pracujące powyżej wieku emerytalnego – to są ci „wkładający” najwięcej do systemu.

Są też i ci, którzy „przepracowali” jedną składkę i im emerytura też się należy.

Tak, to pewna ułomność tego systemu, której chyba do końca nie przewidziano. Wiadomo już w praktyce od 2009 roku, a na pewno od 2015, że coś jest nie tak z tym, iż wiek emerytalny i choćby jedna składka otwierają prawo do emerytury. Dzisiaj ok. 400 tys. emerytów nie posiada tych 20–25 lat stażu ubezpieczenia, aby otrzymać minimalną emeryturę, i pobierają świadczenia poniżej jej poziomu. Czasem nawet znacznie poniżej. Mają oczywiście prawo do opieki zdrowotnej oraz 13. i 14. emerytury, ale otrzymują tzw. groszowe emerytury na poziomie 4, 40 groszy, 4, 40, 400 złotych. Prawo międzynarodowe mówi o minimum 15 latach pracy, by uzyskać prawa emerytalne. W Polsce nie udało się wprowadzić takich limitów. W 2028 r. takich osób może być nawet 600 tys., co bardzo źle wpływa na stopę zastąpienia i „ciągnie” przeciętne świadczenia w dół, wypacza cały system. O ile jeszcze kiedyś wyjaśniałam studentom czy ekspertom w innych krajach, co to za konstrukcja, że wystarczy jedna składka, by uzyskać prawo do świadczeń, o tyle dziś wszyscy się dziwią, że wciąż taki przepis istnieje w polskim systemie. Tego nikt nie rozumie. Staż czy kapitał – muszą się w końcu pojawić jakieś warunki minimalne. Inaczej to jazda na gapę.

Temat podniesienia wieku emerytalnego zniknął w związku z wyborami? Politycy nie chcą dotykać drażliwego obszaru, a przed nami jeszcze wybory do europarlamentu. Ta debata wróci?

Trochę już na to pytanie odpowiedzieliśmy na początku naszej rozmowy. Jeśli weźmiemy pod uwagę



fol. Zuzanna Kruschewska

nowe, zmieniające się corocznie tablice długości życia, okaże się, że przejście na emeryturę pięć lat później znacząco podwyższy świadczenie. Emerytura to nie obowiązek, to uprawnienie. Jeszcze kilka lat temu 80–85 proc. osób uprawnionych do przejścia na emeryturę korzystało z tego prawa najwcześniej, jak się dało. Dziś to już siedemdziesiąt kilka procent. Polacy mają profil na PUE ZUS i kalkulator emerytalny. Przeliczają, co i kiedy im się opłaca. Teraz będzie platforma emerytalna, za którą odpowiada PFR, i tam będzie można w dowolnym momencie sprawdzić wszystkie świadczenia – z ZUS, KRUS, PPK i innych instrumentów. Czy debata o podniesieniu wieku emerytalnego wróci? Na pewno nie w takiej bezpośredniej formie. Wszyscy widzieliśmy, co się wydarzyło we Francji, gdy podjęto decyzję o podniesieniu tego wieku o dwa lata. Ten proces będzie się musiał jednak dokonać. Zwłaszcza, że o ile nasz wiek emerytalny mężczyźni jest gdzieś w środku stawki, patrząc na ogół krajów UE, o tyle wiek emerytalny kobiet jest u nas praktycznie najniższy. Jednak przede wszystkim myślę, że sami będziemy gotowi dłużej pracować, by uzyskać wyższe świadczenie. Trzeba pamiętać o demografii. W 2050 r. najbardziej atrakcyjnym i dostępnym pracownikiem będzie 50-latek plus. Trzeba się na to przygotować. Trzeba poprawiać warunki pracy, dostępność do opieki zdrowotnej, komunikację, hybrydowe modele pracy. To stanie się kluczowe dla rynku pracy.

Podobnie jak kluczowi stali się obywatele Ukrainy. Udało się zaabsorbować uchodźców z Ukrainy do polskiego systemu ubezpieczeń, pracują legalnie, otrzymując też wsparcie, świadczenia... Czy ta pomoc będzie kontynuowana?

Te zasady, które wypracowaliśmy w marcu 2022 r., będą obowiązywać co najmniej do marca przyszłego roku. To są naprawdę unikatowe rozwiązania. Choćby kwestia budowania zaufania do państwa poprzez wprowadzenie centralnego rejestru osób przybywających do Polski. To było kluczowe dla legalizacji uchodźców na rynku pracy, dostępu do świadczeń, dostępu do opieki zdrowotnej, do edukacji, a także dla odciążenia naszego systemu azylowego. Unikaliśmy błędów innych krajów, w których uchodźcy rejestrowani w różnych, niepowiązanych ze sobą systemach znikali w niektórych instytucjach lub tracili uprawnienia, mimo że formalnie pozostawali w kraju. Dziś wiemy, że Ukraińcy ok. 19 mln razy wjechali do Polski, widzimy, że ok. 1,7 mln osób jest w rejestrze, a ok. 900 tys. przebywa w kraju. Ubezpieczonych jest ok. 230 tys. ukraińskich uchodźców. To wszystko trzeba zachować. Osoby na legalnym rynku pracy są już jego częścią. Aktywną i istotną. Ważny jest dostęp dzieci do systemu edukacji. Co do świadczeń – pozostaje pytanie, czy wprowadzać jakieś dodatkowe kryteria. Dziś, tak jak obywatele polscy – jeśli przebywają legalnie w Polsce – mają prawo do świadczeń. System rejestruje wyjazdy, utratę prawa do świadczeń. Trzeba z tego korzystać i analizować dane, by jak najlepiej sprostać zadaniu, jakie przed nami postawiła geopolityka. Zbudowaliśmy ogromne zaufanie do Polski, ale też do ZUS, co zauważyła Organizacja Narodów Zjednoczonych. UNICEF uznał, że Zakład jest wiarygodną instytucją, i udzielił 20 mln dolarów pomocy na wsparcie obywateli Ukrainy w Polsce.

Zatem wracamy znów do zaufania, wiarygodności państwa i systemu, któremu powierzamy nasz los na emeryturze... Dziękujemy za rozmowę.

MICHAŁ POLAK

wiceprezes Fundacji Warszawski Instytut Bankowości

Na tróję z minusem

We współczesnym świecie trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie w oderwaniu od świata cyfrowego, a jako społeczeństwo coraz chętniej sięgamy po rozwiązania digitalowe. Mimo to okazuje się, że cyberbezpieczeństwo jest kluczowym obszarem, w którym odczuwamy braki w posiadanej wiedzy – tak uważa 47 proc. obywateli w badaniu „Poziom wiedzy finansowej Polaków 2024”, które już po raz ósmy zrealizowaliśmy wspólnie z Fundacją GPW. Luki w edukacji szkolnej powodują, że sięgamy do innych źródeł, aby pogłębić swoją wiedzę w tym i innych obszarach związanych z finansami

Nie tylko cyberbezpieczeństwo jest obszarem, w którym wykazujemy braki. Na drugim miejscu badani wskazali inwestowanie (32 proc.), a dalej system podatkowy (25 proc.). Pocieszający jest jednak fakt, że za brakami w wiedzy idzie świadomość potrzeby jej poszerzenia. 38 proc. ankietowanych jest zgodnych, że chcieliby pogłębić swoją wiedzę z zakresu cyberbezpieczeństwa, a 22 proc. w zakresie systemu podatkowego. Co ciekawe, mimo że inwestowanie zajmuje drugie miejsce, jeśli chodzi o braki w wiedzy, to tylko 20 proc. respondentów deklaruje chęć jej pogłębienia w tym zakresie – co może wynikać z przeświadczenia, że wiedza na temat inwestowania jest trudna i wymaga znajomości innych zagadnień ekonomicznych.

Warto podkreślić, że analiza danych z poprzednich kilku edycji badania pokazuje, iż rokrocznie odsetek osób, które wskazują na potrzebę pogłębienia wiedzy w poszczególnych obszarach, maleje – w przypadku cyberbezpieczeństwa jest to różnica na poziomie 6 p.p. względem 2023 roku i aż 16 p.p. w porównaniu z rokiem 2020, a w przypadku inwestowania odsetek deklaracji o niedoborach w wiedzy zmalał o 13 p.p. w porównaniu z 2023 r.

Poziom wiedzy raczej mały

W coraz bardziej wirtualnym świecie nie dziwi fakt, że jako główne źródło swojej wiedzy ekonomicznej prawie 60 proc. badanych wskazało blogi i portale internetowe (59 proc.) – jest to wzrost względem zeszłorocznej edycji badania o 14 p.p. W dalszej kolejności wybieramy media (36 proc.) i banki (34 proc.). Jedynie nieco ponad 1 na 4 Polaków pozytywnie ocenia poziom swojej wiedzy finansowej.

Choć rysujący się trend poprawy poziomu wiedzy finansowej Polaków napawa optymizmem, to jednak jego ogólna ocena jest na tróję z minusem. Badani w większości deklarują, że ich poziom wiedzy w tym zakresie jest bardzo i raczej mały (37 proc.) lub co najwyżej przeciętny (34 proc.). Wykazujemy się jednak dobrą znajomością produktów bankowych – 68 proc. badanych prawidłowo wskazało, że kredytu konsolidacyjnego nie można otrzymać, mając negatywną historię kredytową. Również w przypadku lokat większość respondentów jest zgodna, że najbardziej korzystna jest miesięczna kapitalizacja odsetek (54 proc.).

W świetle tych danych jeszcze bardziej istotna staje się potrzeba kształtowania właściwych postaw ekonomicznych, a edukacja finansowa nabiera na znaczeniu. I choć widać, że projekty edukacyjne w tym zakresie są skuteczne oraz przynoszą efekty, to jednak nadal są one potrzebne. Jako społeczeństwo, ale także instytucje bankowe i fundacje mamy jeszcze dużo do zrobienia w zakresie edukacji finansowej. Dlatego z optymizmem przyjęliśmy decyzję o pojawieniu się w szkołach nowego przedmiotu – Biznes i Zarządzanie, którego wprowadzenie aktywnie wspieraliśmy. Wierzę, że to dobry krok

”

Choć rysujący się trend poprawy poziomu wiedzy finansowej Polaków napawa optymizmem, to jednak jego ogólna ocena jest na tróję z minusem

w kierunku poprawy wiedzy ekonomicznej przyszłych pokoleń oraz budowania bardziej świadomego finansowo i gospodarczo społeczeństwa. To także jeden z tematów stanowiących punkt w dyskusji prowadzonej w ramach Roku Edukacji Ekonomicznej, powołanego z inicjatywy naszej fundacji oraz pięciu innych organizacji pozarządowych – co ważne, przy poparciu Senatu RP.

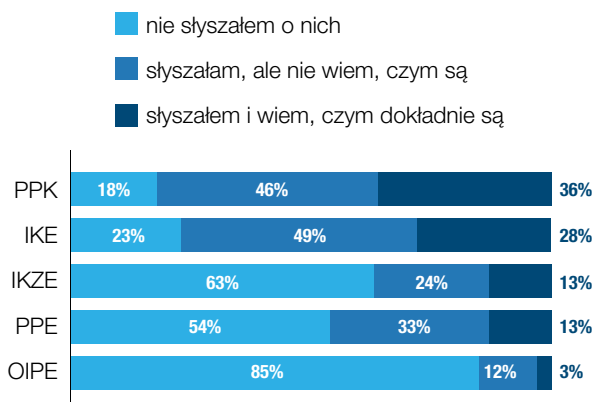
Lęk przed inwestowaniem

Badanie, które zrealizowaliśmy, pokazało, że tylko 12 proc. respondentów ocenia swoją wiedzę o giełdzie jako bardzo i raczej dużą. Dla zdecydowanej większości zrozumienie zasad funkcjonowania Giełdy Papierów Wartościowych wciąż stanowi wyzwanie – 55 proc. ankietowanych ocenia swoją wiedzę w tym zakresie jako bardzo i raczej małą. Jeśli zestawimy te dane z brakiem znajomości instrumentów GPW, dochodzimy do sytuacji, w której w społeczeństwie pojawia się lęk przed inwestowaniem. Aż 70 proc. badanych nie wie, czym są akcje, a jedynie o nich słyszało. Podobnie jest w przypadku obligacji (62 proc.). ¾ ankietowanych nigdy nie słyszało o opcjach, a prawie ⅓ o kontraktach terminowych czy ETF. Dane te potwierdzają, że uwzględnienie w programach edukacyjnych zagadnień dotyczących funkcjonowania Giełdy Papierów Wartościowych jest niezwykle istotne. Przy czym kluczowe jest to, aby odbiorcy programów edukacyjnych mieli dostęp nie tylko do wiedzy teoretycznej, lecz również praktycznej – jedynie takie dwutorowe podejście wyposaży ich w wiedzę i kompetencje, dzięki którym wkroczą do świata inwestycji. Przyczyni się to do ukształtowania nawyku świadomego i długoterminowego inwestowania oraz oszczędzania i odczaruje postrzeganie Giełdy Papierów Wartościowych jako zamkniętego świata, do którego wstęp mają wyłącznie „wybrani”.

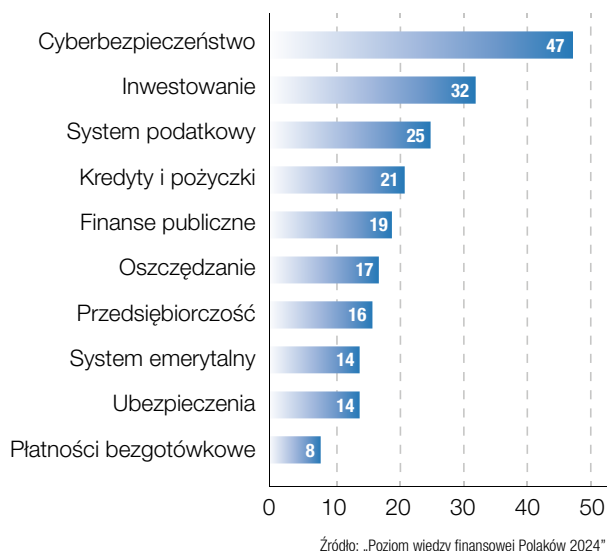
Polacy nie tylko są świadomi swoich braków w wiedzy ekonomicznej, lecz wiedzą też, że jej poszerzenie realnie wpłynie na ich finanse osobiste, a co za tym idzie – sytuację gospodarczą i codzienne życie. Spośród wielu aspektów, na które wpływ ma poziom wiedzy finansowej, respondenci deklarują, że poprawa jej poziomu przyczyni się do lepszych efektów w oszczędzaniu (39 proc.), a ponad ⅓ przyznaje, że mając większą wiedzę, będą lepiej gospodarować budżetem. W czasach turbulencji gospodarczych kompetencje te wydają się kluczowe dla zachowania stabilności. Podobnie jak kluczowe jest poczucie bezpieczeństwa, na którego poprawę według 30 proc. badanych wpływ ma właśnie poziom wiedzy.

Analiza wyników badania pokazuje pewien obraz nastrojów i postaw w społeczeństwie, które ukształtowały się pod wpływem wydarzeń minionych lat i utrzymują się do chwili obecnej. 30 proc. respondentów przyznaje, że trzeba więcej myśleć o przyszłości. A jeśli mówimy o niej w kontekście finansowym, to najpilniejszą potrzebą jest regularne oszczędzanie na tzw. czarną godzinę

Znajomość sposobów oszczędzania na emeryturę, w proc.



Obszary niedoboru wiedzy, w proc.



– potwierdza to 61 proc. ankietowanych. Z kolei ⅓ badanych idzie o krok dalej i zwraca uwagę na konieczność ograniczenia wydatków oraz prowadzenia skromniejszego trybu życia.

Reasumując, niezwykle istotne jest to, aby temat edukacji ekonomicznej znalazł się na stałe w agendzie ważnych spraw dla rozwoju Polski, a do tego niezbędne są szerokie zaangażowanie instytucji publicznych i współpraca wszystkich zaangażowanych środowisk. ●

Badanie przeprowadzono w terminie 14–23 lutego 2024 r. metodą CATI na ogólnopolskiej próbie dorosłych Polaków, reprezentatywnej dla populacji pod względem płci, wieku i lokalizacji (województwo i klasa wielkości miejscowości) n=1 000. Przyjęto błąd pomiaru na poziomie proc.

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

BARTOSZ ŻYCIŃSKI

Nie będzie przeludnienia, liczba ludzi zacznie spadać

Zapomnijmy o wojnach i klimacie. To wyzwania demograficzne zupełnie zmienią świat. Do 2050 r. ponad trzy czwarte (155 z 204) krajów nie będzie miało wystarczająco wysokiego współczynnika dzietności, aby utrzymać wielkość swojej populacji

Do roku 2100 liczba krajów ze zbyt niskim współczynnikiem dzietności wzrośnie do 97 proc. (198 państw z 204). W Afryce Subsaharyjskiej w roku 2100 będzie się rodziło co drugie dziecko świata. Wyzwania, jakie staną przed przyszłymi pokoleniami w krajach wysoko rozwiniętych, są trudne do wyobrażenia. Jedno z najstarszych i najbardziej poważanych czasopism naukowych świata – „The Lancet” opublikowało raport dotyczący światowej demografii. Wnioski, jakie z niego płyną, mogą uspokoić jedynie te osoby, które przejmowały się przeludnieniem planety. W raporcie przedstawiono szacunki Global Burden of Disease, Injuries and Risk Factors Study (GBD) 2021 – globalnego badania prowadzonego przez Instytut Metryki i Ewaluacji Zdrowia (IHME) w Szkole Medycznej Uniwersytetu Waszyngtońskiego – dotyczące przeszłych, obecnych i przyszłych globalnych, regionalnych oraz krajowych trendów w zakresie płodności i urodzeń

żywych. Ogólnie rzecz biorąc, aby zapewnić długoterminową wymianę pokoleń populacji, w krajach wymagany jest całkowity współczynnik dzietności (TFR) wynoszący 2,1 dziecka na kobietę. TFR to średnia liczba dzieci urodzonych przez kobietę w latach rozrodczych. Autorzy raportu ostrzegają, że rządy krajowe muszą zaplanować pojawiające się zagrożenia dla gospodarki, bezpieczeństwa żywnościowego, zdrowia, środowiska i bezpieczeństwa geopolitycznego spowodowane zmianami demograficznymi, które zupełnie przemodelują nasz sposób życia. Nowe prognozy dotyczące dzietności podkreślają ogromne wyzwania stojące przed wzrostem gospodarczym w wielu krajach o średnich i wysokich dochodach, charakteryzujących się malejącą siłą roboczą oraz rosnącym obciążeniem systemów opieki zdrowotnej i zabezpieczenia społecznego wynikającym ze starzenia się społeczeństwa.

W 2021 r. 29 proc. wszystkich dzieci na świecie urodziło się w Afryce Subsaharyjskiej. Przewiduje



Wskaźnik dzietności* w Polsce



*Średnia liczba dzieci, jakie rodzi kobieta w ciągu całego okresu rozrodczego. Źródło: Bank Światowy

się, że do roku 2100 liczba ta wzrośnie do ponad połowy (54 proc.) wszystkich dzieci. „Konsekwencje są ogromne” – stwierdziła współautorka i główny naukowiec z IHME, dr Natalia V. Bhattacharjee. „Te przyszłe trendy we wskaźnikach dzietności i urodzeń żywych całkowicie zmienią konfigurację światowej gospodarki oraz międzynarodowej równowagi sił i będą wymagać reorganizacji społeczeństw. Zaistnieje zaciekle konkurencja o migrantów w celu podtrzymania wzrostu gospodarczego.

W ciągu ostatnich 70 lat globalny współczynnik TFR zmniejszył się o ponad połowę, z około pięćorga dzieci na każdą kobietę w 1950 r. do 2,2 dziecka w 2021, przy czym ponad połowa wszystkich krajów i terytoriów (110 z 204, w tym Polska) jest poniżej poziomu zastępowalności populacji wynoszącego 2,1. Jedynie w Afryce Subsaharyjskiej TFR pozostają wysokie. Najwyższy wskaźnik – 7 – występuje w Czadzie. Przewiduje się jednak, że w nadchodzą-

cych dziesięcioleciach dzietność na świecie będzie jeszcze bardziej spadać, osiągając globalny średni TFR na poziomie około 1,8 w 2050 r. i 1,6 w 2100, czyli znacznie poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. Prognozy mówią, że do roku 2100 tylko w sześciu z 204 krajów i terytoriów (Samoa, Somalia, Tonga, Niger, Czad i Tadżykistan) współczynnik dzietności przekroczy 2,1 urodzeń na kobietę. W 13 państwach, w tym w Bhutanie, Bangladeszu, Nepalu i Arabii Saudyjskiej, wskaźnik ten spadnie nawet poniżej jednego dziecka na kobietę.

Średni współczynnik TFR w Europie Zachodniej w 2050 r. wyniesie 1,44 i spadnie do 1,37 w 2100 roku, przy czym oczekuje się, że pod koniec stulecia najwyższy współczynnik dzietności w Izraelu, Islandii, Danii, Francji i Niemczech będzie wynosić od 2,09 do 1,40. Aktualne prognozy naukowe mówią, że w krajach takich jak Polska i w pozostałej części Europy TFR będą znacznie niższe.

ROZMAWIAŁ
BARTOSZ ŻYCIŃSKI

Przez najbliższe trzy dekady ma zniknąć prawie 7 mln Polaków!

Mamy zapasć demograficzną. Wszystkie alarmy, jeśli chodzi o prognozowaną liczbę ludności w Polsce, „mru-gają na czerwono”. GUS podał w kwietniu, że do 2060 r. liczba ludności w naszym kraju spadnie o niemal 7 mln, do 30,9 mln mieszkańców. Dlaczego?! Dlaczego Polacy tak bardzo przestali chcieć mieć dzieci?

Bartosz Marczuk, wiceprezes PFR odpowiedzialny m.in. za wdrożenie PPK i Tarcz Finansowych, wcześniej m.in. wiceminister rodziny, ekspert ds. polityki społecznej w Związku Dużych Rodzin 3+ i Instytucie Sobieskiego: Nie ma jednej przyczyny spadku dzietności w Polsce. Osobiście widzę tych przyczyn co najmniej pięć, choć one oczywiście nie występują w formie od siebie odseparowanej, ale wzajemnie się przenikają i uzupełniają.

Co jest numerem jeden?

Mamy do czynienia z takim momentem w rozwoju cywilizacji, który w literaturze przedmiotu nazywa się „przejściem demograficznym”. Jesteśmy w IV czy V fazie tego przejścia, gdzie ludzie stawiają po prostu na mniejszą liczbę dzieci i na lepszą jakość ich życia, sami żyją też bardziej indywidualistycznie. Dzieci przestały być już dawno postrzegane jako

”

Dzieci przestały być już dawno postrzegane jako zabezpieczenie rodziców na starość, gdyż polegamy na systemach ubezpieczeń społecznych. Polska nie jest tutaj jakimś wyjątkiem na mapie świata

zabezpieczenie rodziców na starość, gdyż polegamy na systemach ubezpieczeń społecznych. Polska nie jest tutaj jakimś wyjątkiem na mapie świata. To, że dzieci jest ogólnie mniej, stanowi tendencję globalną. Wystarczy zauważyć, że nawet w takim kraju jak na przykład Iran poziom dzietności wynosi dziś zaledwie 1,5. W krajach południowo-wschodniej Azji – około 1, nie mówiąc już o takim państwie jak Korea, gdzie wynosi on 0,7. W Chinach – 1,0. W całej Europie mamy średnią znacznie poniżej 2, czyli poniżej poziomu gwarantującego utrzymanie populacji na aktualnym poziomie liczebności. Tak więc właściwie wszędzie, poza Afryką Subsaharyjską, widać tendencję odwrotu od dzietności. Widać, że jest to zmiana cywilizacyjna, zmiana fundamentalna.

Ale czy to oznacza, że wszędzie wskaźnik jest bardzo niski?

Nie. Wiele krajów, także tych rozwiniętych, radzi sobie nieźle, również lepiej niż Polska. Są to też często państwa z naszego kręgu kulturowego i geograficznego. Nie ma więc mowy o jakimś determinizmie, że w Europie czy na tzw. Zachodzie wszyscy będą mieć wskaźnik dzietności na poziomie 1,2 lub niżej. Przykładowo Francja, USA, Czechy czy Rumunia mają te wskaźniki na poziomie 1,6–1,7 co oznacza, że sytuacja jest tam lepsza niż u nas, gdzie aktualnie wskaźnik ten wynosi właśnie wspomniane 1,2, więc jest rzeczywiście niski.

Czy nie uważa pan, że przyczyny cywilizacyjne są jednak dosyć paradoksalne? Z jednej strony mamy bodaj najwyższy poziom życia w historii Polski, żyjemy w komforcie, o jakim nasi przodkowie nawet nie marzyli, a z drugiej – właśnie w takich okolicznościach rodzi się coraz mniej dzieci...

To tylko pozorny paradoks. Oczywiście często sły-chać ten argument zwłaszcza w odniesieniu do lat 80. ubiegłego wieku, kiedy w Polsce rodziło się na-

wet ponad 700 tys. dzieci rocznie, a mieszkania były ciasne, mięso było na kartki i ogólny materialny poziom życia daleko odbiegał od obecnego. Jednak rozumując w ten sposób, zapominamy o bardzo ważnym czynniku, jakim jest kwestia aspiracji. To nie jest bowiem tak, że kiedy ludzie się bogacą i zamiast w M2 zaczynają mieszkać w M3, to już czują się spełnieni. Gdy mają M3, chcą mieć pod miastem domek z ogródkiem, jeździć na zagraniczne wakacje, potem kupić wakacyjny apartament w Hiszpanii. To nigdy nie jest tak, że jest jakiś wyznaczony zdeterminowany standard życia, do którego się dąży jak do ostatecznego celu. Człowiek żyje w jakimś otoczeniu, porównuje się z innymi, podlega wielu bodźcom zewnętrznym. Dodatkowo w Polsce ta kwestia aspiracji ma naprawdę istotne znaczenie. Być może to jest też ten fenomen naszego kraju, odpowiedź na pytanie, dlaczego Polska tak szybko się rozwija i dlaczego jesteśmy tacy przedsiębiorczy, ambitni. Właśnie dlatego, że jesteśmy społeczeństwem bardzo aspiracyjnym, czyli że zależy nam na tym, by podnosić jakość swojego życia. Że wciąż mamy gdzieś w tyle głowy straszny czas komuny, wszechobecnej dawnej szarzyzny i chcemy żyć lepiej, jak na przysłowiowym Zachodzie. Ale ma to też skutek w postaci mniejszej liczby dzieci – chcemy żyć lepiej, zapewnić im lepszą jakość życia, wymagamy od naszej jakości życia coraz więcej.

Przekonał mnie pan, że rzeczywiście wyższy poziom życia wcale nie musi oznaczać automatycznej chęci posiadania dzieci. Jakie są zatem pozostałe przyczyny zapaści demograficznej?

Ważnym, drugim czynnikiem jest gigantyczna niepewność, w jakiej funkcjonujemy już od czterech lat. Mówię tu oczywiście o lęku wywołanym najpierw przez wszystkie zawirowania związane z pandemią, a następnie z wojną. To bardzo wyraźnie widać we wskaźnikach demograficznych, że kiedy rozpoczął się COVID i między innymi dostęp do placówek ochrony zdrowia stał się mocno utrudniony, zaczęło się rodzić coraz mniej dzieci. I proszę zauważyć, że wyjście z pandemii wcale nie oznaczało wyzwolenia z lęku, bo niemal natychmiast rozpoczęła się wojna. Dla pokolenia, nawet takiego jak moje, które całkiem dobrze pamięta choćby czas późnej komuny, zawirowania covidowe nie były pierwszymi niepokojami w życiu. Jednak dla pokoleń młodszych, dla tych osób, które naturalnie są teraz predestynowane do podbijania wskaźników dzietności, zarówno pandemia, jak i bliskość wojny były pierwszymi tak gigantycznymi niepokojami społecznymi, ale także w ich prywatnym życiu. A wszelkie badania socjologiczne pokazują, że poczucie bezpieczeństwa ma



fol. Mat. prasowe

fundamentalny wpływ na demografię. Gdy skończył się COVID, media akcentowały już i wciąż akcentują zagrożenie wojenne, zagrożenie kryzysem klimatycznym, zagrożenie rosnącą inflacją, zagrożenie wzrostem kosztów energii. Obstawiam, że zwiększone zainteresowanie Polaków nieruchomościami w Hiszpanii nie było tylko spowodowane chęcią zakupu lokum wakacyjnego, lecz także miejsca na wypadek konieczności ewakuacji w przypadku rozszerzenia się działań wojennych na nasz kraj. To, że ten wszechobecny i stale podbijany lęk ma kolosalny wpływ na zapaść demograficzną, pokazuje też wpływ programu 500 plus, który rzeczywiście na początku przyniósł oczekiwany rezultat i podniósł wskaźnik dzietności z 1,28 w roku 2015 do 1,48 w roku 2017, co było rekordem 20-lecia, jednak efekt ten został zniesiony przez okoliczności, o których mówiłem wcześniej.

Czyli mamy już zmiany cywilizacyjne i poczucie niepewności. Jaki jest kolejny czynnik?

Trzeci, który bardzo wyraźnie wychodzi coraz częściej w przeróżnych badaniach, to kwestia budowy relacji między kobietami i mężczyznami, czyli trudność w znalezieniu odpowiedniego partnera oraz utrzymania dobrych relacji w związku. Naprawdę nieprzypadkowo mamy do czynienia z takimi programami w telewizji jak „Rolnik szuka żony”. Generalnie kobiety są w Polsce lepiej wykształcone od mężczyzn, ponad 50 proc. pań ma wyższe wykształcenie. Młode kobiety wyjeżdżają do dużych miast, obecne wskaźniki feminizacji dużych ośrodków aglomeracyjnych mówią, że w miastach na 100 mężczyzn przypada nawet 115–120 kobiet. Dodatkowo panie mają dużo wyższe niż kiedyś oczekiwania wobec mężczyzn, znów dochodzą do głosu kwestie aspiracyjne. Kobiety chcą też rozwijać własną karierę. Kiedy kierowałem Radą Naukową Instytutu Pokolenia, prowadziliśmy badania, w których uzyskaliśmy naprawdę zatrważające wyniki. Okazało się bowiem, że wśród kobiet urodzonych w latach 80. aż 25–27 proc. nie ma dzieci. Oznacza to, że niemal jedna trzecia pań świadomie lub ze względu na zewnętrzne okoliczności nie weszła w macierzyństwo. To naprawdę ogromna liczba. Oczywiście problem relacyjny między kobietami i mężczyznami także można rozebrać na mniejsze czynniki. Są tu powody geograficzne: migracje ze wsi do miast; aspiracyjne: kariera versus dom; mamy tu tzw. kryzys męskości związany z ucieczką przez mężczyzn w świat cyfrowy, w pornografię, brak dojrzałości, brak umiejętności rozwiązywania kryzysów w małżeństwie. Kończenie nieporozumień rozwodem lub separacją, nieumiejętność rezygowania ze swojego indywidualizmu na rzecz budowania wzajemnej relacji. Dużo tych powodów trudności w budowaniu trwałych relacji damsko-męskich.

”

Szacunkowo na świecie żyje około 20 mln Polaków poza krajem i gdyby choć 10 proc. z nich zdecydowało się przyjechać do Polski, byłby to dla nas duży potencjał prorodwojowy i prodemograficzny

Przejdźmy zatem do czynnika numer cztery.

To kwestie zmian kulturowych. Wzorce, które kształtują konflikt między tzw. workizmem a familizmem. W serialach czy filmach dominują modele zadowolonych z życia singli, mieszkających w słonecznych apartamentach i dzielących swoje życie między karierę w korporacji i zabawę w klubach. W takim życiu nie ma miejsca na rodzinę, na dzieci. Ma być miło, ma być „seks w wielkim mieście”, częsta wymiana partnerów i zabawa, jak najwięcej zabaw i relaksu. Tutaj też mowa o silnym indywidualizmie, ucieczce od tradycyjnych wartości. W Polsce nie mamy również takiego poczucia, że dzieci to jest nasz obowiązek wobec wspólnoty. U nas bardziej obowiązkiem jest praca, założenie firmy, płacenie podatków, ale nie dzieci. Co ciekawe, z badań wyszło, że posiadanie dzieci jako spełnienie obowiązku wobec wspólnoty narodowej jest silnie zakorzenione w Czechach.

Tu mnie pan zaskoczył. Czesi często są nam przedstawiani jako najbardziej zsekularyzowany kraj w naszej części świata, a tu z badań wychodzi niemal religijne podejście do posiadania dzieci...

No właśnie, to bardzo ciekawe zjawisko. U nas występuje bardzo silne napięcie pomiędzy wspomnianym familizmem i workizmem, a w Czechach jest czymś normalnym, że kobieta po urodzeniu pierwszego dziecka nie odlicza dni do powrotu do pracy, tylko rozważa dalsze powiększenie rodziny. W tym kontekście wcale nie jestem przekonany, że proponowane przez obecny rząd „babciowe” to dobry pomysł. To zwiększenie presji na kobiety, by jak najszybciej po porodzie wracały do pracy, a dla wspólnoty i demografii z pewnością bardziej korzystne byłoby właśnie takie podejście, jakie mają Czeski. Zmiany kulturowe są głębokie, ale można tutaj działać. Ja nazywam to promocją „mody na rodzinę”. Rodzina, zwłaszcza ta liczniejsza, powinna się kojarzyć z sukcesem życiowym, być doceniana przez współrodaków, to powinna być duma i radość.

Dobrnęliśmy zatem do punktu piątego.

Wreszcie mamy czynnik piąty, czyli te wszystkie twarde okoliczności społeczno-ekonomiczne. Tutaj należy zauważyć olbrzymią pracę poprzedniego rządu, który w latach 2016–2023 zrobił wiele, by akurat ten czynnik zniwelować. Była to polityka realizowana w ramach tzw. złotego kwadratu, czyli bezpośredniego wsparcia finansowego rodzin, jak 500 i teraz 800 plus, budowania sektora usług rodzinnych w ramach np. sieci żłobków czy Karty Dużej Rodziny, kwestii związanych z bezpiecznym

”

Pamiętajmy, że GUS, tworząc swoje prognozy, opiera się na meldunkach i nie zauważa na przykład tej wielkiej fali uchodźców czy imigrantów ukraińskich, których spora część już zapewne zostanie w Polsce i się z nami zintegruje, bo pochodzą przecież z tego samego kręgu kulturowo-cywilizacyjnego

rynkiem pracy – chodziło tu głównie o obniżenie poziomu bezrobocia i niedopuszczenie do jego wzrostu choćby w czasie pandemii – oraz promocja wartości, próby stworzenia tej wspomnianej „mody na rodzinę”, doceniania symbolicznego trudu rodzin. Dziś, po realizacji tej polityki przez poprzedni rząd, możemy powiedzieć, że przynajmniej jeśli chodzi o to wsparcie finansowe, jest ono w Polsce na bardzo przyzwoitym poziomie i na pewno nie odstaje od krajów europejskich, a wiele państw przewyższa. Są jeszcze tutaj obszary do poprawy, przede wszystkim kwestie mieszkaniowe, organizacji pracy szkół, jakości kształcenia itd., ale wiele udało się w tym obszarze zrobić.

Jak jednak pokazuje rzeczywistość, nawet wsparcie finansowe na tak dobrym poziomie to wciąż zbyt mało, by wskaźnik dzietności zaczął w Polsce rosnąć. Tymczasem GUS przedstawia bezlitosne dane...

Przede wszystkim pamiętajmy, że GUS, tworząc swoje prognozy, opiera się na meldunkach i nie zauważa na przykład tej wielkiej fali uchodźców czy imigrantów ukraińskich, których spora część już zapewne zostanie w Polsce i się z nami zintegruje, bo pochodzą przecież z tego samego kręgu kulturowo-cywilizacyjnego. Nie jestem więc zwolennikiem takiego determinizmu, że oto już na pewno jesteśmy skazani na tak drastyczne zmniejszenie populacji, choć dobrze, że GUS takie prognozy ogłasza.

To mobilizuje?

Tak. Wciąż można podjąć działania i należy je oprzeć tym razem na trzech podstawowych filarach. Pierwszy z nich powinien polegać na rzetelnej identyfikacji przyczyn spadku dzietności, czyli

na czymś, o czym już rozmawialiśmy, i zrobieniu wszystkiego, co możliwe i co mieści się w kompetencjach państwa, by tym czynnikiem przeciwdziałać. Jeżeli takie kraje jak Czechy, Rumunia, Francja mogą mieć wskaźniki dzietności na poziomie 1,6 czy 1,7, to raczej nasze bariery nie są tak nieprzekraczalne, byśmy również nie mogli osiągnąć przynajmniej podobnych wyników.

Drugi filar to coś, co nazywam repatriacją 2.0, czyli taki olbrzymi program, który powinniśmy uruchomić, by ściągnąć do Polski jak najwięcej osób z zagranicy, które są Polakami lub mają polskie korzenie. Mamy naprawdę gigantyczny zasób obywateli, którzy wyjechali z kraju w czasie ostatnich fal emigracyjnych po akcesji do Unii Europejskiej, mamy ogromną liczbę Polonii czy Polonusów z polskimi korzeniami. I nie mówimy tu tylko o Polakach mieszkających na tzw. nieludzkiej ziemi, czyli np. repatriantach z Kazachstanu, tylko o ludziach, którzy teraz mogliby odnaleźć w Polsce poziom życia adekwatny do tego, do którego przywykli na Zachodzie. Szacunkowo na świecie żyje około 20 mln Polaków poza krajem i gdyby choć 10 proc. z nich zdecydowało się przyjechać do Polski, byłoby to dla nas duży potencjał prorodzajowy i prodemograficzny. No i wreszcie trzecia kwestia – mądra polityka imigracyjna, dotycząca zwłaszcza tych państw, które są nam bliskie kulturowo. Pamiętajmy bowiem, że oprócz Polaków na świecie żyje całkiem sporo osób z bliskich nam kręgów cywilizacyjnych, ludzi wykształconych, którzy chętnie do Polski przyjadą, bo to dla nich kraj rozwinięty i z perspektywami. Tak dzieje się na przykład z ludźmi z Ukrainy czy Białorusi, którzy doskonale odnajdują się na polskim rynku pracy. Można też myśleć o osobach z Europy Zachodniej, szukających takich miejsc jak Polska, która nęci ich swoją europejskością rozumianą w dawnym, dobrym, wolnościowym i tradycyjnym stylu. Dodatkową gałęzią tej polityki mógłby być tzw. drenaż mózgów, czyli tworzenie konkretnych zachęt dla wysokokwalifikowanych specjalistów, np. informatyków z Indii czy pielęgniarek z Filipin. Oczywiście w tych konkretnych przypadkach nie mówimy już o emigracji masowej, bo chcemy, by ludzie ci nie izolowali się w swoich własnych narodowych środowiskach, tylko integrowali się z nami i nie tworzyli jakichś diaspor, bo wtedy będziemy mieli to samo, co nie zdało egzaminu na Zachodzie. Nie wiem oczywiście, co z polityki przeciwdziałania zapaści demograficznej zostanie wdrożone w Polsce w najbliższych latach, ale protestuję przeciw twierdzeniu, że już nic nie da się zrobić, że już na pewno wymrzemy i nie ma dla nas ratunku. To po prostu nieprawda i kapitulacja. ●

wydarzenia

Raporty & Analizy & Firmy

Groźna akcja przeciw NBP

Posłowie rządzącej koalicji złożyli w Sejmie wniosek o postawienie prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Procedura wszczęta przez polityków może być niezwykle groźna dla polskiej gospodarki

Koalicja stawia prof. Adamowi Glapińskiemu osiem zarzutów. Dotyczą one m.in. skupu skarbowych papierów wartościowych bez upoważnienia RPP czy przeprowadzenia interwencji walutowych osłabiających polską walutę w grudniu 2020 r. Postępowanie w tej sprawie ma się toczyć przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej, która przedstawi Sejmowi wniosek albo o umorzenie postępowania, albo o pociągnięcie do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu. Do postawienia Prezesa NBP przed TS konieczna będzie bezwzględna większość głosów, jednak Trybunał Konstytucyjny 11 stycznia 2024 orzekł, że minimalna dopuszczalna większość to $\frac{3}{5}$. Według ustawy postawienie przed TS powoduje zawieszenie w czynnościach osoby, której to dotyczy, jednak ten zapis również został zakwestionowany przez Trybunał Konstytucyjny.

Akcja grupy posłów rządowej większości jest ostro komentowana przez znaczną część ekonomistów i prawników. Jej zdecydowanie polityczne cele podważają niezależność banku centralnego, mocno chronioną w Unii Europejskiej. NBP należy do Europejskiego Systemu Banków Centralnych, czyli do ciała zrzeszającego EBC, banki centralne strefy euro oraz państw członkowskich UE, które nie należą do eurostrefy. Akcja wymierzona w prezesa NBP może się okazać testem dla całego unijnego ESBC.

Stwarza też poważne problemy dla całej polskiej gospodarki, zarówno dla jej części finansowej, jak i inwestycyjnej, a pośrednio także dla budżetu. Zwróciła na to uwagę agencja ratingowa Fitch 5 lutego 2024, gdy o planach rządu wobec szefa banku centralnego już było głośno, lecz etap ich realizacji jeszcze nie nastąpił. Fitch pisał, że gwałtowna eskalacja napięć politycznych w Polsce zwiększyła ryzyko dla efektywności rządu, a to mogłoby skomplikować wysiłki na rzecz konsolidacji fiskalnej, opóźnić otrzymanie środków unijnych i negatywnie wpłynąć na nastroje na rynku, „zwłaszcza jeśli

zagroziłoby stabilności i funkcjonowaniu kluczowych instytucji”. Fitch przyznał, że poziom i częstotliwość konfrontacji przekroczyły jego oczekiwania i „zaczyna wpływać na realizację polityki”. I dalej: „Tusk w trakcie kampanii wyborczej odnosił się bardzo krytycznie do prezesa NBP, a próby wystawienia go przed specjalnym trybunałem przez nowy rząd (co może skutkować jego zawieszeniem) dodatkowo podsyliły debatę publiczną na temat niezależności NBP. Wiarygodność instytucji i wyników polityki są ważnymi czynnikami w analizie suwerenności przeprowadzanej przez Fitch”.

To mocne słowa, które pewno dały inwestorom do myślenia. „Pozycja prezesa każdego banku centralnego – czy to w Polsce, czy w innym kraju, również w krajach Unii Europejskiej – jest niesłychanie mocna. To przecież jeden z najwyższych funkcjonariuszy państwa, w związku z tym, jeżeli podważa się rzetelność jego działania, to ma to oczywiście pewien skutek polityczny” – mówiła w „Wywiadzie gospodarczym” w telewizji wPolsce.pl prof. Anna Łabno, konstytucjonalistka, profesor nauk prawnych. „Po pierwsze, destabilizuje to polityczny system państwa, po drugie – może mieć, i pewnie długofalowo będzie miało, wpływ na naszą sytuację gospodarczą, stabilizację złotego i koncepcję polityki pieniężnej” – dodała.

Przedstawiciele zarządu NBP na konferencji prasowej 26 marca stwierdzili, że wniosek przeciwko prezesowi Adamowi Glapińskiemu to próba złamania niezależności banku centralnego. Odnieśli się do ośmiu postawionych zarzutów i zdementowali je. W ich oświadczeniu znalazł się taki passus: „Wnioskodawcy tworzą stan, w którym w przypadku podobnych zagrożeń w przyszłości Polska będzie bezbronna, a osoby zajmujące funkcje publiczne będą się bały podejmowania decyzji”.

Akcja zainicjowana formalnie przez grupę posłów jest tym bardziej niebezpieczna, że takich zagrożeń nie brakuje, a być może jest ich coraz więcej. ●

Stanisław Koczot

Wadliwe prawo zagraża suwerenności polskiego banku centralnego

Polityka NBP, prowadzona w okresie koronakryzysu i w latach następnych, naznaczonych wojną u naszej wschodniej granicy, zyskała uznanie EBC, MFW, Banku Światowego, OECD. Obiektywnie nastawieni zagraniczni i krajowi eksperci podzielali tę opinię, w różny sposób manifestując swoje pozytywne oceny



fot. Krzysztof Kotowski



Grażyna Ancyparowicz
wykładowca Akademii Górnośląskiej
im. W. Korfantego, członek Rady
ds. Społecznych przy Prezydencie RP,
członek rady Polityki Pieniężnej
kadencji 2016–2022

Interwencjonizm państwa w krajach, które przystąpiły do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, ma m.in. podstawy prawne w art. IV Statutu tej organizacji: „Każdy członek powinien dążyć do kierowania swoją polityką gospodarczą i finansową w kierunku wspierania uporządkowanego wzrostu gospodarczego z rozsądną stabilnością cen, z należytym uwzględnieniem jego sytuacji i okoliczności”. Do tego postulatu, choć przy nieco innym rozłożeniu akcen-



tów, nawiązuje artykuł 9. Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej²: „Przy określaniu i realizacji swoich polityk i działań Unia bierze pod uwagę wymogi związane ze wspieraniem wysokiego poziomu zatrudnienia, zapewnianiem odpowiedniej ochrony socjalnej, zwalczaniem wykluczenia społecznego, a także z wysokim poziomem kształcenia, szkolenia oraz ochrony zdrowia ludzkiego”. Tak szeroko określony program działań wymaga kohabitacji banku centralnego z rządem. Wspólny front wobec wyzwań rozwojowych polega na harmonizacji polityki monetarnej, fiskalnej i strukturalnej, z czego wynika, że wsparcie udzielane rządowi nie narusza suwerenności banku centralnego w rozumieniu artykułu 130 TFUE: „Instytucje, organy i jednostki organizacyjne Unii, jak również rządy Państw Członkowskich nie będą dążyć do wywierania wpływu na członków organów decyzyjnych Europejskiego Banku Centralnego lub krajowych banków centralnych przy wykonywaniu ich zadań”. Warunkuje to jednak – o czym mówi artykuł 131 przywołanego wyżej Traktatu – zapewnienia zgodności ustawodawstwa krajowego z prawem Unii Europejskiej, w szczególności ze Statutem Europejskiego Systemu Banków Centralnych (ESBC).

Bank centralny jako oddział EBC

Podstawę prawną dla Narodowego Banku Polskiego i jego działalności stanowią następujące akty prawne: Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej³; ustawa o Narodowym Banku Polskim⁴, ustawa o Bankowym Funduszu Gwarancyjnym⁵; Prawo bankowe⁶; ustawa o ostateczności rozrachunku w systemach płatności⁷. Niektóre z tych

ustaw mają charakter fundamentalny, inne – systemowy i merytoryczny, a jeszcze inne – techniczny. Pomimo wielu nowelizacji przeprowadzonych w ostatnim ćwierćwieczu polskie prawo w wielu aspektach wciąż odbiega od zasad i standardów ESBC, a w konsekwencji nie chroni należycie autonomii Narodowego Banku Polskiego przed zakusami polityków. Co więcej, nic nie wskazuje na bliski termin wprowadzenia stosownych zmian w tym zakresie. Brak konwergencji prawnej stanowi istotną przeszkodę dla przystąpienia Polski do Unii Walutowej, paradoksalnie na gruncie prawa główną przeszkodę stanowi konstytucyjnie zagwarantowana niezależność NBP w obszarze szeroko pojętej polityki monetarnej. Oto, jak wypowiada się na ten temat Europejski Bank Centralny⁸: „Chociaż Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej nie formułuje wprost zasady niezależności Narodowego Banku Polskiego jako centralnego banku państwa, to jednak analiza przepisów konstytucyjnych dotyczących Narodowego Banku Polskiego prowadzi do wniosku, że zasada ta została wyrażona w Konstytucji *implicite*. W związku z tym, z uwagi na zasadę pewności prawa, wskazane jest, aby odpowiednio dostosować Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej w tym zakresie przy okazji jej zmiany w przyszłości”. Na czym miałyby polegać owo dostosowanie? Na nowelizacji Konstytucji (co jest raczej mało prawdopodobne) lub na przekazaniu na rzecz EBC niemal wszystkich kompetencji i prerogatyw NBP, uznając wyższość traktatu lizbońskiego nad polską ustawą zasadniczą.

Przyjęcie euro w miejsce złotego oznaczałoby przekształcenie naszego banku centralnego w oddział Europejskiego Banku Centralnego i całkowitą utratę auto-

”

Dostosowanie polskiej ustawy zasadniczej (a w konsekwencji także ustawy o NBP i innych ustaw) do przyjęcia euro jest sprawą nie tylko trudną, lecz również – biorąc pod uwagę układ sił w polskim Parlamencie – raczej odległą w czasie

mii w obszarze polityki monetarnej, emisyjnej, obsady personalnej oraz wyboru prezesa, członków zarządu i Rady Polityki Pieniężnej. To wymagałoby wykreślenia lub nowelizacji większości norm z artykułu 227 naszej Konstytucji. Po przeprowadzeniu tych zmian bezprzedmiotowe stałyby się również normy ustawy o NBP dotyczące: prowadzenia własnej polityki pieniężnej (artykuł 3 ust. 2 pkt 5; 12, 23 i 38-50a oraz 53), kwestii rozliczeń pieniężnych (artykuł 3 ust. 2 pkt 1.), polityki kursowej oraz zarządzania rezerwami dewizowymi (artykuł 3 ust. 2 pkt 3 i artykuł 17 ust. 4 pkt 2, artykuł 24, artykuł 3 ust. 2 pkt 2. oraz artykuł 52). Niezbędna byłaby również nowelizacja artykułu 23 ust. 7 ustawy o NBP⁹ oraz innych ustaw odnośnie do opiniowania projektów aktów normatywnych dotyczących działalności banków i mających znaczenie dla systemu bankowego. Na tym nie koniec. NBP zostałby całkowicie i nieodwołalnie pozbawiony prawa wyboru audytora zewnętrznego, uczestnictwa w międzynarodowych instytucjach finansowych i bankowych, delegowania pracowników do tych instytucji. Jak widać, dostosowanie polskiej ustawy zasadniczej (a w konsekwencji także ustawy o NBP i innych ustaw) do przyjęcia euro jest sprawą nie tylko trudną, lecz również – biorąc pod uwagę układ sił w polskim Parlamencie – raczej odległą w czasie. Co nie oznacza rezygnacji z podejmowania przez zainteresowane środowiska prób przystąpienia do unii walutowej na innych warunkach, drogą „na skróty”. Na przykład przez uznanie we wszystkich dziedzinach wyższości prawa unijnego nad Konstytucją RP.

Relikty przeszłości

Europejski Bank Centralny niczego takiego nie sugeruje, lecz niejako z obowiązku odnotowuje brak konwergencji polskiej ustawy zasadniczej z Traktatem i Statutem ESBC, natomiast od wielu lat podkreśla fakt nieuprawnionego utrzymywania w polskim ustawodawstwie niższego rzędu przepisów podporządkowujących NBP Sejmowi, Radzie Ministrów i Najwyższej Izbie Kontroli. Zdaniem EBC owe wadliwe regulacje powinny być już dawno zniesione lub znowelizowane. W pierwszym rzędzie chodzi o implementowane do aktualnie obowiązującej ustawy o NBP normy z lat 80. XX wieku, gdy NBP funkcjonował jako monobank, a jego prezes był podwładnym – nisko usytuowanego w ówczesnym aparacie władania państwem – ministra finansów. Te relikty przeszłości, które przetrwały po dziś dzień, to m.in. artykuł 9. ust. 1, który przekazuje w kompetencje Sejmu powoływanie i odwoływanie prezesa – jednego z trzech organów NBP (ta procedura nie dotyczy jednak członków zarządu); absurdalny art. 23 ust.1. pkt 3., na mocy którego prezes NBP opracowuje okresowe informacje o wpłatach (wypłatach) z zysku do budżetu i przekazuje do akceptującej wiadomości rządowi; nonsensowny w systemie kursu płynnego

(przyjętego formalnie 12 kwietnia 2000 r.) artykuł 24 ust. 1 i 2., który powierza Radzie Ministrów politykę walutową oraz zasady ustalania kursu złotego, artykuł 11 ust. 3, który oddaje w kompetencje Rady Ministrów prawo do reprezentowania interesów Rzeczypospolitej Polskiej w międzynarodowych instytucjach finansowych. Nie da się również pogodzić z niezależnością majątkową i finansową banku centralnego art. 69. ust 3, który nadaje Radzie Ministrów uprawnienia do zatwierdzania sprawozdania finansowego NBP. Podporządkowanie się tym normom ma w praktyce charakter formalny i techniczny, zaś merytorycznie jest niewykonalne z uwagi na pozycję banku centralnego w gospodarce rynkowej. Niemniej zachowanie takich norm w ustawie o NBP potencjalnie zagraża autonomii banku centralnego w wielu aspektach. Niechętna prowadzonej polityce pieniężnej Rada Ministrów może bowiem wykorzystać owe prawne skamieliny, aby wywierać nacisk na organa NBP. Dostrzegł to EBC, sygnalizując problem w Raporcie o Konwergencji z 2022 r. „Wszelkie oznaki wywierania nacisku na organy decyzyjne banków centralnych państw członkowskich, wbrew postanowieniom Traktatu dotyczącym niezależności banków centralnych, budzą uzasadniony niepokój”.

Ograniczenia przeciwnie unijnemu prawu

Sprzeczne z prawem unijnym normy, ograniczające autonomię NBP, pochodzą nie tylko z prawodawstwa realnego socjalizmu, niektóre są całkiem świeżej daty. Żeby nie być gołosłownym: pod wpływem oszczerczej kampanii medialnej, w marcu 2019 r. Sejm znowelizował artykuł 66 ustawy o NBP, ograniczając uprawnienia zarządu do kształtowania polityki płacowej. Zgodnie z aktualnie obowiązującym prawem maksymalne wynagrodzenie pracowników Narodowego Banku Polskiego (poza członkami zarządu) nie może przekroczyć 0,6-krotności wynagrodzenia prezesa, przy

czym jego wynagrodzenie jest ustalane na podstawie odrębnych przepisów, które nie zostały wówczas zmienione. W opinii EBC zmiany prowadzące do ustawowej regulacji wynagrodzeń są niezgodne z zasadą niezależności finansowej NBP, „nie spełniają wymogów ustanowionych w artykule 130 Traktatu, w artykule 7. oraz 14. Statutu ESBC, negatywnie wpływają na zdolność krajowego banku centralnego do zatrudniania i zatrzymywania pracowników w celu niezależnego wykonywania zadań nałożonych w Traktacie i Statucie ESBC”. Jakby tego nie było dość, Sejm – ingerując w politykę kadrową NBP – wprowadził także (sprzeczny z RODO) nakaz publikowania wynagrodzeń osób pełniących funkcje kierownicze w polskim banku centralnym. Szeroki i łatwy dostęp do tych informacji może zaburzać relacje interpersonalne, budzić zawiść i niechęć niżej uposażonych pracowników zarówno w samym banku, jak i osób pracujących w innych instytucjach, urzędach czy przedsiębiorstwach. Kwestionowany przez EBC kuriozalny przepis prawny obowiązuje już piąty rok i nikt nie zamierza go zmieniać, choć jest to norma niespotykana ani w Europie, ani na świecie.

Jak już sygnalizowałam, autonomię majątkową i finansową NBP naruszają – zdaniem EBC – zbyt szerokie uprawnienia Najwyższej Izby Kontroli nadane w artykule 203 ust. 1. Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, gdyż przeczą one statutowej zasadzie poufności. W tej kwestii EBC wypowiada się następująco: „Zakres kontroli NIK powinien być jasno określony, nie powinien ograniczać działalności niezależnych zewnętrznych biegłych rewidentów Narodowego Banku Polskiego, powinien respektować zakaz wydawania instrukcji krajowemu bankowi centralnemu i jego organom decyzyjnym oraz nie powinien utrudniać realizacji zadań związanych z uczestnictwem krajowego banku centralnego w ESBC. W szczególności należy zapewnić, by podczas kontroli działalności Narodowego Banku Polskiego stosowane przez NIK kryterium celowości nie rozciągało się na ocenę działań Narodowego Banku Polskiego związanych z głównym celem utrzymania stabilności cen. W tym zakresie należy dostosować art. 203 ust. 1 Konstytucji do postanowień art. 130 Traktatu i art. 7 Statutu. [...] Ponadto, na podstawie art. 37 Statutu w powiązaniu z art. 130 Traktatu, dostęp do informacji poufnych i dokumentów Narodowego Banku Polskiego przez NIK musi być ograniczony do informacji koniecznych do wykonywania przez nią jej zadań statutowych. Dostęp do informacji poufnych nie może również naruszać zasad niezależności i poufności ESBC, do przestrzegania których są zobowiązani członkowie organów decyzyjnych krajowych banków centralnych i ich pracownicy”. Zalecenia te od wielu lat pozostają bez echa, co m.in. skutkuje koniecznością wyjaśniania przynajmniej raz w roku, na piśmie, inspektorom NIK, czym kierowała się Rada Polityki Pieniężnej w procesie decyzyjnym.



Gdy równowaga jest zagrożona

Jak wspomniano na wstępie, obowiązkiem banku centralnego, nienaruszającym jego autonomii, jest wsparcie wysiłków rządu w procesie przywracania zaburzonej równowagi makroekonomicznej. W takim przypadku Statut ESBC, wskazując w artykule 18. ust. 1. „na właściwie zabezpieczone operacje kredytowe z instytucjami kredytowymi oraz innymi uczestnikami rynku”, w artykule 21. zezwala na operacje finansowe z publicznymi podmiotami, które „korzystają ze strony krajowych banków centralnych i EBC z takiego samego traktowania jak prywatne instytucje kredytowe”. W nawiązaniu do tych norm prawa unijnego artykuł 42 ust. 1 w powiązaniu z art. 3 ust. 2 pkt 5 ustawy o NBP przewiduje możliwość udzielania przez Narodowy Bank Polski kredytu refinansowanego bankom spełniającym określone warunki. Ponadto artykuł 42 ust. 3 ustawy o NBP pozwala Narodowemu Bankowi Polskiemu na udzielanie kredytu refinansowego dla



Konferencja prasowa Narodowego Banku Polskiego 26 marca, w reakcji na złożenie przez grupę posłów obecnej koalicji rządzącej wniosku o Trybunał Stanu dla prezesa NBP prof. Adama Głapińskiego. Na zdjęciu od lewej: Piotr Pogonowski, członek zarządu NBP, Rafał Sura, członek zarządu NBP, Artur Soboń, członek zarządu NBP, Adam Lipiński, wiceprezes NBP, Marta Kightley, wiceprezes NBP, pierwszy zastępca prezesa NBP, Paweł Szalamacha, członek zarządu NBP, Dorota Szymanek, dyrektor Departamentu Prawnego, Lech Skrzynecki, zastępca dyrektora Departamentu Prawnego, Bernard Smykła, zastępca dyrektora Departamentu Prawnego

realizacji planu naprawy banku; plan ten wdraża się w razie naruszenia lub wystąpienia niebezpieczeństwa naruszenia przez bank komercyjny wymogów w zakresie m.in. funduszy własnych i wskaźnika pokrycia wpływów netto. We wszystkich przypadkach udzielenie kredytu podlega ogólnym przepisom Prawa bankowego, z ewentualnymi zmianami wynikającymi z ustawy o NBP. EBC uważa, że przepisy te nie są transparentne i powinny być doprecyzowane. Środki zabezpieczające terminową spłatę takiego kredytu zawarte w obowiązujących przepisach nie wykluczają bowiem interpretacji, która pozwalałaby na udzielenie kredytu refinansowego bankowi w trakcie realizacji postępowania naprawczego, który mimo to stałby się niewypłacalny. Możliwość działań stabilizujących rynek międzybankowy istnieje także na mocy artykułu 42 ustawy o NBP w związku z art. 270 i art. 306 ustawy o Bankowym Funduszu Gwarancyjnym¹⁰. Ta norma prawna przyznaje NBP uprawnienie do udzielania BFG kredytu krótkoterminowego na potrzeby związane z fi-

nansowaniem przez Fundusz funkcji gwarantowania depozytów, w sytuacji wystąpienia zagrożenia stabilności finansowej oraz w celu pokrycia pilnych potrzeb Funduszu, który stanowi „instytucję publiczną” (podmiot prawa publicznego) w rozumieniu art. 123 ust. 1. TFUE. I ten przepis budzi wątpliwości EBC, który zaleca nowelizację ustawy o NBP w taki sposób, by jasne było, że wsparcie płynności ma jedynie tymczasowy charakter i że nie można udzielać pomocy niewypłacalnym instytucjom finansowym.

NBP – podobnie jak inne banki centralne – realizując strategię celu inflacyjnego, „wspiera ogólne polityki gospodarcze, sprzyjając efektywnej alokacji zasobów”, jeśli nie pociąga to za sobą „uszczerbku dla stabilności cen”, toteż działania polegające na kontrolowaniu poziomu płynności banków są dozwolone na mocy 123 TFUE¹¹. Sterowanie płynnością systemu finansowego dokonuje się głównie za pomocą podstawowych, dostrajających – a w razie konieczności – także strukturalnych operacji otwartego rynku, które są narzędziem

tw. luzowania ilościowego (QE)¹². Te ostatnie są stosowane wtedy, gdy stopa referencyjna kształtuje się w pobliżu zera, ale nie wystarcza dla przełamania sytuacji kryzysowej w realnej gospodarce. Jeśli poprawa koniunktury wymaga użycia instrumentów generujących bodźce podażowe, to z reguły funkcję tę pełnią strukturalne operacje otwartego rynku; są to transakcje kupna na rynku wtórnym obligacji skarbowych lub innych instrumentów dłużnych o ratingu inwestycyjnym. Włączenie się banku centralnego w tego rodzaju operacje zmienia strukturę płynnych aktywów systemu bankowego, nie generując inflacji o charakterze monetarnym. Tego typu działanie zwiększa bowiem sumę bilansową banku centralnego, hamując nadmierną kreację pieniądza M2 przez banki komercyjne, ułatwiając zarazem plasowanie rządowego długu na rynku międzybankowym i obniżając jego oprocentowanie, a w następstwie – także koszty obsługi długu. Wbrew nieuprawnionym, błędnym opiniom pojawiającym się nie tylko w polskich mediach, lecz także głoszonych przez osoby podające się za ekspertów, uruchomienie strukturalnych operacji otwartego rynku nie jest tożsame z finansowaniem wydatków budżetowych. Tezę tę potwierdza EBC: „Artykuł 220 ust. 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej nie implementuje artykułu 123 TFUE, a w związku z tym jego cele i funkcje nie są identyczne z celami oraz funkcjami rzeczzonego zakazu finansowania zawartego w Traktacie”. Oznacza to, że w razie potrzeby każdy bank centralny może wspomagać politykę fiskalną, sięgając po instrumenty QE, gdyż nie są to działania tożsame z kredytowaniem wydatków państwa. Takiego właśnie wsparcia udzielił w latach 2020–2021 Narodowy Bank Polski rządowi – po ogłoszeniu 15 marca 2020 r. przez Światową Organizację Zdrowia stanu pandemii COVID-19.

Akomodacyjne działania podjęte przez NBP, zainicjowane w okresie credit crunch i paniki na rynkach finansowych, po kilku miesiącach przywróciły płynność w polskim sektorze bankowym. W drugiej połowie 2020 r. niebagatelną rolę w tym procesie odegrał też wzmożony napływ walut obcych – wymienianych przez NBP na złote, finalnie łądzące w bankach komercyjnych. W tych okolicznościach jesienią 2021 roku wystąpiła wysoka nadpłynność; potrzebą chwili stało się zwiększenie emisji własnych bonów NBP w celu kontrolowania poziomu płynności naszego systemu bankowego. Niekiedy spotyka się to z zarzutem, że NBP działał niekonsekwentnie, bo z jednej strony zwiększał płynność banków komercyjnych, angażując się w skup rządowych papierów dłużnych, a z drugiej – prowadził operacje podstawowe, absorbujące płynność sektora bankowego. Problem polega na tym, że recenzenci polityki pieniężnej nie zwracają uwagi na rozbieżność w czasie tych operacji. Sytuacja płynnościowa na polskim rynku bankowym zmieniała się bowiem gwałtownie, żeby nie powiedzieć – dramatycznie.

”

Akomodacyjne działania podjęte przez NBP, zainicjowane w okresie credit crunch i paniki na rynkach finansowych, po kilku miesiącach przywróciły płynność w polskim sektorze bankowym

Korzystając z okazji, warto się zastanowić nad ewentualnymi skutkami powstrzymania się przez NBP od zakupu na rynku wtórnym obligacji skarbowych. Zapewne nie powstrzymałoby to rządu od dystrybucji środków w ramach tarcz antycovidowych, lecz odbyłoby się to kosztem wysokiego oprocentowania długu i przeczyłoby strategii NBP, która wtedy dążyła do zmniejszenia presji na rosnące koszty obsługi długu publicznego. Alternatywne plasowanie tych obligacji na rynku zagranicznym nie tylko byłoby równie (a może nawet bardziej) kosztowne dla budżetu państwa, lecz także implikowałoby dalszy wzrost napływu walut obcych i szkodliwe (naonczas) umacnianie się złotego. Finalnym skutkiem uplasowania obligacji za granicą byłoby to, że pozyskane w ten sposób środki trzeba byłoby wymienić na złote w NBP, toteż suma bilansowa polskiego banku centralnego zwiększyłaby się o mniej więcej tyle samo, co w przypadku odkupu tych obligacji od banków krajowych w ramach strukturalnych operacji otwartego rynku.

Twarda walka z inflacją

Wraz z powrotem względnej normalizacji sytuacji zdrowotnej, do światowej i polskiej gospodarki powróciła inflacja, której tempo gwałtownie przyspieszyło w przededniu agresji rosyjskiej na Ukrainę i w pierwszych miesiącach wojny. Już na początku października 2022 r. polski bank centralny – wyprzedzając decyzje innych głównych banków centralnych – zainicjował cykl 11 podwyżek stóp procentowych. Restrykcyjna polityka pieniężna została nieco złagodzona wczesną jesienią 2023 r., gdy pojawiły się wyraźne symptomy wygasania presji inflacyjnej. Na dalsze obniżki stóp procentowych RPP jednak się nie zdecydowała, biorąc pod uwagę wysoki poziom inflacji bazowej i niepewność co do utrzymywania podjętych w kryzysie przez rząd działań łagodzących skutki drastycznych podwyżek cen żywności, gazu i energii. Przewiduje się, że trwały powrót inflacji do celu nastąpi w drugiej połowie 2026 r.

Utrzymywane od października 2021 r. do chwili obecnej historycznie najwyższe od 2004 r. stopy procentowe NBP generowały wysokie koszty polityki pieniężnej, a ponadto pośrednio przyczyniały się także do silnej aprecjacji naszej waluty. Doprowadziło do straty bilansowej NBP w latach 2022–2023. Strata ta ma negatywny wpływ na poziom kapitałów własnych, lecz ze względu na swój wirtualny charakter nie zagraża stabilności działań NBP ani nie stanowi przeszkody dla wypełniania misji i funkcji naszego banku centralnego. Tak więc – suma summarum – polityka NBP prowadzona w okresie koronakryzysu i w latach następnych naznaczonych wojną u naszej wschodniej granicy zyskała uznanie EBC, MFW, Banku Światowego, OECD. Obiektywnie nastawieni zagraniczni i krajowi eksperci podzielali tę opinię, w różny sposób manifestując swoje pozytywne oceny. Natomiast liberalnie nastawieni kosmopolici, a także lobbyści optujący za szybkim przyjęciem euro nie tylko poddawali ostrej krytyce każde posunięcie NBP, lecz również posuwali się do szyderstwa i innych działań, szkodliwych dla wizerunku oraz renomy NBP, przy czym głównym obiektem tych ataków stał się prezes tej instytucji, profesor Adam Glapiński.

Bezprawny zamach

Statut ESBC w art. 14. ust. 2 głosi: „Prezes może zostać zwolniony z urzędu wyłącznie wówczas, gdy nie spełnia już warunków koniecznych do wykonywania swych funkcji lub dopuścił się poważnego uchybienia; decyzja w tej sprawie może być zaskarżona do Trybunału Sprawiedliwości przez prezesa, którego dotyczy, lub Radę Prezesów z powodu naruszenia Traktatów lub jakiegokolwiek reguły prawnej dotyczącej ich stosowania”. W odniesieniu do zasady gwarantującej stabilność sprawowania urzędu i podstaw odwołania innych członków organów decyzyjnych Narodowego Banku Polskiego zaangażowanych w realizację zadań związanych z uczestnictwem w ESBC (członków zarządu, pierwszego zastępcy prezesa NBP oraz członków Rady Polityki Pieniężnej) artykuł 13 ust. 5 oraz drugie zdanie artykułu 17 ust. 2b ustawy o NBP przewidują następujące przyczyny odwołania: choroba trwale uniemożliwiająca sprawowanie funkcji, skazanie prawomocnym wyrokiem sądu za popełnienie przestępstwa, złożenie niezgodnego z prawdą oświadczenia lustracyjnego, stwierdzonego prawomocnym orzeczeniem sądu, niezawieszenie członkostwa w partii politycznej lub związku zawodowym.

Żadna z tych przesłanek nie zachodzi, natomiast dworscy i satelitarni eksperci oraz politycy o neoliberalnym światopoglądzie, na podstawie subiektywnych ocen i plotek niepopartych żadnymi dowodami, zarzucają prezesowi NBP, profesorowi Adamowi Glapińskiemu, partyjniactwo i łamanie prawa. Równocześnie zaś obecna większość sejmowa z determinacją i nie

przebierając w środkach, dąży do jego impeachmentu, lekceważąc TFUE, Statut ESBC, Konstytucję i wyrok Trybunału Konstytucyjnego¹³. Jest przy tym oczywiste, że istota konfliktu tylko pozornie dotyczy spraw fundamentalnych, w rzeczywistości ma wymiar wyłącznie personalny. Chodzi o to, by większość sejmowa miała własnego, spolegliwego wobec rządu szefa NBP. W tym kontekście jawi się pytanie: czy zamach na suwerenność jednego z organów Narodowego Banku Polskiego przejdzie bez echa, czy przeciwnie – wywoła stosowną reakcję ze strony Komisji Europejskiej, EBC i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej? ●

Przypisy końcowe

- ¹ Articles of Agreement of the International Monetary Fund, <https://treaties.un.org/pages/showDetails.aspx?objid=0800000280165965>, dostęp: 02.04.2024.
- ² „W wykonywaniu uprawnień oraz zadań i obowiązków, które zostały im powierzane Traktatami i Statutem ESBC i EBC, ani Europejski Bank Centralny, ani krajowy bank centralny, ani członek któregośkolwiek z ich organów decyzyjnych, nie zwracają się o instrukcje ani ich nie przyjmują od instytucji, organów ani jednostek organizacyjnych Unii, rządów Państw Członkowskich, ani jakiegokolwiek innego organu. Instytucje, organy lub jednostki organizacyjne Unii, jak również rządy Państw Członkowskich zobowiązują się szanować tę zasadę i nie dążyć do wywierania wpływu na członków organów decyzyjnych Europejskiego Banku Centralnego lub krajowych banków centralnych przy wykonywaniu ich zadań”. Traktat o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej: <https://eur-lex.europa.eu/legal-content/PL/TXT/PDF/?uri=CELEX:12012E/TXT>, dostęp: 02.04.2024.
- ³ Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 2 kwietnia 1997 r. (Dz.U. z 1997 r. nr 78, poz. 483 z późn. zm.).
- ⁴ Ustawa z dnia 29 sierpnia 1997 r. o Narodowym Banku Polskim (Dz.U. 1997 nr 140 poz. 938 z późn. zm.).
- ⁵ Ustawa z dnia 10 czerwca 2016 r. o Bankowym Funduszu Gwarancyjnym, systemie gwarantowania depozytów oraz przymusowej restrukturyzacji (Dz.U. 2016 poz. 996 z późn. zm.).
- ⁶ Ustawa z dnia 29 sierpnia 1997 r. – Prawo bankowe (Dz.U. 1997 nr 140 poz. 939 z późn. zm.).
- ⁷ Ustawa z dnia 24 sierpnia 2001 r. o ostateczności rozrachunku w systemach płatności i systemach rozrachunku papierów wartościowych oraz zasadach nadzoru nad tymi systemami (Dz.U. 2001 nr 123 poz. 1351 z późn. zm.).
- ⁸ EBC, Raport o konwergencji 2022, <https://www.ecb.europa.eu/press/other-publications/convergence/html/ecb.cr202206~e0fe4e1874.pl.html#toc90>, dostęp: 02.04.2024.
- ⁹ Artykuł ten określa przypadki udostępniania danych na rzecz podmiotów zewnętrznych, co może naruszać zasadę poufności w rozumieniu Statutu ESBC.
- ¹⁰ BFG jest instytucją publiczną ze względu na następujące atrybuty: został utworzony w celu zaspokajania potrzeb w interesie ogólnym – w szczególności wykonywania zadań związanych ze stabilnością finansową, zarządzaniem systemem gwarantowania depozytów oraz restrukturyzacją i uporządkowaną likwidacją; posiada osobowość prawną; jest w wysokim stopniu zależny od podmiotów sektora publicznego, o których mowa w art. 123 ust. 1 Traktatu, jako że większość członków Rady Funduszu, która jest jego organem administracyjnym, jest powoływana przez ministra właściwego do spraw instytucji finansowych oraz przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego. Ponadto Fundusz należy do katalogu podmiotów stanowiących część sektora publicznego na potrzeby ustawy o finansach publicznych z dnia 27 sierpnia 2009 r.
- ¹¹ Artykuł 123 Traktatu, uzupełniony rozporządzeniem Rady (WE) nr 3603/93, jest stosowany bezpośrednio, więc zasadniczo nie ma konieczności przenoszenia go do ustawodawstwa krajowego.
- ¹² Operacje otwartego rynku pełnią ważną funkcję w sterowaniu stopami procentowymi, zarządzaniu płynnością na rynku oraz sygnalizowaniu kursu polityki pieniężnej. Podstawowe (regularne) operacje otwartego rynku polegają na jednotygodniowych operacjach zasilających płynność (podstawowe operacje refinansujące) oraz trzymiesięcznych operacjach zasilających płynność (długoterminowe operacje refinansujące). Celem podstawowych operacji refinansujących są krótkoterminowe stopy procentowe, podczas gdy długoterminowe operacje refinansujące zapewniają dodatkowe, długoterminowe refinansowanie. Operacje dostrajające mają na celu regulację niespodziewanych wahań płynności na rynku, a zwłaszcza łagodzenie ich wpływu na stopy procentowe, podczas gdy operacje strukturalne służą głównie stałemu korygowaniu pozycji strukturalnej systemu pieniężnego wobec sektora finansowego.
- ¹³ Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z dnia 11 stycznia 2024 (Dz. U. 2024, poz. 95).

Komu przeszkadzają Małaszewicze?



Konferencja w jednym z terminali kontenerowych w Małaszewiczach. Od lewej: poseł Dariusz Stefaniuk, senator Grzegorz Bierecki, były członek zarządu PKP SA Krzysztof Golubiewski

fol. Mat. prasowe

Od kilku miesięcy obserwujemy bezprecedensowy atak ekipy, która przejęła w Polsce władzę 13 grudnia 2023 roku, na Centralny Port Komunikacyjny. To jednak nie jest jedyna inwestycja, którą może pogrzebać obecny rząd. Zagrożona jest także rozbudowa terminala w Małaszewiczach

O sprawie CPK w ciągu ostatnich miesięcy napisano bardzo dużo. Odbyły się debaty, swoje racje przedstawili liczni eksperci i mimo że argumenty podawane podczas dyskusji jednoznacznie wskazują, iż budowa ma sens, to inwestycja wciąż jest torpedowana i wciąż nie wiadomo, czy powstanie.

Centralny Port Komunikacyjny jest niezwykle ważny, warto o nim przypominać na każdym kroku i zdecydowanie o niego walczyć, bo sprawa dotyczy przyszłości Polski. Trzeba jednak pamiętać, że to niejedyna strategiczna inwestycja zaplanowana przez poprzedni rząd, która nie cieszy się sympatią nowej władzy. Trochę w cieniu CPK, bardziej po cichu, na wschodzie kraju rozgrywa się inny akt dramatu „związania Polski”. Pod coraz większym znakiem zapytania staje kwestia rozbudowy suchego portu w Małaszewiczach – polskiej kolejowej bramy na Wschód, kluczowego elementu Nowego Jedwabnego Szlaku, który może zapewnić naszemu państwu gigantyczne wpływy do budżetu i być impulsem do potężnego rozwoju wschodnich województw.

Europejska brama Nowego Jedwabnego Szlaku

Centrum logistyczne w Małaszewiczach to w sumie pięć terminali przeładunkowych połączonych roz-

”

Małaszewicze położone są w tzw. korytarzu transportowym łączącym Europę Zachodnią z Azją Wschodnią – Chinami, ale też Koreą Południową oraz pośrednio poprzez koreańskie i chińskie porty z Japonią. Dlatego nazywane są europejską bramą tzw. Nowego Jedwabnego Szlaku

budowaną siecią torów o rozstawie standardowym europejskim (1 435 mm) i tzw. szerokim rozstawie, stosowanym w krajach byłego Związku Sowieckiego (1 520 mm). To także liczne bocznice, zwrotnice i rampy przeładunkowe. Centrum zajmuje powierzchnię ponad 62 hektarów i obecnie jest największym w Europie tzw. suchym portem przeładunkowym o znaczeniu międzykontynentalnym.

Małaszewicze położone są w tzw. korytarzu transportowym łączącym Europę Zachodnią z Azją Wschodnią – Chinami, ale też Koreą Południową oraz pośrednio poprzez koreańskie i chińskie porty z Japonią. Dlatego nazywane są europejską bramą tzw. Nowego Jedwabnego Szlaku.

Przebiega on przez Polskę i lądem łączy Daleki Wschód z portami morskimi naszego kraju i Europy Zachodniej. Zintegrowany jest ze stykiem europejskich połączeń drogowych: Madryt, Rotterdam, Duisburg, Hamburg, Berlin, Gdańsk, Gdynia, Zduńska Wola, Brześć, Xi'an, Chengdu, Zhengzhou, Hefei, Wuhan, Changsha, Xiamen. W chwili obecnej zdolność przeładunkowa szacowana jest na 300 tys. ton miesięcznie, jednak w myśl planów przyjętych przez poprzedni rząd ta wartość miała się zwiększyć trzykrotnie, a wpływy do budżetu państwa – nawet pięciokrotnie. Dziś jednak nie wiadomo, czy projekt rozbudowy będzie kontynuowany, bo od kilku miesięcy rząd zwleka z przekazaniem środków na ten cel.

Wyboista droga ku bogactwu

Choć suchy port w Małaszewiczach obsługuje kluczowe połączenie lądowe między Europą a Azją, to jego rozbudowa nie znalazła się na liście priorytetowych inwestycji Unii Europejskiej. Może to dziwić, bo to właśnie ten szlak byłby podstawowym połączeniem tranzytowym w przypadku konfliktu amerykańsko-chińskiego w Azji i amerykańskiej blokady morskiej chińskich portów lub chińskich portów koreańskich i japońskich.

W 2022 roku, czyli już po doświadczeniu związanym z zerwaniem łańcucha dostaw w wyniku pandemii koronawirusa i po rosyjskiej agresji na Ukrainę, eurokraci uznali, że rozbudowa suchego portu w Małaszewiczach nie jest potrzebna, i odmówili wsparcia inwestycji. „To paskudne uczucie. Pełne poczucia niesprawiedliwości

i segregacji” – mówił wówczas Andrzej Sokolewicz, ówczesny prezes spółki Cargotor, która obsługuje centrum logistyczne. Cargotor wnioskował o 1,6 mld zł dofinansowania. Urzędnicy z Brukseli dali projektowi minimalną liczbę punktów w kategorii „pilności”, tłumacząc to sytuacją na wschodnich granicach UE. To tak, jakby eurokraci karali nasz region za to, że Putin rozpętał wojnę z Ukrainą, a Łukaszenka mu pomaga. „Czuję się teraz jak dziecko z niezamożnej białej rodziny z biednego południowego stanu USA, które świetnie zdało egzamin na studia na stanowym uniwersytecie, uzyskując wymaganą liczbę punktów, ale ze względu na prowadzoną właśnie akcję afirmacyjną nie zostało przyjęte na studia, gdyż jego miejsce musiał zająć ktoś o innym kolorze skóry” – mówił Andrzej Sokolewicz cytowany przez „Dziennik Wschodni”.

W tej sytuacji finansowanie inwestycji postanowił wziąć na siebie rząd Mateusza Morawieckiego. W kilka miesięcy przygotowano stosowne rozwiązania prawne i ustawę, która miała zapewnić środki na rozwój Małaszewicz. Komisja Europejska, choć pieniędzy na rozbudowę nie dała, tym razem przynajmniej postanowiła nie przeszkadzać i wydała zgodę na rozbudowę.

Zainwestować 3 mld zł, zarobić 50 mld zł

W sierpniu 2023 r. ustawę, która wcześniej przeszła przez rząd, Sejm i Senat, podpisał prezydent Andrzej Duda. „Ta ustawa daje ponad 3 mld zł inwestycji w port przeładunkowy w Małaszewiczach. Zmienia strukturę organizacyjną tego przedsiębiorstwa. Przynosi trwałą inwestycję, która stworzy tu szereg miejsc pracy. Jest to największa inwestycja w Polsce Wschodniej” – mówił wówczas senator Grzegorz Bierecki, który od lat jest jednym z największych orędowników projektu, ponieważ rozumie, jak wiele korzyści rozbudowa suchego portu może przynieść polskiemu budżetowi i Polsce Wschodniej.

Dzięki rządowemu wsparciu i modernizacji infrastruktury centrum logistycznego, dobową liczbą pociągów miała wzrosnąć z 14–16 do 34–36. Jak to się przekłada na realne korzyści? Rozbudowa suchego portu oznacza nowe miejsca pracy w północnej Lubelszczyźnie, która przez wiele lat była jednym z najbardziej po macoszemu traktowanych regionów kraju, do tego o wysokim bezrobociu. Dopiero po 2015 roku, kiedy do władzy doszedł PiS, to się zmieniło. Ruszyły inwestycje infrastrukturalne w drogi i koleje, rozpoczęto budowę autostrady A2 do granicy państwa w Terespolu, a w Białej Podlaskiej przywrócono jednostkę wojskową, która z miejsca stała się jednym z największych pracodawców w mieście. Kolejnym elementem tej rozwojowej układanki miały być rozbudowane Małaszewicze. Jednak nie tylko o rozwój regionu tu chodzi. Suchy port to także gigantyczne pieniądze, które mogłaby zarobić

”

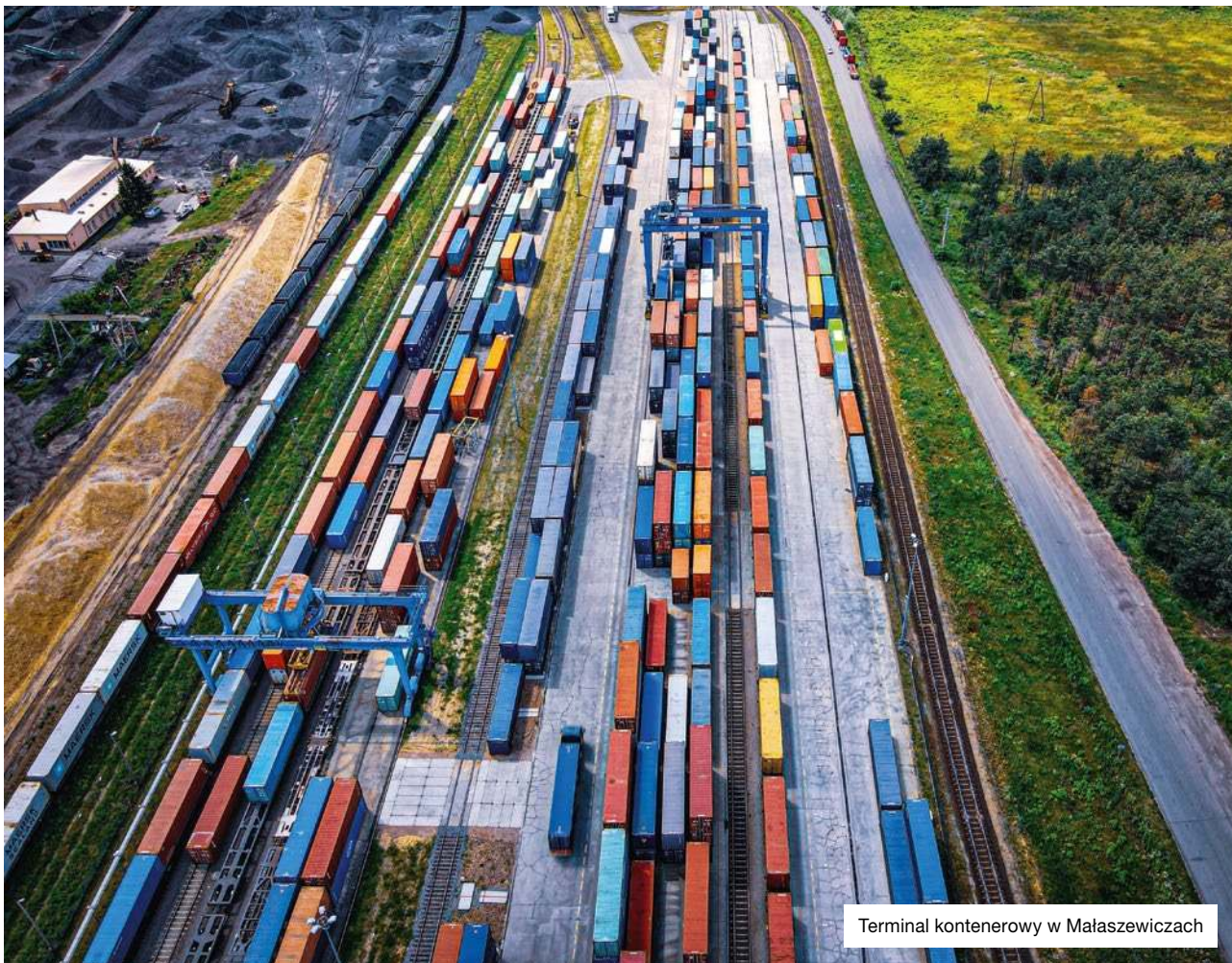
Rozbudowa suchego portu w Małaszewiczach oznacza nowe miejsca pracy w północnej Lubelszczyźnie, która przez wiele lat była jednym z najbardziej po macoszemu traktowanych regionów kraju, do tego o wysokim bezrobociu

Polska w ramach podatków. Już dziś wpływy z Małaszewicz generują 10–20 mld zł rocznie. A szacuje się, że po modernizacji, za około 10 lat, przekroczą 50 mld zł. – Ta inwestycja w ciągu 10 lat może dać dla państwa polskiego około 50 mld zł czystego dochodu – mówi w rozmowie z naszą gazetą poseł Dariusz Stefaniuk, parlamentarzysta PiS z tego regionu, który w 2023 r. głosował za ustawą i nie krył radości z jej przyjęcia.

Czarne chmury nad Małaszewiczami

Zadowolenia nie krył również senator Grzegorz Bierecki, który jednak już wówczas wyrażał obawę, że inwestycja może być nie w smak unijnym decydentom i w przypadku odsunięcia PiS od władzy mogą zostać podjęte kroki, by ją zablokować. „Teraz trzeba przypilnować, aby wszystko zostało zrealizowane, dokończone, żeby żadna Grupa Webera nie wstrzymała realizacji tego projektu. Pamiętajmy, że Unia Europejska odmówiła finansowania rozbudowy Małaszewicz. Dlaczego? Tak naprawdę dlatego, że to konkurencja dla portów na wybrzeżu Morza Północnego. Finansujemy to więc w całości z polskiego budżetu. Dzięki temu, że potrafimy zarządzać środkami publicznymi, Polskę dziś na takie inwestycje stać. Polski dobrobyt powinien i może być finansowany za polskie pieniądze” – tłumaczył w sierpniu ub.r. w rozmowie z portalem podlaski.info Grzegorz Bierecki.

Czarne wizje senatora zaczęły się spełniać bardzo szybko. Po październikowych wyborach PiS musiał oddać władzę, w resortach gospodarczych znaleźli się nowi ludzie nowej ekipy i – podobnie jak miało to miejsce w przypadku CPK – od razu zaczęło opóźniać realizację przedsięwzięcia. Grzegorz Bierecki dotrzymał słowa i już w styczniu podczas debaty budżetowej wprost pytał nowego ministra finansów Andrzeja Domańskiego, co się dzieje w sprawie Małaszewicz, i przypomniał mu o realnym wpływie tej inwestycji na budżet państwa.



Terminal kontenerowy w Małaszewiczach

for Shutterstock

Senator PiS wystosował nawet oficjalne zapytanie do ministerstwa w tej sprawie, ale odpowiedź, którą dostał, zmroziła nawet największych optymistów. „To jest kwestia inwestycji w tzw. suchy port kolejowy w Małaszewiczach, gdzie w ciągu czterech lat mają być zainwestowane 3 mld zł, gwarantowane w ustawie, na podstawie której mają być przekazane obligacje do PLK, aby to zrealizowała. Chodzi o gigantyczne zyski skarbu państwa. W okresie 10 lat to 40 mld zł z OSR-u [Oceny Skutków Realizacji – dop. red.]. Pytałem na komisji panią minister o to, czy minister infrastruktury wystąpił o przekazanie obligacji. Bardzo mi zależy na tym, żeby to opóźnienie, z którym mamy już do czynienia, w realizacji tej ustawowo przyjętej inwestycji się nie zwiększało, jak to na kolei często się zdarza. To największa inwestycja państwowa w Polsce Wschodniej, pomijając inwestycje drogowe. To inwestycja o ogromnej rentowności, z bogatą historią trudów przy dojściu do ustawy, która tę inwestycję gwarantuje” – wyliczał i pytał senator Grzegorz Bierecki podczas budżetowego posiedzenia Senatu.

Ministerstwo finansów poinformowało, że nie przekazało na razie obligacji (w takiej formie miało na-

stąpić przekazanie środków) na rozbudowę terminala w Małaszewiczach, i zapowiedziało, że w najbliższym czasie ich nie przekaze, bo nowy rząd nie dokonał jeszcze fuzji spółek odpowiedzialnych za rozbudowę. Czyli minister infrastruktury nie wystąpił do ministra finansów o przekazanie obligacji, ponieważ... podległe rządowi spółki nie przygotowały planu swojego połączenia. W praktyce oznacza to, jak wskazało ministerstwo, że trzeba będzie nowelizować ustawę, bo tej, która jest, nie da się po prostu wykonać.

Kluczowy projekt dla bezpieczeństwa ekonomicznego regionu, który może zapewniać rocznie kilkadziesiąt miliardów wpływu do budżetu, z początkiem roku stanął pod znakiem zapytania.

Do sprawy oprócz Biereckiego odnieśli się inni politycy PiS, w tym m.in. były minister infrastruktury Andrzej Adamczyk, który przybył do Małaszewicz i stamtąd apelował o kontynuowanie prac. Niestety narracja ta umknęła w toku kampanii wyborczej podczas punktowania niezrealizowanych obietnic Tuska i podwyżek cen.

Grzegorz Bierecki tłumaczy, że działać trzeba szybko, bo obecnie sytuacja jest poważna. Na szczęście nie



Andrzej Adamczyk i politycy PiS w Małaszewiczach zapowiadają obronę suchego portu. #TakDlaMałaszewicz

fol. Mat. prasowe

”

Unia Europejska odmówiła finansowania rozbudowy Małaszewicz. Dlaczego? Tak naprawdę dlatego, że to konkurencja dla portów na wybrzeżu Morza Północnego

śniał jednak, że jego zdaniem nowelizacja ustawy nie jest potrzebna. Można tak przygotować harmonogram, aby mieścił się on w ramach tej ustawy i aby spółki kolejowe były w stanie go wykonać.

Zamiast Polaków skorzystają Rosjanie i Niemcy?

Rozbudowa suchego portu oznacza nowe miejsca pracy, a także gigantyczne pieniądze, które może zarobić Polska w ramach podatków. Dziś wpływy z Małaszewicz generują 10–20 mld zł rocznie, a po modernizacji będą znacznie większe. Ten czysty zysk wpłynąłby do naszej wspólnej kasy. To pieniądze, które mogłyby być przeznaczone na służbę zdrowia, obronność, budowę nowych mieszkań, rozwój infrastruktury, remonty dróg czy podwyżki dla różnych grup zawodowych oraz realizowanie kolejnych programów społecznych. Wystarczy po nie sięgnąć. Tym bardziej, że perspektywy wciąż są bardzo dobre, o czym wiedzą nasi sąsiedzi.

Wzmocniony obrót towarowy pomiędzy Azją a Europą sprawia, że coraz mocniej trzeba dbać o jego płynność. Nowy Jedwabny Szlak, którego sercem powinien być Park Logistyczny Małaszewicze, jest odpowiedzią na te wzywania. Już teraz Małaszewicze są jednym z najważniejszych miejsc dla transportu towarów w Europie. Rozbudowa ma zwiększyć jego znaczenie na skalę globalną. Małaszewicze mogą się stać nowoczesniejszym hubem przeładunkowym Europy, o powierzchni 30 km², odgrywającym kluczową rolę w transporcie intermodalnym pomiędzy Azją a Starym Kontynentem. Gra toczy się o gigantyczne pieniądze, które mogą nam przejść koło nosa i popłynąć do innych krajów. Alternatywy proponują bowiem Węgrzy, państwa bałtyckie czy Rosja. Naturalnie o swoje miejsce walczą również niemieckie porty na Bałtyku i na Morzu Północnym, a także Holendrzy, którzy tradycyjnie woleliby, żeby transport odbywał się drogą morską. Wszyscy zainteresowani nagle zapomnieli o ekologii, a przecież wiadomo, że to kolej jest najbardziej ekologicznym środkiem transportu. ●

jest za późno, by projekt przetrwał. Potrzebna jest jednak dobra wola strony rządowej. „Nie mam informacji, żeby rząd podjął pracę nad nowelizacją tej ustawy, stąd też wystąpiliśmy z grupą 30 senatorów z oświadczeniem senatorskim skierowanym do ministra infrastruktury i premiera z pytaniem o aktualny harmonogram prac nad rozbudową rejonu Małaszewicze” – mówił Bierecki pod koniec marca na zorganizowanym przez siebie briefingu prasowym. „Jeśli rząd pod wpływem oświadczenia senatorskiego znajdzie inną ścieżkę, to będziemy się z tego bardzo cieszyć. Zależy nam na tym, żeby ten projekt był jak najszybciej realizowany, bez opóźnień. To niewielkie opóźnienie, jakie ten projekt złapał na początku, można zniwelować. Kolej ma doświadczenia, jak zmniejszać opóźnienia. Jeżeli jednak byłaby potrzebna nowelizacja ustawy, to można ją przeprowadzić w ciągu dwóch-trzech tygodni. To nie powinien być problem, ponieważ tu w grę wchodzi tylko niewielka zmiana. Jeśli jest zgoda wszystkich co do konieczności realizacji tego projektu, to można to zrobić szybko. Widziałem w parlamencie ustawy, które były przyjmowane nawet i w trzy dni, jeśli była taka potrzeba” – kontynuował parlamentarzysta. Bierecki wyja-

JAN ROKITA

publicysta, były polityk i poseł



Nie odbudowali, ale popsuli

Kiedy cztery lata temu Macron i Merkel obwieścili nowy program pod hasłem „EU Next Generation”, zdawało mi się, że to wymuszony przez Francuza sprytny koncept na wspólne zadłużanie Unii. Wiadomo, że Francja, wraz z innymi krajami łacińskimi, zabiegała o to, aby przełamać opór oszczędnych Niemców, gdy idzie o zaciąganie kolektywnych długów przez Europę. Wtedy, w maju 2020 roku, wyglądało na to, że zmęczona długim rządzeniem niemiecka kanclerz złamała się pod presją Macrona, widząc, co się dzieje z gospodarką na skutek sławetnej polityki „lock-downów” z czasu zarazy. Potem jednak z roku na rok okazywało się, iż faktyczny skutek programu, mającego prowadzić do „odbudowy”, jest inny, a dotyczy samego sedna ustroju Unii.

Odkąd bowiem, za sprawą „EU Next Generation”, przyznano Komisji Europejskiej nieograniczone prawo ustanawiania tzw. kamieni milowych, warunkujących wypłaty pieniędzy na odbudowę, w błyskawicznym tempie zmieniły się w Europie wewnętrzne relacje władzy. Komisja stała się panem dyktującym, komu chce i co tylko chce, zaś państwa aspirujące do „funduszu odbudowy” ustawione zostały w pozycji ofiar szantażu. Rządy tych krajów miały jasny wybór: albo ulec, albo stanąć wobec zarzutu, iż są winne utracie funduszy, z którymi lokalny biznes (nie przypadkiem, jak się miało okazać), wiązał niemal magiczne nadzieje. W Polsce nie trzeba nikogo przekonywać (choć jedni się z tego cieszą, a inni znów boją), że Komisja zręcznie potrafiła wykorzystać tę swoją nową pozycję dla czynnego włączenia się w grę o władzę i wpływanie na wyniki wyborów w poszczególnych państwach członkowskich.

Ale po czterech latach widać, że program „EU Next Generation” ma jeszcze inne, nie aż tak znów niespodziewane skutki. Na początku kwietnia 2024 roku do mediów wyciekły częściowe informacje o aferach wokół „funduszu odbudowy”, których centrami – jak zwykle w unijnej Europie – są Rzym i Ateny. We Włoszech, na polecenie europejskiej

prokuratury, zarządzono właśnie liczne rewizje w firmach, w efekcie których aresztowano albo osadzono w aresztach domowych kilkadziesiąt osób, skądinąd zresztą nie tylko w samej Italii, lecz również w Austrii, Słowenii i Rumunii, bo włoska mafia potrafi działać na skalę ponadnarodową. Idzie o przejęcie przez mafię kwoty ok. 600 mln euro z „funduszu odbudowy”, z użyciem najbardziej innowacyjnych metod fałszowania dokumentów przez sztuczną inteligencję. Ta sama prokuratura zarządziła w tych dniach rewizje w dziesięciu największych greckich koncernach telekomunikacyjnych, informatycznych i konsultingowych, których szefowie podejrzani są o znowę i wyłudzenie... (to nie pomyłka!) kwoty 2,5 mld euro w ustawionych przetargach, w których, o dziwo, niemal zawsze występował tylko jeden oferent, a unijna Komisja i grecki rząd, z sobie wiadomych powodów, patrzyły na to przez palce. Przypomina się puenta znanego dowcipu o greckim ministrze, który z dumą pokazuje swoim europejskim kolegom rozległe polne ugory jako swój największy sukces osiągnięty w Brukseli. Mówi im: „Tu właśnie Unia sfinansowała nam autostradę”.

Na dobrą sprawę, jeśli ktoś cztery lata temu wykazałby się myślową przenikliwością, to łącznie mógł przewidzieć, iż arbitralny tryb rozdawnictwa olbrzymich pieniędzy, mających płynąć w pewnym sensie „za darmo” (bo na poczet długu spłacanego hipotetycznie po latach, a w istocie niespłacanego), wywoła w Europie nową falę oszustw i korupcji. Obraz instytucji i procedur unijnych, jaki powoli zaczyna się z tego wyłaniać, wygląda – co tu dużo mówić – ponuro. Jako obserwatorowi coraz częściej przychodzi mi na myśl, że sporo racji mieli ci politycy, także w Polsce, którzy od początku przepowiadali jak najgorsze skutki Macronowsko-Merkelowskiego pomysłu sprzed czterech lat. Nie wygląda bowiem na to, aby przysłużył się on zbytnio jakiejś „odbudowie”, skoro z kwoty 724 mld euro wypłacono raptem około 150 mld. Za to to, co wypłacono, bardziej popsulo, niżli „odbudowało”, Europę.



Czekając na...

nowy

program

mieszkaniowy

fol. Andrzej Skwarczyński

Patrząc z kilkuletniej perspektywy, można postawić tezę, że rynek mieszkaniowy w Polsce pełen jest paradoksów i sprzeczności. Zasiób lokalowy bowiem wzrasta, a jednak wciąż zmagamy się z deficytem mieszkaniowym. Rosnący popyt na mieszkania, odzwierciedlający poniekąd rzeczywiste potrzeby Polaków, staje się zmorą tego rynku, a podaż – jednym z jego głównych hamulców. O problemach i pomysłach na ich rozwiązanie mówi nam Waldemar Buda, były minister inwestycji i rozwoju

Problem deficytu mieszkaniowego w Polsce od lat jest przedmiotem dysput, polemik, raportów czy wreszcie programów rządowych. Nic jednak nie wskazuje na to, że mógłby zniknąć, a dostępne powszechnie dane tylko potwierdzają ten fakt. Polska bowiem w przeliczeniu na 1 000 osób posiada liczbę mieszkań o wiele niższą niż unijna średnia, a różnica wynosi 12–15 proc. Realizowane przez kolejne rządy programy mieszkaniowe są niczym kropla w morzu potrzeb, a przy tym z reguły zmieniają się wraz z każdym nowym rządem.

– Polityka mieszkaniowa to jest proces, który powinien być kontynuowany w danym kierunku przynajmniej pięć lat. Dopiero wtedy widoczne są jakieś pierwsze efekty. Zmiana polityki czy niekontynuowanie polityki poprzedniego rządu generuje koszty i nie przynosi efektów – uważa Waldemar Buda.

Druza noga

Według danych Ministerstwa Rozwoju i Technologii w ramach programu Mieszkanie dla Młodych, skierowanego do osób do 35. roku życia, w latach 2014–2022 powstało około 168 tys. lokali mieszkalnych. Kolejny program ułatwiający dostęp do mieszkań, znany pod nazwą Mieszkanie Plus, zakładał wybudowanie około 100 tys. mieszkań. Waldemar Buda wskazuje, że właśnie tego typu programy są jedyną szansą na uregulowanie rynku, ponieważ rynek mieszkaniowy jest konstruowany wyłącznie w oparciu o jeden element w postaci budowy komercyjnej – deweloperskiej, natomiast brakuje tej „drugiej nogi” – bardzo poważnego budownictwa społecznego i komunalnego.

– My robiliśmy wiele, by ten segment rozpocząć, by nakłonić samorządy, aby także władze lokalne budowały mieszkania. Pamiętajmy, że w Konstytucji jest mowa o tym, że to na samorządach spoczywa zapewnienie potrzeb mieszkaniowych. W związku z tym przeznaczaliśmy przez ostatnie trzy lata: 1,3 mld, 1,6 mld i 2 mld zł ostatniego 2023 r. właśnie na budownictwo komunalne. Efekty przyjdą za chwilę, tzn. kilkadziesiąt tysięcy mieszkań będzie z tego programu wybudowane, za około trzy lata. Rozpoczęliśmy tę drogę i trzeba te

działania kontynuować. Jeżeli będzie taki benchmark rynkowy w postaci mieszkań komunalnych, jako realna alternatywa dla mieszkań deweloperskich, to odbije się to również na cenach mieszkań – uważa Waldemar Buda.

Deweloperzy rządzą

Wyjaśnijmy – faktycznie udział sektora deweloperskiego w rynku mieszkaniowym jest największy, to firmy deweloperskie odpowiadają za większość lokali wybudowanych i tych oddanych do użytku. Potwierdzają to dane GUS, zgodnie z którymi w 2023 r. oddano do użytkowania liczbę 220 379 mieszkań, z czego deweloperzy przekazali klucze do ponad 136 500, natomiast inwestorzy indywidualni wybudowali 79 558 mieszkań. W ramach budownictwa społecznego, komunalnego, społecznego czynszowego i zakładowego powstało ogółem zaledwie 4 226 lokali. Oznacza to, że udział deweloperów i inwestorów prywatnych stanowi ponad 98 proc. rynku, przy czym sam rynek deweloperski oddał do użytkowania około 62 proc. ogólnej liczby mieszkań. To deweloperzy zdominowali rynek i w ciągu ostatniej dekady to oni odpowiadali na zapotrzebowanie mieszkaniowe w Polsce, dostarczając w tym okresie ponad milion lokali mieszkaniowych. Wydaje się dużo, a jednak wskazywana przez ekspertów luka mieszkaniowa to co najmniej kolejny milion lokali. W niektórych analizach mówi się nawet o 2 mln brakujących mieszkań.

Ta skala pokazuje, że wszelkie próby podejmowane w celu uregulowania rynku mieszkaniowego i skierowania go na właściwą ścieżkę rozwoju są konieczne. Taką próbą był program Bezpieczny Kredyt 2 procent, który jednak wraz z rozpoczęciem kadencji nowego rządu został zakończony. W tych okolicznościach sprzedaż mieszkań bez rządowego wsparcia nie ma szans na utrzymanie poziomu z drugiego półrocza 2023 r. Na horyzoncie pojawił się jednak nowy program mieszkaniowy, choć jego rozmiar będzie znacznie mniejszy niż kwota, która zasiłowała rynek nieruchomości z tytułu Bezpiecznego Kredytu. W założenia nowego programu wbudowana jest dyscyplina finansowa, określająca jego koszty na kwotę 0,5 mld zł w 2024 r. Ustawowe limity

wydatków związanych z dopłatami do Bezpiecznego Kredytu 2 proc. zakładały w prognozach, że w latach 2023 i 2024 wsparcie będzie obejmowało ok. 50 tys. kredytów. Tymczasem dane BIK wskazują, że w drugim półroczu 2023 r., w ramach tego programu, banki udzieliły przynajmniej 59,6 tys. kredytów. Program rządu Prawa i Sprawiedliwości został zapowiedziany z dużym wyprzedzeniem i spotkał się z ogromnym zainteresowaniem społecznym, zderzył się jednak z rzeczywistością, trafiając na dziurę podażową, ponieważ w okresie przed jego wprowadzeniem deweloperzy wstrzymywali się z inwestycjami. W okresie od stycznia do października 2023 r. firmy deweloperskie oddały do użytkowania 110,4 tys. mieszkań i rozpoczęły budowę 92,5 tys. lokali. Dla porównania w roku poprzednim były to odpowiednio wartości 113 tys. i 101 tys. mieszkań. Efekt był łatwy do przewidzenia – ceny mieszkań wystrzeliły w górę.

Czekając na... program

Nic więc dziwnego, że wiele osób liczy na uruchomienie jakiegokolwiek programu wspomagającego zakup własnego mieszkania. – Teraz jest mowa o tym, że program pojawi się w drugiej połowie roku. To dramat dla tych osób, które czekały na jakikolwiek program z zakupem mieszkania, bo bez wsparcia go nie nabadą. Łatwo mówić, że opóźniają się prace nad ustawą, ale ostatecznie to powoduje, że ludzie zmieniają swoje plany życiowe. I nie jest łatwo wytłumaczyć i przekonać kogoś, że on może sobie odłożyć lub przełożyć zakup swojego mieszkania o pół roku, więc dobrze by było, żeby wywiązywać się z tych zobowiązań. Te deklaracje przecież padały – zauważa Waldemar Buda. I dodaje, że zapowiadając program Bezpieczny Kredyt 2 proc., dokładnie co do dnia została wskazana data wejścia w życie i dokładnie tego dnia program został wprowadzony.

Odnosząc się do obecnych nastrojów, zwłaszcza mając na uwadze oczekiwanie na start nowego programu rządowego, z satysfakcją odnotowywane są wzrastające tym razem tendencje inwestycyjne, choć chciałoby się rzec: szkoda, że tak późno. „Najnowsze dane GUS budownictwa mieszkaniowego jednoznacznie sugerują, że wiosna w inwestycyjnym segmencie krajowej mieszkaniówki w tym roku zawitała już w lutym. Na tak optymistyczną wymowę statystyk, do której w największym stopniu przyczynili się deweloperzy, zapewne decydujący wpływ mają ostateczne decyzje rządowe dotyczące nowego programu dopłat do kredytów mieszkaniowych. Perspektywy rynku wydały się inwestorom i przedsiębiorcom na tyle wiarygodne i obiecujące, że w końcu zdecydowali się na podkręcenie swych mocy produkcyjnych. Powinno to istotnie ograniczyć potencjał wzrostowy cen nowych mieszkań w kolejnych miesiącach tego roku, co wciąż pozostaje

je głównym czynnikiem ryzyka rozwoju koniunktury w przewidywalnej perspektywie najbliższych miesięcy” – zauważa Jarosław Jędrzyński, ekspert portalu RynekPierwotny.pl.

Na start

8 kwietnia br. w wykazie prac legislacyjnych na stronie KPRM opublikowano projekt nowego programu mieszkaniowego, czyli Mieszkanie na Start. Obok niego znalazły się także inne przepisy, odnoszące się do uruchomienia centralnej bazy danych, w której będą gromadzone informacje dotyczące transakcji i cen na rynku mieszkań. „Baza danych byłaby uzupełnieniem rozwiązań przewidujących wsparcie kredytobiorców w nabywaniu własnego mieszkania, umożliwiając porównywanie ofert rynkowych z realnymi cenami transakcyjnymi na danym rynku lokalnym” – podano w propozycjach rządu. Pomysł nie jest nowy, pojawił się już w ubiegłym roku, w zapowiedziach ówczesnego ministra inwestycji i rozwoju Waldemara Budy. – Mieliliśmy pierwsze testy i przygotowania do wprowadzenia legislacji, ale koniec kadencji spowodował, że nie mogliśmy kontynuować prac. I ze wszech miar będę popierał ten projekt. Dzisiaj mamy bardzo duże wahania rynku i czasem nastroje powodują, że dyktuje to ceny. Pokazanie realnych cen sprzedaży powoduje, że rzeczywiście można wbić się w ten rynek, bo dzisiaj mamy do czynienia z ogromną rozpiętością cen, mamy niespotykaną wcześniej rozpiętość pomiędzy ceną ofertową a ostateczną ceną sprzedaży – stwierdza były minister.

Podobne stanowisko deklaruje w związku z rozporządzeniem w sprawie warunków, jakim mają odpowiadać budynki i ich usytuowanie, powszechnie kojarzone z tzw. patodeweloperką. Chodzi o nefunkcjonalne mieszkania i osiedla, obfitujące w rozwiązania utrudniające życie lub po prostu znaczne ilości usterek budowlanych. Obecnie resort rozwoju odsuwa jednak w czasie wejście w życie odpowiedniego rozporządzenia, tłumacząc, że robi to na prośbę samorządów. Odnosząc się do sprawy przepisów, minister Buda zauważa: – Ja rozumiem, że głos deweloperów był taki, że potrzebują więcej czasu na przygotowanie się. Natomiast muszę powiedzieć, że wprowadzałem to rozporządzenie i dokładnie, zgodnie z oczekiwaniami rynku, dałem oczekiwane półroczne vacatio legis. Był czas na przygotowanie się. Ja bym nie opóźniał wejścia w życie tego rozporządzenia, ale jest zapowiedź Ministerstwa Rozwoju, że 1 sierpnia wejdzie ono w życie w niezmienionym kształcie, takim jak zaproponowaliśmy. Miejmy nadzieję, że uporządkuje to rynek. Kupno mieszkania dla znacznej liczby Polaków jest życiowym wyzwaniem, więc jeśli już uda się je zrealizować, powinno choć w części spełniać marzenia, a z pewnością przynajmniej podstawowe standardy cywilizacyjne. ●

PROF. MAŁGORZATA ZALESKA

dyrektor Instytutu Bankowości SGH
członek korespondent PAN

Dwie dekady polskiej bankowości w strukturach unijnych

Wstąpieniu Polski do grona członków Unii Europejskiej towarzyszył entuzjazm. Wiązano z tym nadzieję na dalszy rozwój gospodarczy i społeczny, postrzegano to w kategoriach ostatecznego rozprawienia się z czasami komunizmu (przynależności do bloku wschodniego) i dołączenia do europejskich elit.

Z punktu widzenia sektora bankowego ocena nie była już tak jednoznaczna. Dostrzegano bowiem zalety, jak i podnoszono obawy związane z funkcjonowaniem polskiego sektora bankowego w ramach struktur unijnych.

Przystąpienie Polski do Unii Europejskiej z pewnością otworzyło krajowy sektor bankowy na konkurencję płynącą z innych państw członkowskich. Banki działające w Polsce bez wątpienia zdały jednak egzamin z obszaru radzenia sobie na konkurencyjnym rynku. Jeden z banków działających w Polsce i będący członkiem globalnej grupy kapitałowej, mając kilkuprocentowy udział w jej aktywach, potrafił wygenerować nawet ponad 50 proc. rocznego zysku całej grupy. Pomimo wcześniejszych obaw instytucje kredytowe z innych państw unijnych nie zagroziły pozycji banków krajowych. Po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej nie spełnił się czarny scenariusz masowego przekształcania się banków krajowych zależnych od podmiotów z innych państw unijnych w oddziały instytucji kredytowych. Co więcej, mogliśmy obserwować sytuację odwrotną, kiedy duży oddział instytucji kredytowej (Polbank) został przekształcony w bank krajowy.

W ciągu ostatnich 20 lat zmniejszyła się liczba banków krajowych (zarówno spółek akcyjnych, jak i spółdzielczych), jednak pomimo redukcji liczby funkcjonujących banków polski sektor bankowy rośnie szybciej niż cała gospodarka. Niestety jednak ani polski sektor bankowy jako całość, ani żaden z banków krajowych wciąż nie zalicza się do istotnych w skali Unii Europejskiej. Ma to zarówno dobre, jak i negatywne strony. Pozytywne – gdyż mniejszy sektor bankowy

kreuje niższe ryzyko systemowe, a złe – bo stosunkowo mały sektor bankowy nie jest w stanie udźwignąć finansowania dużych projektów rozwojowych (np. budowy elektrowni atomowych). Rozszerzając ten wątek, wskazać należy także na niedostateczny udział polskiego kapitału prywatnego w krajowym sektorze bankowym – dominuje bowiem kapitał państwowy i zagraniczny.

Obecność w strukturach unijnych i wzajemne powiązania między bankami oznaczają też istnienie efektu zarażania. Mimo że banki działające w Polsce podczas kryzysu finansowego 2007+ były co do zasady w dobrej kondycji finansowej (w przeciwieństwie do niektórych banków w innych państwach unijnych), to m.in. przestały sobie pożyczać pieniądze (zamarł rynek międzybankowy) i zaczęły prowadzić tzw. wojnę depozytową, aby przyciągnąć klientów i budować poduszkę płynności.

Wstąpienie do Unii Europejskiej wywarło również poważny wpływ na polskie prawodawstwo bankowe – istotnie wzrosła liczba regulacji i stopień ich skomplikowania. Z jednej strony wiele regulacji „płynęło z Brukseli”, a z drugiej – polscy przedstawiciele mogli brać udział w pracach nad kolejnymi ważnymi dokumentami prawnymi, tj. np. pakietem CRD/CRR i jego kolejnymi nowelizacjami. Polska wykorzystała też szansę, aby jej przedstawiciele zasiadali we władzach europejskiego nadzoru. Niemniej jednak nie można stwierdzić, że przedstawiciele władz krajowych byli głównymi kreatorami rozwiązań unijnych.

Powyższe pokazuje, że „bilans” dwudziestolecia polskiego sektora bankowego w strukturach unijnych okazał się dodatni. Nie oznacza to jednak, że pozytywna ocena odnosi się do wszystkich obszarów funkcjonowania Polski we Wspólnocie – bowiem zwłaszcza w drugiej dekadzie członkostwa dostrzeżono w Polsce dyskusyjne poczynania polityków i urzędników unijnych. To zaś sprawiło, że zmieniła się narracja z entuzjastycznej na realistyczną, z pozbawionym emocji ważeniem zalet i ograniczeń płynących z członkostwa w Unii Europejskiej. ●

ARKADY SAULSKI

Polskie pancerne niebo

Niedawna ingerencja rosyjskiej rakiety w polskiej przestrzeni powietrznej po raz kolejny pokazała, jak desperacko nasz kraj potrzebuje szczelnej obrony przeciwlotniczej. Intensywne wysiłki na rzecz „łatania” nieba podejmowane są od czasów rządów Zjednoczonej Prawicy, jednak sytuacja robi się na tyle poważna, że przyspieszenie jest konieczne

”

Przypomnijmy komunikat Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, zamieszczony na platformie X: „24 marca br. o godz. 4.23 doszło do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej przez jedną z rakiet manewrujących wystrzelonych dzisiejszej nocy przez lotnictwo dalekiego zasięgu Federacji Rosyjskiej. Celem wykonywanych uderzeń były miejscowości znajdujące się w zachodniej Ukrainie”. I dalej: „Obiekt wleciał w polską przestrzeń na wysokości miejscowości Oserdów (woj. lubelskie) i przebywał w niej przez 39 sekund”. Dowództwo podkreśliło w komunikacie, że w trakcie całego przelotu rakietą była obserwowana przez wojskowe systemy radiolokacyjne.

Strącać? Nie strącać?

Dlaczego nie strącono pocisku? Jak podkreślał doradca społeczny szefa MON gen. Mieczysław Bieniek, polskie systemy obrony przeciwlotniczej, jak również samoloty polskie i amerykańskie (poderwane natychmiast z lotnisk), monitorowały trasę lotu rakiety i gdyby wykryto, iż stanowi ona zagrożenie dla Polski, natychmiast by ją strącono. A może należało to zrobić na wszelki wypadek? Byłoby to trudne, bowiem – jak argumentuje na swoim profilu na Facebooku „Wolski o Wojnie” Jarosław Wolski: „Strzelając do czegoś w polskiej przestrzeni powietrznej, należałoby sporą część owej de facto zamknąć. Jak by to wpłynęło na cywilny krajowy i międzynarodowy ruch lotniczy? Na gospodarkę? Na służby ratownicze? W Polsce mamy zarejestrowane 66 lotnisk cywilnych. Ile należałoby czasowo zamknąć?”. Dodatkowo, jak podkreśla ekspert, strącenie pocisku naraziłoby ludność cywilną na ziemi – rakietą po zniszczeniu nie zamienia się bowiem w proch i jej szczątki mogą porazić niewinne osoby na ziemi.

W przypadku Polski, która posiada z Rosją tylko wąski odcinek graniczny, jak również nieduży odcinek granicy z Białorusią, konflikt o podobnym charakterze jak ten na Ukrainie jest raczej niemożliwy

Innym argumentem jest to, że nie istnieje obrona przeciwlotnicza, która pokrywałaby 100 proc. terytorium danego kraju. Nawet izraelska Żelazna Kopuła nie kryje całkowitej powierzchni Państwa Izrael. Jednak najistotniejszym argumentem przytoczonym przez eksperta jest ten dotyczący... odsłaniania kart przed potencjalnym nieprzyjacielem. Jak argumentuje Wolski: „Tryby pracy radarów zarówno obrony przeciwlotniczej, jak i F-16 to dwie różne sprawy dla czasu pokoju i czasu wojny. Rosjanie i Białorusini bez wątplenia byłiby bardzo szczęśliwi, gdyby mogli pozbierać emisję z trybów pracy radarów i rakiet, które do tej pory nigdy nie były emitowane tak blisko ich granicy”. Czy to ostatni taki przypadek? Z pewnością nie. Jak podkreślał w rozmowie z PAP generał Stanisław Koziej, w sytuacji wojny na Ukrainie i wzmózonych ataków raketowych do sytuacji, w której rosyjskie rakiety „błądzą” nad Polską, należy się niestety przyzwyczaić.

Obrona konieczna

Warto w związku z tym wyjaśnić bardzo istotną kwestię – otóż ewentualna wojna między Polską (i NATO) a Rosją będzie miała odmienny charakter niż konflikt z Ukrainą. Przede wszystkim różnice dotyczą geografii – Ukraina posiadała z Rosją bardzo długą granicę lądową, przebiegającą przez tereny stepowe, które ułatwiają działania wojsk pancernych.

I to właśnie taka wojna – typowo pancerna, lądowa ma miejsce w tym kraju. W przypadku Polski, która posiada z Rosją tylko wąski odcinek graniczny, jak również nieduży odcinek granicy z Białorusią, konflikt o podobnym charakterze jak ten na Ukrainie jest raczej niemożliwy. Co więcej, gdyby jednak miało do niego dojść, już teraz Rosja musiałaby wykonywać manewr oderwania od frontu ukraińskiego i przerzucenia wojsk na Białoruś oraz do Królewca... A oderwanie od frontu stanowi bodaj najtrudniejszy manewr współczesnej sztuki wojennej. Nie ma też pewności, czy po ukraińskim blamażu Mińsk byłby skłonny do tak hojnego udostępniania Rosji swego terytorium – czym innym jest bowiem dla reżimu Łukaszenki konflikt z Kijowem, a czym innym wojna z całą potęgą NATO. Ta mogłaby nie skończyć się może obaleniem władz Kremla, ale już utratą władzy przez Łukaszenkę – na pewno! Wojna na polskim odcinku miałaby więc raczej charakter lotniczo-rakietowy i rozgrywałaby się na naszym niebie. Moskwa zdaje się to rozumieć i być może to właśnie przygotowania do wojny z Polską (oraz NATO) decydują o tym, że przez całe dwa lata walk na Ukrainie Rosja raczej oszczędzała swe lotnictwo taktyczne, nigdy nie wymuszając dominacji powietrznej. Byłaby ona jednak kluczowa dla przebiegu wojny z Polską (i NATO).

Nie można więc oczywiście lekceważyć zakupów broni pancerniej, takiej jak koreańskie czołgi K2 czy amerykańskie Abramsy (o których pisaliśmy na łamach „Gazety Bankowej” wielokrotnie), ale jednak zapóźnienia w zakupach i tworzeniu polskiej tarczy powietrznej są poważne i muszą być nadrobione jak najprędzej!

Warto w tym miejscu obalić kilka mitów dotyczących obrony powietrznej i przeciwrakietowej. W dyskursie medialnym sporo mówi się bowiem o ochronie całej Polski, zwłaszcza w kontekście „błądzących” nad nasze terytorium rosyjskich rakiet. Czy jednak ochrona obszaru całego kraju jest konieczna? Wątpliwości nie ma cytowany już Jarosław Wolski. Jak wskazuje ekspert, obrona przeciwrakietowa i przeciwlotnicza we wszystkich państwach świata skupia się jedynie na obszarach o strategicznym znaczeniu i nie obejmuje każdego skrawka ziemi. „Nie istnieje obrona przeciwlotnicza, która pokrywa cały kraj. Zawsze będą obszary, które nie będą osłaniane. Tylko krytycznie ważne cele mogą być przykryte parasolem obrony” – argumentuje ekspert.

A co z legendarną izraelską Żelazną Kopułą, która – jak głosi popularny mit – strzeże cały obszar państwa? Cóż, i tutaj ekspert ma dla nas wiadro zimnej wody: „Nawet małe Izrael nie ma takich możliwości. Zawsze jest za mało radarów i rakiet, żeby osłonić cały kraj średniej wielkości”. Warto dodać, że miazdząca większość terytorium Izraela to pustynia, pozbawiona znaczenia strategicznego. Gdy pościsk opadnie w takim miejscu, zagrożenie nie występuje.

Obecnie nasz kraj znajduje się w fazie budowy obrony przeciwlotniczej de facto od zera. Co jest potrzebne, by ją stworzyć? I jeszcze jedno, być może bardziej istotne pytanie: jak prędko może ona powstać?



Rakieta Żelaznej Kopuły przechwytywa rakietę Hamasu. Południowy Izrael – nocny atak na miasto Aszdod

fol. Shutterstock



”

Obrona przeciwrakietowa
i przeciwlotnicza we wszystkich krajach
świata skupia się jedynie na obszarach
o strategicznym znaczeniu i nie
obejmuje każdego skrawka ziemi

Narew, Pilica i Pioruny?

Program Modernizacji Sił Zbrojnych RP zainicjowany przez gabinety Zjednoczonej Prawicy nakreślił jasny obraz tego, co jest niezbędne dla polskiego, bezpiecznego nieba. Rozsądny czas realizacji (lata 2021–2035) i rekordowy budżet (początkowo było to 524 mld zł, ale z czasem kwotę tę zwiększono) miały zagwarantować sukces. Wojna na Ukrainie wymusiła jednak drastyczne przyśpieszenie. Czego więc nasze niebo potrzebuje w pierwszej kolejności?

Wątpliwości nie ma Maciej Szopa, ekspert ds. wojskowości, analityk Defence24, który argumentuje: „Najważniejszym systemem obrony powietrznej są systemy krótkiego zasięgu, kryptonim Narew. Mają one być liczne i dzięki temu zabezpieczać liczne obiekty w kraju, jak i przemieszczające się wojska”. Jak dodaje Szopa: „Już teraz są w służbie, wykorzystujące elementy tego planowanego systemu, dwie baterie tzw. Małej Narwi. Tymczasem docelowej Narwi mają być co najmniej 23 większe baterie”. Ale to nie wszystko, jak bowiem wskazuje ekspert, oczywiście chodzi o to, żeby mieć całą rodzinę współpracujących, nakładających się na siebie systemów. Podobna do Narwi, jeśli chodzi o pociski, ma być np. Pilica+.

Innym ważnym elementem obrony przeciwlotniczej jest zakup niezwykle skutecznych zestawów Patriot od partnera amerykańskiego. Patrioty wejdą z kolei do systemu Wisła i służyć będą do zwalczania najszybszych samolotów oraz rakiet wroga. Czy to sprawdzona technologia? Bezsprzecznie, co udowodniła już na Ukrainie – Kijów stosuje Patrioty nie tylko do obrony swego nieba, lecz także „połuje” wysuniętymi wyrzutniami na samoloty rozpoznania elektronicznego AWACS, które przebywają... w rosyjskiej przestrzeni powietrznej. Ukraińcy mogą się pochwalić w tym zakresie licznymi sukcesami, paraliżując rosyjskie rozpoznanie, a przecież wiedza o posunięciach przeciwnika będzie kluczowa w wypadku konfliktu na naszym niebie.

Skoro o samolotach rozpoznania mowa, warto tu wspomnieć o zakupie Saabów 340 AEW. Te maszyny wczesnego wykrywania i ostrzegania były zamówione w lipcu 2023 r. i w marcu pierwszy z nich znalazł się w Polsce. To istotne wzmocnienie naszych Sił Powietrznych. Szwedzkie Saaby, dzięki systemom radarowym ERIEYE, dają naszemu wojsku możliwość wykrywania celów lecących na niskim pułapie z odległości kilkuset kilometrów, co jest kluczowe dla szybkiego „wyłowienia” jednostek nieprzyjaciela i – co za tym idzie – ich neutralizacji.

Jeśli zaś wymieniamy te elementy obrony przeciwlotniczej, które już udało się „zmontować”, to wspomnieć też należy koniecznie o przywoływanej już Pilicy, która w grudniu 2023 r. doczekała się finalizacji. O tym, jak skomplikowane jest konstruowanie obrony przeciwlotniczej, niech świadczy fakt, że Pilice były zamówione... jeszcze w 2016 r.! Jak wskazuje na łamach „Polski Zbrojnej” Krzysztof Wilewski, Pilica to broń, „która służy m.in. do obrony strategicznych obiektów wojskowych – stanowisk dowodzenia, lotnisk i magazynów – będzie główną

”

Najważniejszym systemem obrony powietrznej są systemy krótkiego zasięgu, o kryptonimie Narew. Mają one być liczne i dzięki temu zabezpieczać wiele obiektów w kraju, a także przemieszczające się wojska

siłą na najniższym poziomie nowego systemu obrony powietrznej kraju”. System składa się z radaru, stanowiska dowodzenia i sześciu systemów ogniowych ZUR-23-2SP Jodek, uzbrojonych w podwójną armatę kalibru 23 mm i dwa pociski przeciwlotnicze Piorun lub Grom. A skoro przy Piorunach jesteśmy, warto wspomnieć, że te systemy rodem z fabryki Mesko cieszyły się niemal kultem na początku wojny na Ukrainie, będąc postrachem rosyjskich śmigłowców. Tak zwane MANPADS, czyli przenośne systemy raketowe Piorun, są modernizacją rakiet Grom, dysponujących czułą głowicą i zaawansowanym celownikiem optoelektronicznym. To czyni możliwości obsługującego je żołnierza jeszcze większymi, zaś sam system – bardziej śmiercionośnym.

Należy też wspomnieć o tzw. Małej Narwi, czyli kolejnym elemencie polskiej tarczy przeciwlotniczej. Jak wskazuje na łamach „Polski Zbrojnej” red. Wilewski: „Mała Narew to system obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, który składa się z wyrzutni brytyjskich pocisków CAMM o nazwie iLauncher, polskiego radaru Soła oraz systemu dowodzenia Zenit”. To niezwykle ważny zakup, wcześniej w tym obszarze w naszym wojsku dominowały rozwiązania... post-sowieckie! Należy więc mówić o mocnym przyśpieszeniu programu, spowodowanym wojną na Ukrainie – atak na naszego sąsiada zweryfikował wiele założeń wojskowych, jest do dziś polem doświadczalnym dla nowoczesnych technologii. Jednak uderzenia w infrastrukturę energetyczną Ukrainy pokazują, że jedna rzecz jest we współczesnej wojnie niezmienna – potrzeba ochrony własnego nieba.

Istnieje szansa, że Polska będzie w stanie zbudować nad swoim terytorium... może nie „żelazną kopułę”, ale taki system, który będzie chronił nas skutecznie przed zagrożeniami. Zapóźnienia są potężne, a obrona przeciwlotnicza to obecnie niestety najbardziej dziurawy element naszego systemu obrony. I choć mamy pod tym względem wsparcie sojuszników z NATO, którzy udostępniają nam swoje środki oraz technologie, bezwzględnie należy pracować też nad własnymi rozwiązaniami. Korzyści odczuje nie tylko wojsko i obywatele, którzy znajdują się pod powietrzną ochroną, lecz także gospodarka. Wszak nic tak nie pobudza do inwestycji jak bezpieczeństwo! ●

RYSZARD CZARNECKI

europoseł 2004–2023,
w latach 2014–2018 wiceprzewodniczący
Parlamentu Europejskiego

Cenzura z Brukseli, czyli czego nie wolno mówić o Ukrainie

Przestrzegam przed wylewaniem dziecka z kąpielą. Jestem przekonany, że trzeba tropić, ujawniać, nagłaśniać i potępiać rosyjskie wpływy w europejskiej polityce oraz mediach szeroko rozumianego Zachodu. To, mówiąc Jarosławem Kaczyńskim: „oczywista oczywistość”. Mówię to jako człowiek, który jest na „czarnej liście Putina” – zatem niemający prawa wjazdu do Rosji. Dodajmy: od wielu lat. Dzisiaj – jako pierwszy w historii Polak będący szefem specjalnej Delegacji Unia Europejska-Federacja Rosyjska w PE, a lata wcześniej – jako wiceprzewodniczący Zgromadzenia Parlamentarnego EURONEST (zrzesza państwa Unii oraz Partnerstwa Wschodniego, a więc trzy kraje Kaukazu Południowego, Ukrainę i Mołdawię – przy czym Białoruś jest zawieszona). Jestem też rodzinie doświadczony przez „Moskali”, jak kiedyś nazywano w naszym kraju Rosjan: rodzony brat mojego dziadka ze strony mamy Ryszarda Bielińskiego (dziadek miał aż 14 braci i jedną siostrę!), mocno od niego starszy, zginął jako bardzo mody człowiek podczas antyrosyjskiej demonstracji w Warszawie w 1905 roku, gdy stanął w obronie kobiety bitej przez rosyjskiego żandarma – mundurowy śmiertelnie dźgnął go bagnetem. Zatem nie trzeba zwłaszcza mnie przekonywać, czym była, czym jest i czym zapewne pozostanie Rosja. Obojętnie od tego, czy była to „biała Rosja”, „czerwona Rosja”, czyli ZSRS, czy jest obecna Rosja Putina.

Jednak gdy czytam w brukselskiej „Politico” artykuł opublikowany dosłownie w ostatnich godzinach, w którym mowa, że przyjęciem rosyjskiej narracji jest... mówienie o poziomie korupcji na Ukrainie (sic!) czy problemach Ukrainy na froncie, a nawet o konieczności rozmów pokojowych (!) – to łapię się za głowę. Nie dajmy się zwariować. Korupcja jest bowiem wciąż olbrzymim problemem naszego wschodniego sąsiada, o czym świadczy fakt, że co rusz prezydent Zełenski wywala na zbity pysk kolejnych wysokich rangą urzędników z ministrami, wiceministrami, generałami, prokuratorami i szefami państwowych firm włącznie. Należy więc raczej

go za to chwalić, a nie milcząco udawać, że nie ma problemu. To jest zresztą oczywiście, pełna zgoda, wykorzystywane przez rosyjską propagandę. Jednak zamiast domagać się cenzury i kneblowania ust, by o tym, Boże broń, nie mówić, to znacznie lepiej i efektywniej byłoby zlikwidować czy przynajmniej mocno ograniczyć procedury korupcyjne, które mają miejsce na Ukrainie na wielką skalę. W ten sposób można by zabrać amunicję machinie propagandowej Moskwy.

O nieudanej kontrofensywie Kijowa oraz braku umocnień potrzebnych, aby bronić się z kolei przed rosyjską kontrofensywą, a także o dezercjach z woj-ska i zmęczeniu społeczeństwa ukraińskiego wojną pisały największe amerykańskie i brytyjskie gazety. Trudno zatem wymagać, aby w ogóle o tym nie wspominać, bo byłby to brak realizmu. Przecież nie jesteśmy w Europie i w Polsce, doprawdy, jak niektóre plemiona afrykańskie, które wierzą, że gdy nie będą wymawiać niektórych słów, jak „śmierć”, „zaraza” czy „choroba” – to nikt nie będzie umierał ani chorował...

O rozmowach pokojowych mówił już wiele miesięcy temu prezydent Joseph Robinette Biden i wszystko wskazuje na to, że po wyborach prezydenckich w USA i Ameryka, i największe państwa Europy Zachodniej, jak Niemcy i Francja, będą się starały wymusić na Kijowie zawarcie pokoju albo przynajmniej zawieszenie broni (nawet wieloletnie). „Politico” sugeruje, że europosłowie, którzy są przeciwni akcesji Ukrainy do UE, to rosyjscy „agenci wpływu”. Zapewne niektórzy tak. Wielu polityków z Europy Południowej (Francji, Włoch, Hiszpanii, Portugalii czy Grecji) będzie, mniej lub bardziej głośno, sprzeciwiało się wejściu Kijowa do Unii albo je opóźniało. Dlaczego? Powód jest prosty: Ukraina jest gigantycznym konkurentem, gdy chodzi o bycie beneficjentem Common Agriculture Policy (CAP) – Wspólnej Polityki Rolnej. W sytuacji kryzysu finansowego UE środki na CAP nie są z gumy i Paryż, Rzym, Madryt etc. wiedzą, że Kijów zabierze je m.in. właśnie im.

Polityka zagraniczna jest jednak znacznie bardziej skomplikowana, niż to wydaje się niektórym w Brukseli. ●

ARTUR CEYROWSKI

Bogaty *jak* Trump

„Przyznam się wam do czegoś, w czym jestem dobry. Lubię pieniądze. Jestem bardzo chciwy. Nie powinienem wam tego mówić, ale zawsze byłem chciwy. Kocham pieniądze. Chcę być taki chciwy także dla naszego kraju. Chcę odzyskać wszystkie nasze pieniądze” – takie słowa padły na wiecu wyborczym w Iowa w 2016 r. Stanowiły jedynie wstęp do dłuższej opowieści o tym, jak bardzo przyszedł, 45. prezydent Stanów Zjednoczonych kocha swój własny majątek i to, że może się nim chwalić. Ma czym!

Choć od momentu, w którym padły cytowane wyżej słowa, sporo się w jego życiu wydarzyło. Przyjrzyjmy się temu, jak wygląda dziś majątek jednego z najbogatszych polityków Ameryki. Najprościej byłoby napisać, że... Donald Trump był bogaty od zawsze. Jego historia jest niezwykle ciekawa także dlatego, że koleje losu trzech następujących po sobie pokoleń Trumpów są jedną z najlepszych egzemplifikacji „amerykańskiego snu”, jaki tylko można sobie wyobrazić. Począwszy od 16-letniego imigranta, uciekającego przed służbą wojskową w Bawarii, aż po prezydenta najpotężniejszego światowego imperium.

Gorączka złota

Ta opowieść jest ciekawa również dlatego, że Donald Trump przejął od swojego dziadka i ojca nie tylko majątek, lecz także styl prowadzenia biznesu. Zacytujmy tu Gwendę Blair, autorkę książki „Trumpowie: trzy pokolenia, które zbudowały imperium”. W jednym z wywiadów dla BBC zauważyła, że ojciec przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych miał jedną zasadę, której trzymał się całe życie: „Fred Trump nigdy nie widział takiej ulgi podatkowej, z której by nie skorzystał, a Donald uczył się tego od dzieciństwa”.

Znacznie wcześniej patriarcha rodziny, Frederick Trump (urodzony jako Friedrich Drumpf), który do



Stanów Zjednoczonych trafił z Bawarii, zarobił pierwsze duże pieniądze w czasie gorączki złota w Klondike. Prowadził hotel, restaurację i dom uciech dla górników. Jego syn i ojciec Donalda, czyli Fred, założył firmę zajmującą się nieruchomościami mieszkaniowymi na Brooklynie i Queens. W sumie jego ludzie zbudowali w Stanach Zjednoczonych ponad 27 tys. budynków. Ich znakiem rozpoznawczym była bardzo wysoka jakość, a cechą charakterystyczną firmy Freda Trumpa było to, że w przypadku projektów finansowanych z rządowych pieniędzy zwykle przekraczał budżet. Choć ta praktyka nie była nielegalna, to ojciec przyszłego prezydenta doprowadził ją do takiej perfekcji, że musiał się ze swoich interesów wielokrotnie tłumaczyć przed sądem.

Wersja dotycząca tego, w jaki sposób Donald Trump zarobił (lub otrzymał) pierwsze pieniądze, jest zależna od tego, czy relacjonuje ją główny zainteresowany, czy jakieś niechętnie mu media. Jedno jest jednak pewne ponad wszelką wątpliwość – sposób zarządzania majątkiem skopiował od swojego ojca. Ponadto, jak wspomina cytowana wyżej Gwenda Blair: „Donald Trump polegał na zasobach swojego ojca. Potrzebował go, by podpisywał pożyczki i polegał na swoich powiązaniach bankowych oraz politycznych”. Pewność, że Donald będzie milionerem, można było mieć już wówczas, gdy w 1968 r. ukończył ekonomię na Wharton School of Business. Niecałe trzy lata później przejął firmę swoich rodziców i zmienił jej nazwę na The Trump Organization.

„Mam znacznie więcej, niż sądzicie”

Choć już wówczas był obrzydliwie bogaty, to jego przygoda z pomnażaniem majątku dopiero się zaczynała. Budował, remontował, zarządzał. Wszystkim, czym się tylko dało. Hotelami, kasynami, polami golfowymi, mieszkaniami i wszelkimi nieruchomościami, które wpadły mu w ręce. Miał też, od zawsze, słabość do pięknych kobiet. Także na tym bardzo szybko nauczył się zarabiać, stając się właścicielem konkursów Miss Universe, Miss USA i Miss Nastolatek USA. Jego majątek różni się w zależności od źródła, które o nim pisze, a sam Trump od zawsze na każdą tego typu publikację reaguje w jeden, charakterystyczny dla siebie sposób. „Mam znacznie więcej, niż sądzicie” – mówi dziennikarzom, którzy pytają go o realny stan posiadania.

Pierwsze duże pieniądze zarobił, kupując hotel Commodore, położony obok Grand Central Terminal, w dzielnicy Midtown Manhattan w Nowym Jorku. Nabył go w 1976 r. wspólnie z Hyatt Organisation. Był to czas, w którym ogromna liczba budynków na Manhattanie była zagrożona przejęciem. Wspomniany hotel był zadłużony na 1,5 mln dolarów, a – dziś trudno to sobie wyobrazić – Nowy Jork nie był postrzegany jako miejsce na prowadzenie luksusowego biznesu. Między innymi dlatego Trump przekonał władze miasta, by przyznały hotelowi 40-letnią ulgę podatkową. To wygenerowało bardzo szybko ogromne zyski. Swojego pierwszego dużego biznesu Trump pozbył się w drugiej połowie lat 90., kiedy odsprzedał nieruchomość firmie Hyatt za 142 mln dolarów.

Trudni przeciwnicy

Analizując genezę jego bogactwa, trzeba też wspomnieć, że styl prowadzenia biznesu przez Trumpa charakteryzuje miks doskonałych umiejętności negocjacyjnych i szukanie okazji do oszczędności. Wszystko to spaja radykalny, agresywny sposób bycia i rozmawiania o biznesie. „Zawsze walczę jak cholera, by zapłacić jak najmniej” – lubi powtarzać Trump. Często ma to swój finał w sądach, gdzie bywał i wciąż bywa częstym gościem. Wiele z tych batalii prawnych nagłaśniano w mediach, co dodatkowo budowało markę „agresywnego biznesmena”. Warto tu wspomnieć choćby pozwy wytoczone np. byłej uczestniczce wyborów miss Ameryki, która ośmieliła się skrytykować konkurs prowadzony przez firmę Trumpa. Myliłby się jednak ten, kto mógłby pomyśleć, że były prezydent szuka tylko łatwych przeciwników. Nie boi się rzucać wyzwania także wielkim korporacjom. Pozwał np. Deutsche Bank za to, że kiedyś odmówiono mu przedłużenia kredytu na projekt budowlany w Chicago.

Najnowsza batalia sądowa Trumpa znalazła swój finał na początku kwietnia bieżącego roku, gdy biznesmen wpłacił 175 mln dolarów jako kaucję w sprawie o oszu-

stwo cywilne. Paradoksalnie także to było sukcesem eks-prezydenta i jego prawników. Wcześniej sąd kazał Trumpowi zapłacić prawie 0,5 mld dolarów kaucji w związku z procesem, w którym jest oskarżony o manipulację wartością swoich nieruchomości. Przedstawiciele Trumpa twierdzili, że żadna z organizacji finansowych nie chce mu pożyczyć pieniędzy na ten cel pod zastaw nieruchomości, które stanowią lwia część jego majątku. Groziło mu, że skrajnie lewicowa prokurator generalna Nowego Jorku Letitia James zacznie wyprzedawać jego budynki, w tym słynną Trump Tower na Manhattanie. Ostatecznie sąd apelacyjny zmniejszył wysokość kaucji do 175 mln dolarów i dał mu dodatkowe 10 dni na jej opłacenie. Trump zadeklarował, że nie będzie miał z tym problemów. Znów, w swoim stylu, z uśmiechem komentował później na konferencji prasowej, że cała sprawa ma wymiar polityczny, ale nikt nie jest mu w stanie zaszkodzić: „Mam masę forsy” – mówił na konferencji prasowej.

Miliarder na giełdzie

Majątek Trumpa i jego rodziny prześwietlany jest przez media od dziesięcioleci. Wszystko dlatego, że wiele osób zadaje sobie pytanie, jaki jest realny stan posiadania 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych. Według najnowszych wyliczeń przedstawionych przez amerykańską redakcję „Forbesa” odpowiedź na pytanie o to, ile wart jest Donald Trump, brzmi: 6,4 mld dolarów. Warto zauważyć, że to najwyższa wartość jego majątku od 1982 r. Dziennikarze zestawili wszystkie aktywa należące do byłego prezydenta. Czego tam nie ma! Sama spółka Trump Media, która jest właścicielem portalu społecznościowego Truth Social, warta jest – wg „Forbesa” – 4,6 mld dolarów. Nieruchomości to dodatkowe 1,1 mld. Do tego kluby golfowe i kurorty, które warte są co najmniej 810 mln dolarów. Poza tym, jak szacuje „Forbes”, jest jeszcze 410 mln dolarów na różnych kontach i około 100 mln dolarów w innych aktywach, jak licencje, samoloty czy kryptowaluty... Na koniec redakcja prezentuje wycenę zobowiązań prawnych, które szacuje na ok. 540 mln dolarów. Całość ze-

”

Styl prowadzenia biznesu przez Trumpa charakteryzuje miks doskonałych umiejętności negocjacyjnych i szukanie okazji do oszczędności. Wszystko to spaja radykalny, agresywny sposób bycia i rozmawiania o biznesie

stawienia wieńczy cytat z Donalda Trumpa: „Pieniądze nigdy nie były dla mnie główną motywacją, chyba że były sposobem na utrzymanie wyników. Prawdziwie ekscytująca jest gra”.

Jeśli jesteśmy już przy grze, to trzeba wspomnieć o innych jej uczestnikach i o giełdzie. Do niedawna ogromne pieniądze nie zapewniały Trumpowi miejsca na liście 500 najbogatszych miliarderów na świecie, którą prowadzi Bloomberg. Przez dłuższy czas wspomniane zestawienie otwierał Elon Musk, aktualnie pierwszy jest Bernard Arnault, dyrektor generalny firmy koncernu Louis Vuitton. Ostatni, w momencie pisania tego tekstu, był Bruce Kovner, amerykański biznesmen z branży finansowej. Co z Trumpem? Przez chwilę był na tej liście, gdy jego majątek zyskał nowy wymiar po wejściu firmy na giełdę. Były prezydent Stanów Zjednoczonych trafił na listę miliarderów i... błyskawicznie z niej zniknął. Wszystko z powodu zamieszania wywołanego próbą realnej wyceny Trump Media. Sprawa ma związek z fuzją firmy prezydenta (DJT) z Digital World Acquisition Corp (DWAC). To tzw. firma akwizycyjna specjalnego przeznaczenia, jedna ze spółek fasadowych, które są notowane na giełdzie, a poprzez fuzje i nabycia umożliwiają innym podmiotom szybsze wejście na giełdę, bez zwyczajowej skomplikowanej procedury.

Giełdowa historia Trump Media

O tym, jaka jest realna wartość firmy Trump Media, więcej za chwilę. Przypomnijmy, że to do tej firmy należy portal społecznościowy Truth Social, który Trump założył po tym, gdy został zablokowany na Twitterze i Facebooku. „Stworzyłem Truth Social, by przeciwstawić się tyranii wielkich technologii. Żyjemy w świecie, w którym talibowie są stale obecni na Twitterze, a wasz ulubiony amerykański prezydent został uciszony” – mówił wówczas miliarder. Giełdowa przygoda Trump Media (DJT) jest równie ciekawa, jak i sam Donald Trump. Spółka rozpoczęła notowania od 78 dolarów, a zakończyła pierwszy dzień na poziomie 57,99 dolarów. Ta wycena umożliwiła biznesmenowi wejście na wspomnianą wcześniej listę 500 najbogatszych ludzi świata, którą prowadzi Bloomberg. Kolejnego dnia akcje jednak bardzo mocno spadały, dochodząc do wyceny przekraczającej nieznacznie 30 dolarów. Ostatecznie poleciały w dół tak mocno, że decydenci na Bloombergu usunęli Trumpa ze swojej listy. Pierwsze notowania DJT okrzyknięto w amerykańskich mediach „szokującymi”. „Wall Street Journal” napisał nawet, że ma to ogromne znaczenie dla wzmocnienia walczącego z problemami prawnymi i finansowymi byłego prezydenta. Z kolei według telewizji CNBC giełdowy sukces Trumpa miał być wynikiem działalności i aktywności sympatyków byłego prezydenta, bo realnie Truth Social – zdaniem ekspertów – nie ma takiej wartości. Choć istnieje, jak wspomnieliśmy, od 2021 r., ma zaledwie 5 mln użytkow-

”

Trump nie boi się rzucać wyzwania także wielkim korporacjom. Pozwał np. Deutsche Bank za to, że kiedyś odmówiono mu przedłużenia kredytu na projekt budowlany w Chicago

ników, a w pierwszych trzech kwartałach ub.r. osiągnął 49 mln dol. straty przy przychodach wynoszących tylko 3,4 mln. Według rankingów prowadzonych na internetowych platformach dawało to Truth Social 203. miejsce w kategorii „News & Media Publishers” w Stanach Zjednoczonych w styczniu 2023 r. W sprawozdaniu finansowym opublikowanym w kwietniu ub.r. sam Trump szacował wartość swojej firmy w przedziale od 5 do 25 mln dolarów. Tymczasem „Wall Street” wycenił Trump Media na... ok. 14 mld dolarów. Jednocześnie w amerykańskich mediach pojawiły się głosy, że ta wycena jest „głęboko błędna”. „To bardzo niezwykła sytuacja” – mówił, komentując tę sprawę dla CNN, Jay Ritter, profesor finansów na Uniwersytecie Florydy. „Akcje są w dużym stopniu oderwane od fundamentów” – dodawał. „Jestem całkiem pewien, że cena akcji ostatecznie spadnie do 2 dolarów za sztukę, a może nawet poniżej tej wartości, jeśli firma przepuści pieniądze uzyskane z fuzji” – przewidywał nie bez złośliwości.

Jak wiedzą jednak wszyscy ekonomiści świata, akcje firmy na giełdzie są warte dokładnie tyle, ile ktoś chce za nie zapłacić. Trump, który jest właścicielem 60 proc. wspomnianej spółki, nie ukrywa, że ta ma być platformą jego kampanii prezydenckiej. Sam portal Truth Social jest tak skonstruowany, że Trump czerpie korzyści z większości opłacanych w nim wpisów reklamowych. Nie można mu niczego zarzucić, bo już w prospekcie przedstawionym inwestorom przed wejściem na giełdę firma przyznawała, że jej wartość jest „nierozdzielnie zależna” od reputacji i losów samego prezydenta. W tym od wyników oraz rozstrzygnięć spraw sądowych i wyborów. Nie jest też ani nie było dla nikogo tajemnicą, że Trump chce użyć akcji swojej firmy jako zabezpieczenia przyszłych kredytów i pożyczek. Taka operacja jest możliwa najczęściej wówczas, jeśli firma jest minimum przez pół roku na giełdzie. Chyba że rząd zgodzi się na wyjątek. Kto jest w zarządzie Trump Media? Oczywiście „wszyscy ludzie prezydenta”, m.in. jego syn Donald jr., były urzędnik Białego Domu i Pentagonu Kash Patel, były przedstawiciel USA ds. handlu Robert Lighthizer, i były republikański kongresmen Devin Nunes.

STANISŁAW KOCZOT

Inflacja z wielką niewiadomą

Inflacja w celu NBP to bardzo dobra wiadomość i duża radość dla gospodarki. Szkoda, że taka krótka. Warto się jednak i z tego cieszyć, bo powodów do optymizmu nie ma zbyt wiele. Kolejne miesiące przyniosą wzrost cen, chociaż nie tak duży jak jeszcze kilka miesięcy temu

Inflacja konsumencka CPI w marcu spadła do 2 proc., co było sporym zaskoczeniem dla rynku, choć obniżki w stosunku do lutego (2,8 proc.) spodziewali się wszyscy. Nie tak jednak dużej. Inflacja marcowa była najniższa od marca 2019 r. Imponująco dobry odczyt to przede wszystkim zasługa cen żywności i napojów bezalkoholowych, które w ciągu miesiąca obniżyły się o 0,1 proc. Był to ten element najbardziej niespodziewany dla rynku, bo wyraźnie odbiegał (na korzyść) od tego, co zwykle dzieje się z cenami o tej porze roku. Drugi powód zaskoczenia to doświadczenie z ostatnich kilku lat, kiedy ceny akurat w tej kategorii rosły, a nie spadały. Teraz było odwrotnie. Miesięczny spadek cen żywności i napojów spowodował, że ich roczna dynamika wyhamowała do 0,3 proc. z 2,7 proc. w lutym.

Skala obniżki jest olbrzymia, biorąc pod uwagę to, że rok temu ceny żywności rosły w tempie 24 proc. Co spowodowało tak dużą zmianę? Przede wszyst-

kim rynek globalny, na którym taniały zboża, nawozy, pasze. Duże znaczenie miała także ostra rywalizacja między największymi sieciami handlowymi, które na wyścigi obniżały ceny podstawowych produktów.

Znacznie mniejszy wpływ na wysokość inflacji liczonej w relacji rok do roku miały ceny energii, które spadły w ciągu miesiąca o 0,3 proc., a także ceny paliw, które z kolei wzrosły o 0,1 proc.

Żywność i tak zdrożeje

To na razie tyle dobrych wiadomości. Powrót do twardej rzeczywistości zaczął się już 1 kwietnia, kiedy rząd przywrócił 5-procentową stawkę VAT na żywność. Została ona zawieszona przez poprzednią ekipę, by ulżyć portfelom Polaków w sytuacji gwałtownie rosnących kosztów życia, wywołanych przez rosnące ceny energii, wojnę na Ukrainie i napięcia powstałe w postpandemicznych realiach gospodarczych. Obecny rząd uznał, że nie ma już takiej potrzeby, bo sytuacja gospodarcza jest lepsza, a rosnące pensje Polaków zrekompen-sują podwyżki żywności. Rzeczywiście, przeciętne miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw w lutym 2024 r. w porównaniu z lutym 2023 r. wzrosło nominalnie o 12,9 proc., powyżej konsensusu rynkowego. „Płace są na silnie wzrostowej trajektorii. Nie doszukujemy się czynników jednorazowych, bo wyłączając sektory »podejrzane«, po prostu ich nie ma. Rozpęd płac nie słabnie, a nawet można zaryzykować tezę, że nabiera tempa” – pisali analitycy mBanku. I dodali jeszcze jedno spostrzeżenie, na które warto zwrócić uwagę: „Zanim skoczymy do pociągu szybszych wzrostów produktywności, płace będą szybko (i inflacyjnie) rosły”.

fot. Shutterstock

”

Rozpęd płac nie słabnie,
a nawet można zaryzykować tezę,
że nabiera tempa

Jak mocno przywrócenie stawki VAT na żywność odbije się na inflacji? Być może nie aż tak bardzo, jak można by sądzić. Część inflacyjnego uderzenia wezmą na siebie sieci handlowe, które zadeklarowały, że pozostaną przy starych cenach. Nie wiadomo jednak, na jak długo, bo kiedy bitwa między nimi się skończy, ceny mogą wystrzelić. Wiceminister finansów Jurand Drop napisał w odpowiedzi na interpelację poselską, że wpływ na inflację powrotu stawki VAT na żywność do 5 proc. szacuje na 0,8–1,0 pkt. proc., i jest to wielkość maksymalna. Być może rzeczywiście tak będzie, a część ośrodków analitycznych twierdzi nawet, że bardziej prawdopodobna jest dolna granica widełek, czyli 0,8 pkt. proc. Z drugiej jednak strony na rynku żywnościowym dzieją się rzeczy, które i tak spowodują wzrost cen, nawet gdyby rząd nie przywrócił podatku VAT. Na przykład eksperci PKO BP twierdzą, że roczna dynamika cen żywności zacznie wkrótce rosnąć, na co wskazują tendencje po stronie kosztowej: kształtowanie się cen skupu, surowców oraz cen produkcji sprzedanej PPI dotyczących żywności.

Żywność więc najpewniej podrożeje, choć skala podwyżek będzie zależała od tego, jak długo sieci handlowe nie będą naliczać podatku VAT na żywność i jak bardzo oraz w jakim tempie wzrosną koszty produkcji rolnej.

Więcej za prąd i gaz

Żywność i napoje bezalkoholowe to tylko jeden ze składników tzw. koszyka inflacyjnego, choć największy (i rosnący w stosunku do poprzedniego roku z 27,01 proc. do 27,63 proc. w 2024 r.). Drugą mocną pozycję, także większą niż w 2023 r. (20,43 proc. versus 19,63 proc.) zajmuje wyposażenie mieszkania i prowadzenie gospodarstwa domowego. Pozostałe tzw. wagi nie przekraczają 10 proc., np. transport to 9,24 proc., a zdrowie 5,36 proc.

Do czerwca, a może nawet trochę dłużej, powinno być w miarę spokojnie: inflacja prawdopodobnie będzie się poruszać w celu NBP, czyli 2,5 proc. z przedziałem odchyłeń o 1 pkt. proc. w górę lub w dół. Potem będzie gorzej, przede wszystkim za sprawą taryf na energię elektryczną i gaz. Po 1 lipca przestanie działać tarcza antyinflacyjna, która blokowała ich ceny. Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska zapowiedziała, że mrożenie cen energii dla gospodarstw domowych w obecnej formie nie będzie kontynuowane. Rachunki za prąd i gaz na pewno wzrosną, ale dopóki nie ma ostatecznej decyzji rządu, nie wiadomo w jakim stopniu. Prawdopodobnie nie będzie to powrót do maksymalnych stawek sprzed obowiązywania tarczy, jednak rachunki będą wyższe. O ile? Szacunki są różne, ale np. Bank Ochrony Środowiska zakłada, że rachunki za energię elektryczną podskoczą o około 20 proc. Przy takich szacunkach inflacja może wynosić na koniec

roku około 5 proc. „Gdyby nie było podwyżki VAT na żywność i podwyżki cen energii elektrycznej, skończylibyśmy rok z inflacją w okolicach 3,5 proc.” – mówił Łukasz Tarnawa, dyrektor biura analiz makroekonomicznych Banku Ochrony Środowiska, w „Wywiadzie gospodarczym” w telewizji wPolsce.

Skąd te 3,5 proc., niezależnie od VAT-u na żywność i zniesienia blokady cen energii? „Przed rokiem na jesieni skokowo spadły ceny paliw i muszą naturalnie wzrosnąć do poziomu sprzed promocji z września i października 2023 r. Podobnie z cenami węgla” – wyjaśniał Łukasz Tarnawa.

Wynagrodzenia ciągle w górę

To nie wszystko. Prezes NBP prof. Adam Glapiński za główne zagrożenie dla inflacji uważa silny wzrost płac. Analitycy Pekao SA przyjrzeni się źródłom podwyżek wynagrodzeń. Okazuje się, że dokonują się one obecnie w specyficznym otoczeniu makroekonomicznym – przy silnej i stabilnej sytuacji na rynku pracy (przy rekordowo niskim bezrobociu, stagnacji zatrudnienia, wyraźnym „chomikowaniu” pracy przez firmy) i wobec stopniowo poprawiającej się, acz nadal nierozpędzonej, koniunktury. W takiej sytuacji pozycja negocjacyjna pracowników jest silna. „Wystrzał dynamiki wynagrodzeń odbywa się obecnie kosztem dołujących marż i spadających zysków przedsiębiorców (przynajmniej tych dużych)” – piszą analitycy Pekao.

To wszystko ma oczywiście wpływ na tendencje inflacyjne. Tak samo jak rosnące ceny paliw. Ekonomisci PIE twierdzą, że wzrost ceny ropy Brent o 10 proc. przekłada się na podwyżkę cen paliw w Polsce o ok. 4 proc. „Paliwa do środków transportu stanowią z kolei 6 proc. łącznych wydatków konsumenckich. Przy takich proporcjach trwałe utrzymanie cen baryłki ropy w okolicach 90 dol. podwyższy inflację o ok. 0,3 pkt. proc. w perspektywie roku. Wzrost ceny ropy do 100 dol. za baryłkę przełoży się na podniesienie CPI o kolejne 0,2 pkt” – twierdzi PIE.

Cena baryłki ropy rośnie, co nie jest dobrą informacją dla portfeli Polaków. Na szczęście spadły – do okresów, kiedy w Polsce występowała deflacja – oczekiwania inflacyjne gospodarstw domowych. To o tyle dobra wiadomość, że o wiele trudniej będzie jej pozostać na wysokim poziomie. ●

AGNIESZKA ŁAKOMA

Energetyka atomowa dla Europy – coraz mniej wątpliwości

Wygląda na to, że w Komisji Europejskiej już padły ostatnie linie oporu przeciwko energetyce jądrowej. Pod koniec marca w Brukseli odbył się międzynarodowy szczyt poświęcony inwestycjom, a w kwietniu unijny komisarz Thierry Breton zaproponował swoją specustawę, ułatwiającą budowę reaktorów

Kryzys surowcowy i energetyczny, jaki wywołała agresja Rosji na Ukrainę dwa lata temu, przyspieszył realizację polityki klimatycznej, ale też – wobec dynamicznego rozwoju odnawialnych źródeł energii – rośnie znaczenie stabilnych źródeł energii, do których należą właśnie elektrownie jądrowe. Choć kilka państw unijnych przygotowuje lub zapowiada budowę reaktorów, to jednocześnie nadal sceptycznie te pomysły oceniane są m.in. przez władze Austrii i Niemiec, które rok temu zamknęły swoje ostatnie elektrownie jądrowe. Jednak ich głos ma mniejszy wydźwięk wobec faktu, że 13 państw (wśród nich Polska) zawiązało nieformalną koalicję atomową w UE, a na dodatek jeszcze w zeszłym roku na unijnym forum oficjalnie uznano energetykę jądrową za czystą technologię wpierającą transformację energetyczną kontynentu. Co oznacza w praktyce, że została zaliczona do grona tych, które mają służyć realizacji zasadniczego celu unijnej polityki klimatycznej, czyli osiągnięcia neutralności klimatycznej w połowie wieku.

W tej sytuacji marcowy „szczyt atomowy”, czyli International Nuclear Energy Summit, jaki odbył się w Brukseli (formalnie były to dwa wydarzenia), zdaje się potwierdzać, że energetyka jądrowa ma przyszłość w Unii Europejskiej, i nie tylko. Czas pokaże, czy efek-

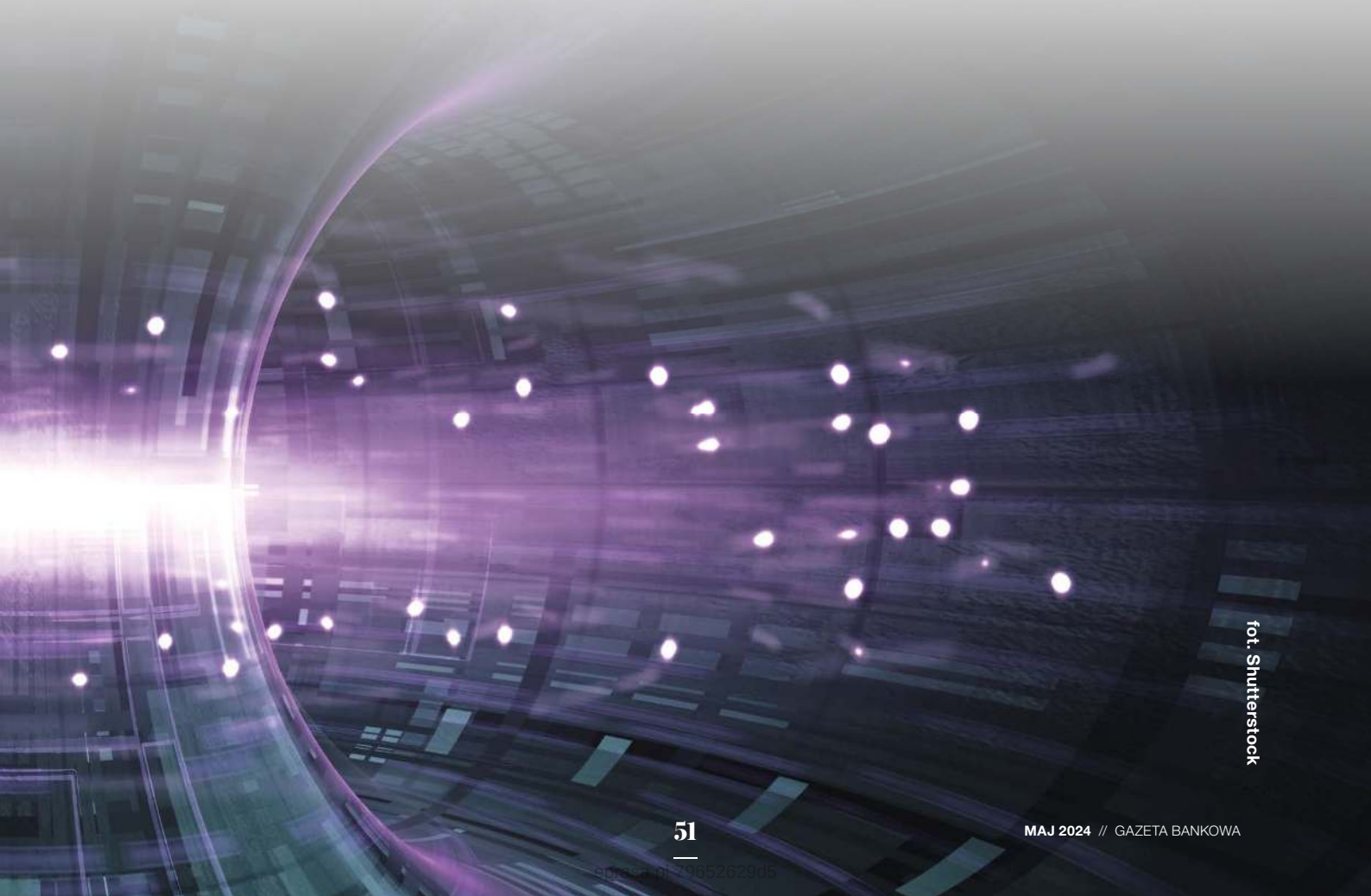
”

Energetyka jądrowa – zwłaszcza wielkoskalowa – to bardzo kosztowne przedsięwzięcie ze względu na początkowe wydatki na budowę

tem będzie rzeczywiście specustawa, umożliwiająca przyspieszenie inwestycji i potwierdzająca faktyczne wsparcie dla technologii jądrowych, także tych nowych – jak małe modułowe reaktory (SMR). Warto jednak przyjrzeć się tej inicjatywie i opiniom, jakie padły w czasie międzynarodowego spotkania.

Czy będzie „Karta jądrowa”?

O tym, że Unia Europejska, chcąc przyspieszyć rozwój potrzebnych technologii, wdraża specjalne przepisy, by wspierać inwestycje, wiadomo od dawna, a najlepszym tego przykładem są rozwiązania na rzecz energetyki solarnej (przygotowywana tzw. Kar-



fol. Shutterstock



fot. Shutterstock

ta Słoneczna) czy wiatrowej. W przypadku energetyki jądrowej na razie znane są tylko inicjatywy samych państw, jak sojusz krajów „proatomowych” z Francją na czele czy pomysł tzw. aliansu przemysłowego na rzecz SMR. A inicjatywy te służą przede wszystkim temu, by przekonać unijne władze w Brukseli do nowych form wsparcia różnych projektów. Tym bardziej, że faktyczne działania Brukseli – ze względu na duży opór (zwłaszcza po katastrofie w Fukushima) kilku wpływowych państw członkowskich – skupiały się raczej na inicjatywach dotyczących bezpieczeństwa i likwidacji odpadów, a także na badaniach naukowych.

Portal Euractive, który informował o inicjatywie legislacyjnej, jakiej pomysł przedstawił komisarz ds. europejskiego rynku wewnętrznego Thierry Breton, napisał, że „pragnie przyjęcia nowej unijnej ustawy dotyczącej tych technologii w ramach wysiłków na rzecz rozwoju zintegrowanego przemysłu jądrowego w Europie”. Portal przypomniał też, że w kontekście polityki klimatycznej prognozy wskazują, iż zapotrzebowanie na energię elektryczną może w UE wzrosnąć nawet o 57–79 proc., i to już do końca przyszłej dekady. O koncepcji Ustawy o energii jądrowej Thierry Breton mówił najpierw na początku kwietnia na spotkaniu z członkami Komisji ds. Energii i Przemysłu Parlamentu Europejskiego oraz Komisji Handlu Międzynarodowego. Portal Euractive napisał, iż zdaniem komisarza: „Konieczne jest obecnie przeniesienie energetyki jądrowej na inny poziom, ponieważ ma ona kluczową rolę do odegrania w złożonym równaniu [między] bezpieczeństwem, zrównoważonym rozwojem i konkurencyjnością”. Chodziłoby m.in. o „zwiększenie

europejskich badań i innowacji w zakresie najbezpieczniejszych technologii nuklearnych na świecie jako integralnej części każdej przyszłej inicjatywy UE mającej na celu promowanie tego sektora” – czytamy.

13-ka czeka na decyzję Komisji

Przypomnijmy, że oficjalnie na początku marca Grupa 13 pronuklearnych krajów UE przygotowała i przekazała Komisji Europejskiej specjalne wspólne stanowisko, w którym liczy na konkretne działania legislacyjne na rzecz energetyki jądrowej. Autorzy oświadczenia wezwali, jak informowała Agencja Reutera, „do silniejszej polityki UE w zakresie energii jądrowej”. I stwierdzili, że niedawne przełomowe ustalenia z Brukselą mające na celu uznanie znaczenia energii jądrowej w koszyku energetycznym należy przełożyć na konkretne projekty i finansowanie. „Tę dynamikę należy teraz przekształcić w kompleksowe i umożliwiające europejskie ramy rozwoju jądrowego, badając podstawowe wymiary polityki, w tym finansowanie” – napisano w dokumencie. A podpisały się pod nim, oprócz inicjatora, czyli Francji, także Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Finlandia, Holandia, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Szwecja i Węgry (w grupie proatomowej są też Włochy, które w latach 90. ubiegłego wieku zamknęły elektrownie jądrowe, ale teraz rozważają możliwość powrotu do tej technologii, jednak nie podpisały się pod oświadczeniem).

Oczekiwanie wsparcia ze strony Komisji Europejskiej dla rozwoju nowoczesnych technologii jądrowych

to jeden z wielu elementów, jakie składają się na urzeczywistnienie planów inwestycyjnych w Europie. Jednym z najważniejszych na pewno będzie i jest zorganizowanie finansowania. I tu także pozytywny sygnał władz UE byłby bardzo korzystny i wskazany. Dotąd realne wsparcie (ze strony instytucji finansowych UE) obejmuje przede wszystkim źródła odnawialne. Jak informował Euractive, powołując się na jednego z szefów EBI, bank ten do 2030 r. na liście priorytetów ma właśnie finansowanie projektów OZE (również fundusze pomocowe UE obejmują przede wszystkim te źródła). A energetyka jądrowa – zwłaszcza wielkoskalowa – to bardzo kosztowne przedsięwzięcie ze względu na początkowe wydatki na budowę.

Euractive informował w kwietniu, powołując się na eksperta branży, profesora ekonomistę energii Jacques'a Percebois, że jeden gigawat mocy jądrowej będzie kosztować od 5 do 11 mld euro, a taki przedział „wskazuje na dużą dozę niepewności i dużą różnicę w założeniach”. Tymczasem kraje proatomowe kontynentu zakładają, że trzeba będzie wybudować do połowy wieku 30 reaktorów o mocy 50 GW, zatem łączne koszty inwestycyjne sięgnęłyby gigantycznej kwoty 250–550 mld euro. Jednocześnie profesor Percebois przypomniał, że największą część projektów stanowią wydatki na samą budowę: „To ok. 70 proc. kosztu nowego reaktora, podczas gdy koszty operacyjne stanowią tylko ok. 15 proc.”. Podobnie koszty paliwa. Portal podał też, że „różne szacunki mogą uwzględniać lub wykluczać koszty związane z likwidacją zakładów i przetwarzaniem odpadów. Na dane dotyczące kosztów duży wpływ mogą mieć także założenia dotyczące czynników zewnętrznych, takich jak przyszła stopa inflacji”.

Ursula von der Leyen: „Do dzieła!”

21 i 22 marca 2024 r. w Brukseli pod jednym hasłem Szczyt nuklearny miały miejsce dwa międzynarodowe wydarzenia, organizowane przez premiera Belgii Alexandra De Croo i dyrektora generalnego Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) Rafaela Mariano Grossi. Gośćmi byli przedstawiciele kilkudziesięciu państw, a efektem – Deklaracja Energii Jądrowej, której autorzy (wśród sygnatariuszy jest również Polska) zapewnili o chęci uwolnienia „pełnego potencjału” energii jądrowej. „Wzywamy do większego uwzględnienia energii jądrowej w polityce środowiskowej, społecznej i zarządzania (ESG) w międzynarodowym systemie finansowym, biorąc pod uwagę, że jest to jedno z zeroemisyjnych źródeł wytwarzania energii” – napisano w deklaracji. Szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Rafael Mariano Grossi, otwierając szczyt, mówił, że wynika to nie z chęci, ale konieczności. „Trzeba było 70 lat komercyjnej eksploatacji bloków jądrowych, by doszło do pierwszego szczytu energetyki jądrowej, podczas którego spotykają się przedstawiciele

”

Kraje proatomowe kontynentu zakładają, że trzeba będzie wybudować do połowy wieku 30 reaktorów o mocy 50 GW, zatem łączne koszty inwestycyjne sięgnęłyby gigantycznej kwoty 250–550 mld euro

le najwyższego szczebla, światowi przywódcy. To logiczne, że nastąpiło to teraz, mogło do spotkania dojść wcześniej, ale teraz to nie jest kwestia chęci. To kwestia konieczności” – stwierdził.

Szczyt dotyczył technologii jądrowych w energetyce nie tylko w kontekście wielkoskalowych obiektów, a Komisja Europejska i Nucleareurope zorganizowały jednocześnie spotkanie (konferencję) o działaniach i planach Europejskiego Sojuszu Przemysłowego (EIA) na rzecz reaktorów SMR. Małe reaktory mają tę zaletę, że są znacząco tańsze, ale technologia ta dopiero się rozwija. Unijny alians zaś, wspierany przez wiele krajów i firm, ma służyć inwestycjom w małe lokalne reaktory modułowe, które powinny być uruchomione tuż przed końcem tej dekady. „SMR-y mogą pomóc obniżyć cenę energii elektrycznej” – mówiła w czasie konferencji Komisarz UE ds. Energii Kadri Simson. „Mogą wytwarzać ciepło na potrzeby procesów przemysłowych i dzielnic miejskich. Mogą zapewnić stabilną moc do produkcji niskoemisyjnego wodoru oraz do zasilania czystych rozwiązań w zakresie ogrzewania i chłodzenia”. Wskazała także na znaczenie tych projektów dla „równoważenia sieci i dostarczania energii elektrycznej do centrów danych”. A komisarz Breton przekonywał, że „to przełomowy moment dla wszystkich rodzajów źródeł energii jądrowej, w tym SMR”. I dodawał: „Wszyscy wierzymy, że SMR doskonale pasuje do naszego miksu energetycznego”.

Polskę na tej konferencji reprezentował prezes Orlen Synthos Green Energy Rafał Kasprów, podkreślając „rolę współpracy międzynarodowej w budowaniu SMR-ów w technologii BWRX-300”. „Mamy do czynienia ze sprawdzoną technologią, opartą na doświadczeniach z funkcjonujących reaktorów, a przede wszystkim pozwalającą wykorzystać szeroki łańcuch dostaw w Europie” – stwierdził. Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel uważa, że Europa musi „wprowadzać więcej innowacji”. A SMR-y i nowe technologie, np. wodorowe, „mogą mieć decydujące znaczenie dla dekarbonizacji, zaś obiecujące postępy w technologiach syntezy jądrowej i rozszczepienia jądrowego mogą zmienić przyszłość energii jądrowej”.

kronika

Spotkania & Relacje & Debaty

Polski plan *na rzecz* energii i klimatu



Transformacja energetyczna w Polsce wymaga gigantycznych inwestycji, zarówno w odnawialne źródła, jak i energię jądrową. W najbliższych latach jednak źródła wytwórcze oparte na paliwach kopalnych nadal będą odgrywały istotną rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa energetycznego.

Uczestnicy trzech niezwykle ciekawych debat Energetycznego Forum, które w pierwszym dniu wiosny zorganizowała redakcja „Gazety Bankowej” i portalu wGospodarcze.pl, dyskutowali przede wszystkim o możliwościach oraz perspektywach zmian, jakie muszą się dokonać w polskiej energetyce w kontekście realizacji Europejskiego Zielonego Ładu, który doprowadzi Stary Kontynent do „zero-emisyjności” w połowie wieku. Zgodnie podkreślali znaczenie terminowej i skoordynowanej realizacji wielu inwestycji, które przeorientują sektor całkowicie.

Kierunki wyznacza Krajowy Plan Działań na rzecz Energii i Klimatu, jaki na początku marca trafił do zatwierdzenia do Komisji Europejskiej. W dokumencie przyjęto ambitne założenia – na koniec dekady połowa energii wytwarzanej w Polsce będzie pochodzić z odnawialnych źródeł, a w 2040 roku – niemal 60 procent.

Prezentujemy zapis trzech debat tegorocznego Forum Energetycznego. Relacje z dyskusji dostępne są także na portalu wGospodarcze.pl •

foto Shutterstock

OZE w Polsce?

Ostatecznie chodzi o niższe rachunki za prąd

Temat transformacji energetycznej to dziś ważny element dyskusji publicznej, który dotyczy wszystkich – zarówno osób indywidualnych, jak i firm oraz przedsiębiorstw funkcjonujących w różnych sektorach gospodarki. Choć w przestrzeni publicznej pojawił się już dawno, to nabrał na znaczeniu w momencie wybuchu wojny w Ukrainie, m.in. w związku z konsekwencjami sankcji nałożonych na Rosję, będącej dotychczas jednym z głównych dostawców paliw kopalnych, stanowiących główne źródło wytwarzania energii

Biorąc pod uwagę fakt, że Unia Europejska chce w połowie tego wieku stać się pierwszym kontynentem bezemisyjnym, zmiany w rodzimej energetyce są nieuchronne. Patrząc na plany inwestycyjne z polskiej perspektywy, musimy się jednak liczyć z tym, że czekają nas ogromne i kosztowne inwestycje, także ze względu na to, że Polska energetyka w dużej mierze opiera się na węglu. Zmiana branży energetycznej dotyczyć zatem będzie nie tylko przemysłu, to również zmiana nawyków i przyzwyczajeń społeczeństwa. Podczas II energetycznego Forum wGospodarce na temat perspektyw rozwoju odnawialnych źródeł energii w Polsce dys-

kutowali eksperci: Janusz Gajowiecki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej; Arkadiusz Sekściński, wiceprezes zarządu Fundacji Wind Industry Hub; Piotr Kisiel, wiceprezes ds. rozwoju rynku w Stowarzyszeniu Branży Fotowoltaicznej Polska PV; oraz dr inż. Maciej Gis z Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych.

Czy to ambitne założenia?

Skoro proces transformacji energetycznej stał się już faktem, wydaje się, że przedmiotem dyskusji pozostaje tylko tempo zmian, generowane zarówno europejską, jak i krajową polityką energetyczną, a także innymi czynnikami, które mają na celu poprawę efektywności energetycznej, poczynając od pojedynczych gospodarstw domowych czy lokalnych społeczności, poprzez rozwój transportu elektrycznego, na zmianach struktury źródeł wytwarzających energię elektryczną kończąc. Całość zamierzeń i celów została zawarta w Krajowym Planie w Dziedzinie Energii i Klimatu (KPEiK), który jest kluczowym dokumentem zarówno dla polskiej energetyki, jak i pozostałych sektorów gospodarki. Jak podaje Ministerstwo Klimatu i Środowiska, Polska przygotowała wstępną wersję aktualizacji KPEiK z 2019 roku, którą przekazano do Komisji Europejskiej 1 marca 2024. W dokumencie przedstawiono pierwszy z dwóch wymaganych scenariuszy analitycznych,

”

Kluczowe znaczenie dla sektora energii odnawialnej będzie miało zaktualizowanie i przyjęcie nowej polityki energetycznej państwa, która stanowi fundament przemian

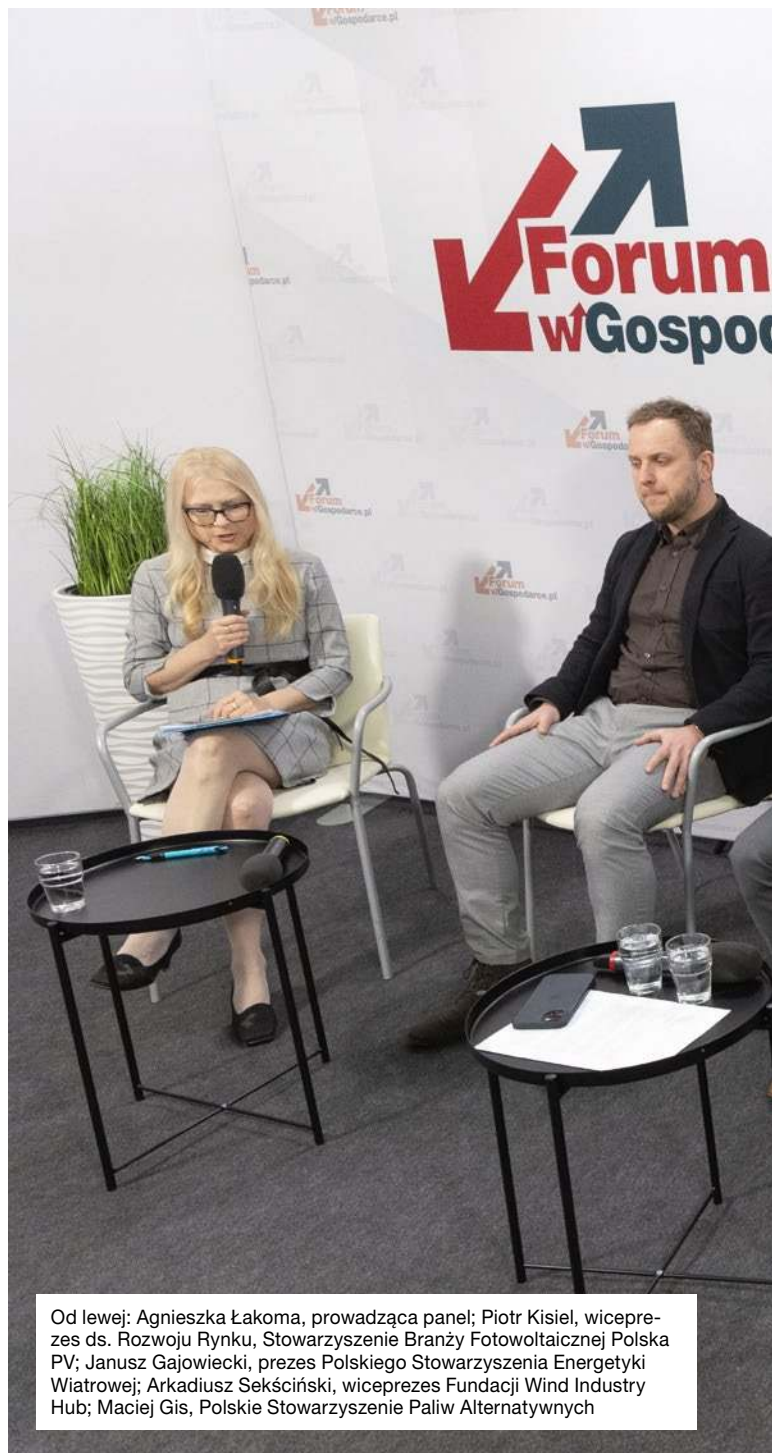
tj. scenariusz bazowy, który odwzorowuje aktualną ocenę możliwego wkładu Polski w realizację unijnych celów klimatyczno-energetycznych na rok 2030. Trajektoria umożliwiająca osiągnięcie w Polsce celu redukcji emisji GHG na poziomie zbliżonym do unijnego (tj. 55 proc.) będzie przedstawiona w bardziej ambitnym scenariuszu transformacji, nad którym trwają zaawansowane prace w Ministerstwie Klimatu i Środowiska.

Eksperti podkreślili, że kluczowe znaczenie dla sektora energii odnawialnej będzie miało zaktualizowanie i przyjęcie nowej polityki energetycznej państwa, która stanowi fundament przemian. PEP została przyjęta w 2021 roku i od tego czasu zmieniło się bardzo dużo. To ważny dokument strategiczny dla inwestorów, ale też dla powiązanych agend rządowych, które pod ten dokument opracowują plany działania na dekady. Polskie Sieci Energetyczne przygotowują 10-letni plan rozwoju, a takie instytucje jak PFR, które w odpowiedni sposób animują rozwój rynku inwestycyjnego dla przedsięwzięć w energetyce, potrzebują strategii rządowej. Przypomnijmy, że „Polityka energetyczna Polski do 2040 roku” to pierwsza z 9 strategii zintegrowanych wynikających ze Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Zgodnie z informacjami Ministerstwa Klimatu i Środowiska w 2040 roku ponad połowę mocy zainstalowanych w Polsce będą stanowić źródła zeroemisyjne. Szczególną rolę odegra w tym procesie wdrożenie do rodzimego systemu elektroenergetycznego morskiej energetyki wiatrowej i uruchomienie elektrowni jądrowej. Będą to dwa strategiczne nowe obszary i gałęzie przemysłu, które zostaną zbudowane w Polsce.

Janusz Gajowiecki zauważył, że cele do roku 2040 wydają się mało ambitne. – Liczymy na rewizję tych założeń do wakacji. Zgodnie z potencjałem i wykorzystaniem energii odnawialnej w Polsce, dostosowanej do poziomu rozwoju sieci i poziomu bilansowania. Wierzymy, że do roku 2040 tylko morska energetyka wiatrowa mogłaby w systemie stanowić 57 proc. całości produkowanej energii – mówił. Podkreślił równocześnie, że w systemie może być więcej produkowanej energii, którą można wykorzystać do magazynowania

”

Zgodnie z informacjami Ministerstwa Klimatu i Środowiska w 2040 roku ponad połowę mocy zainstalowanych w Polsce będą stanowić źródła zeroemisyjne



Od lewej: Agnieszka Łakoma, prowadząca panel; Piotr Kisiel, wiceprezes ds. Rozwoju Rynku, Stowarzyszenie Branży Fotowoltaicznej Polska PV; Janusz Gajowiecki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej; Arkadiusz Sekściński, wiceprezes Fundacji Wind Industry Hub; Maciej Giś, Polskie Stowarzyszenie Paliw Alternatywnych

czy innego rodzaju produkcji. Wykorzystując w pełni ten potencjał źródeł zmiennych, można wykorzystać nasze mocne strony i zadbać o konkurencyjność naszej gospodarki. Dzisiejszy rozwój technologii umożliwi nam zajęcie pozycji lidera, jeżeli chodzi o wykorzystanie lądowej energetyki wiatrowej w tej strefie geograficznej. I to byłoby ambitne założenie.

foto: Andrzej Wiktor



Konieczne zmiany

Prezes Janusz Gajowiecki zauważył, że aby osiągnąć wytyczone cele, potrzebujemy zmian regulacyjnych i przełamania podstawowych barier, ponieważ rok 2030 to cel krótkoterminowy. Z jego punktu widzenia perspektywa jest obiecująca. – Patrząc długoterminowo,

widzimy duży potencjał w naszym kraju, jeśli chodzi o realizację inwestycji wiatrowych, tych na lądzie i na morzu, i to znacznie przewyższa te cele, które są wskazane właśnie w KPEiK, czyli 6 gigawatów nowej mocy do roku 2030. Dla przykładu nasi sąsiedzi zainstalowali 3 gigawaty w zeszłym roku instalacji OZE. My, patrząc na położenie geograficzne, potencjał lokalizacyjny, też

jesteśmy w stanie rocznie taką moc instalować po roku 2030. Mamy bardzo dobre polskie firmy instalacyjne, które dzisiaj instalują już w całej Europie technologię wiatrową, ona jest już w pełni oswojona przez nasz rodzimy biznes, więc jesteśmy w stanie dostarczyć na rynek znaczące moce, które będą wpływały na system elektroenergetyczny. Dzisiaj energetyka wiatrowa to jest około 14 proc. w całej produkcji energii elektrycznej, 10 gigawatów mocy zainstalowanej. Oczywiście są dni, kiedy wieje bardzo dobrze i osiągamy w produkcji energii poziom 50 proc. produkcji mocy udziału w systemie elektroenergetycznym. Wciąż największym wyzwaniem energii odnawialnej, źródeł zmiennych wpływających na system, takich jak fotowoltaika i energia wiatrowa, jest fakt, że nie pracujemy w taki sposób, jak do tej pory było przyjęte, w tzw. starej energetyce, pod tzw. sznurek. Tutaj wymagana jest duża praca ze strony operatorów sieci, aby zarządzać tym systemem, który jest złożony właśnie ze źródeł zmiennych – wyjaśniał prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej.

Ponadto wskazał na potencjał Polski w energetyce wiatrowej jako największego w Europie i bezwzględnie najatrakcyjniejszego w Europie Środkowo-Wschodniej terenu pod inwestycje OZE, biorąc pod uwagę możliwości lokalizacyjne. Polska ma, według ekspertów, idealne warunki, żeby w pełni wykorzystać ten potencjał na 30 gigawatów w lądowej energetyce. Co więcej, nie można zapominać o morskiej energetyce wiatrowej, gdzie również ten potencjał do roku przynajmniej 2050 oceniany jest na kolejne 30 gigawatów. Należy mieć jednak na uwadze także strategie powiązane, np. plany zagospodarowania obszarów morskich, które określają na wiele lat do przodu, jakie lokalizacje farmy wiatrowe mogą zajmować na akwenie, który jest współdzielony przez różnych interesariuszy, tak aby ten akwen był wykorzystywany z poszanowaniem środowiska.

Udział polskich firm

Uczestnicy konferencji zgodnie wskazywali na konieczność zmiany czy likwidacji barier, np. w zakresie uwarunkowań środowiskowych. Arkadiusz Sekściński mówił wprost: – My nie funkcjonujemy w branży energetyki od wczoraj; obszary środowiskowe, oddziaływania na ptaki czy nietoperze są już bardzo dobrze przebadane. Dzisiaj trzeba te procesy upraszczać i one powinny się skracać. Teoretycznie proces rozwinięcia projektu OZE powinien zajmować kilka lat, a nie – tak jak teraz bywa – dekadę. To też jest obszar do współpracy pomiędzy naszym sektorem a administracją.

Jednocześnie dodał, że 50 proc. energii z OZE w 2030 roku to nie jest arcyambitny cel, bo nasi zachodni sąsiedzi szybciej osiągają takie poziomy. Istotne jest również, zdaniem wiceprezesa zarządu

”

Teoretycznie proces rozwinięcia projektu OZE powinien zajmować kilka lat, a nie – tak jak teraz bywa – dekadę.

To też jest obszar do współpracy pomiędzy naszym sektorem a administracją

Fundacji Wind Industry Hub, by w całym łańcuchu korzyści postawić na udział polskich podmiotów, polskich dostawców. – My, jako fundacja Wind Industry Hub, też chcemy bardzo mocno się tym zajmować, aby wyciągnąć lekcję, chociażby w odniesieniu do sektora fotowoltaicznego, gdzie była mowa, że większość tych instalacji pochodzi spoza Europy. Dzisiaj w sektorze energetyki wiatrowej na lądzie mamy udział tzw. local content na poziomie nawet 50 proc. Do roku 2030 ten udział, według naszych analiz, może osiągnąć 75 proc. Budujemy zupełnie nowy sektor w energetyce odnawialnej, w energetyce wiatrowej, czyli sektor morskich farm wiatrowych. Tam również, według naszych analiz, do roku 2030 poziom udziału naszych rodzimych podmiotów może osiągnąć ok. 45 proc. – deklarował prezes Sekściński.

Słońce na farmy

W podobnym tonie wypowiadał się Piotr Kisiel, wiceprezes ds. rozwoju rynku w Stowarzyszeniu Branży Fotowoltaicznej Polska PV, który uważa, że powinniśmy stawiać na rozwój europejskiego sektora fotowoltaiki, choć to dzisiaj Chiny są liderem, głównie jeśli chodzi o jakość produkcji modułów fotowoltaicznych. – Tych firm chińskich, które produkują moduły, jest bardzo dużo i możemy sobie przebierać wśród najbardziej zaawansowanej, wysokiej klasy, ale są też takie „lowklasowe”, których oczywiście nie polecamy – przestrzegał Piotr Kisiel. – Ja, pracując w tej branży już 10 lat, widziałem producentów chyba z wszystkich kontynentów oraz krajów i wcale się nie boję chińskiej jakości. Jeśli chodzi o moduły fotowoltaiczne, przez dziesiątki lat inwestowali czas i pieniądze w badania oraz produkcję – teraz zbierają tego żniwa – wyjaśniał ekspert. Odnosząc się do dużej podaży chińskich modułów fotowoltaicznych na europejskim rynku, Piotr Kisiel wskazał, że sytuacja już się zmienia, ponieważ tych modułów po prostu nie ma. Dzisiaj, chcąc złożyć zamówienie na moduły, trzeba cierpliwie czekać na ich wyprodukowanie w Chinach, następnie na przetransportowanie do Euro-

py, ocenie itd. Taki proces trwa około dwóch miesięcy. Nadpodaż definitywnie się skończyła.

Niemniej rodzinny przemysł budowy farm fotowoltaicznych bardzo mocno rośnie, choć inwestorzy zmagają się z problemami w zakresie wydawania nowych warunków przyłączeniowych. Prezes Kisiel wskazuje inne czynniki, które stanowią realne przeszkody w realizacji zamierzeń Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej. – Nie widzimy długofalowych projektów lub pomysłów, jak można by naszą sieć dystrybucyjną zmodernizować pod kątem właściwości przyłączenia większej liczby farm fotowoltaicznych czy farm wiatrowych, a bez tego będzie bardzo trudno, aby takie inwestycje przyrastały – mówił prezes. I wskazywał kolejny problem, który również w jakimś stopniu na pewno utrudni rozwój wielkoskalowej fotowoltaiki. Chodzi o zmianę ustawy o zagospodarowaniu przestrzennym, gdzie od 2026 r. inwestycje w farmy fotowoltaiczne powyżej 1 megawata będą możliwe wyłącznie, jeśli w gminie taka inwestycja zostanie zawarta w planie zagospodarowania przestrzennego. – Znamy realia tworzenia takich planów. Proszę mi wierzyć, w 1,5 roku nikt nie da rady tego zrobić, więc widzimy pewnego rodzaju zagrożenia dla rozwoju tych projektów, o ile obecnie rządzący nie usiądą do stołu i nie pochylią się nad potencjalną zmianą tego zapisu – podsumował wiceprezes Stowarzyszenia Branży Fotowoltaicznej Polska PV.

Bezpieczeństwo przede wszystkim

Podejście do rozwoju energetyki z OZE, zdaniem ekspertów, powinno być poza podziałami politycznymi. Mówimy o bezpieczeństwie już nie tylko w wymiarze obronności kraju; energetyka stała się po wybuchu wojny na Ukrainie elementem gwarantującym nasze podstawowe bezpieczeństwo bytowe. Energetyka wiatrowa na lądzie, na morzu, fotowoltaika – cała branża OZE w Polsce czy na terenie UE prowadzą przecież do pełnego uniezależnienia się energetycznego, niezależności i bezpieczeństwa. I to w szybki oraz przewidywalny sposób – przekonywali eksperci.

”

Dzisiaj, chcąc złożyć zamówienie na moduły, trzeba cierpliwie czekać na ich wyprodukowanie w Chinach, następnie na przetransportowanie do Europy, ocenę itd. Taki proces trwa około dwóch miesięcy

Wyzwanie wodorowe

Odnosząc się do przyjętych założeń KPEiK, Maciej Gis zauważył, że sytuacja nie jest łatwa. – Określiłbym to mianem wyzwania. Mówimy o jednym akcie prawnym, który wskazuje cel. Tych aktów jest przecież o wiele więcej, na przykład ustawa o elektromobilności, która narzuca odpowiedni procent zelektryfikowania autobusów miejskich. Mamy też rozporządzenie mówiące o obniżeniu emisji dwutlenku węgla. To jest wyzwanie. Flota autobusów miejskich w Polsce to dziś 13 tys. sztuk, a w tej chwili mamy zelektryfikowanych ok. 10 proc. To nie jest równomiernie rozłożone na mapie Polski, mamy ośrodki, gdzie tych pojazdów jest więcej, w innych jest mniej. Cały czas toczą się przetargi, które wymagają czasu, aby doprowadzić je do końca. Następnie proces produkcji samych pojazdów, dostarczenie, a w przypadku napędu wodorowego dodatkowo mówimy też o dostarczeniu paliwa. Jesteśmy jednym z potentatów produkcyjnych wodoru, ale dotyczy to wodoru szarego. Naszym celem jest osiągnięcie wodoru zielonego, a niestety sam proces pozyskiwania wodoru jest bardzo energochłonny. To jest dopiero wyzwanie, ponieważ gdy uwzględnimy cały łańcuch produkcyjny – od momentu produkcji paliwa do wykorzystania go w pojeździe – to okaże się, że pojazd wodorowy ma o wiele mniejszą sprawność niż pojazd elektryczny. Dochodzi jeszcze kwestia ceny. Oczywiście wraz ze skalą wykorzystania zmniejszy się cena, ale widzimy już na stacjach tankowania wodoru (w Polsce mamy obecnie dwie, a trzecia zostanie niebawem uruchomiona), jaka jest cena paliwa. Oględnie mówiąc – nie najniższa. Przedstawiciel Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych wskazał, że o wiele bardziej ekonomiczne obecnie są pojazdy elektryczne – tańsze w zakupie i do tego samo wykorzystanie energii w przeliczeniu na przejechane kilometry jest mniejsze niż w przypadku wodoru.

Dodatkowo, jak wskazywał Janusz Gajowiecki, choć transformacja energetyczna kosztuje dużo, to trwanie przy paliwach kopalnych powodowałoby większe koszty dla odbiorców końcowych, aniżeli przejście na energię odnawialną. – Każda rewolucja kosztuje, każde źródło wytwarzania kosztuje, ale sumarycznie policyliśmy, jako pierwsza instytucja razem z Instytutem Jagiellońskim, ile dokładnie te koszty będą wynosić. W opinii publicznej krążyło wiele opinii bez pokrycia w konkretnych wartościach, ile ta transformacja energetyczna w Polsce będzie kosztować, i okazuje się, że przejście na gospodarkę zeroemisyjną w przyszłości, łącznie ze źródłami odnawialnymi, łącznie z atomem, jest jednak korzystne. Ostatecznie będzie dla odbiorcy końcowego oznaczało niższy rachunek za prąd – podsumował prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej.

Notowała Joanna Buczyńska

Atom w Polsce

– zadanie trudne, ale wykonalne

By dekarbonizacja i transformacja energetyczna w Polsce się powiodła, budowa energetyki jądrowej jest konieczna, choć wiąże się z wielkimi wyzwaniem, nie tylko finansowymi

O przygotowaniach do budowy jądrowych elektrowni wielkoskalowych i małych reaktorów dyskutowali w czasie debaty poświęconej energetyce atomowej: doradca zarządu spółki Polskie Elektrownie Jądrowe Robert Butzke; były prezes PGE Wojciech Dąbrowski; dr Dawid

Piekarz – ekspert ds. transformacji w Orlen Synthos Green Energy; oraz Bogdan Pilch – dyrektor generalny Izby Gospodarczej Energetyki i Środowiska. Wszyscy uczestnicy debaty przyznali, że reaktory jako stabilne źródła energii będą miały szczególnie ważne znaczenie dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Polski w związku z planowaną rozbudową odnawialnych mocy wytwórczych, zależnych ostatecznie od pogody. Uznali też, że obserwowany obecnie tzw. renesans energetyki jądrowej nie jest zaskakujący. Wiele krajów, nie tylko w Europie, podejmuje decyzje o inwestycjach jądrowych. W samej Unii zaś powstała koalicja atomowa – z udziałem Polski i 11 innych państw, które liczą na wydatne wsparcie ze strony Brukseli.

– Walka z CO₂ to trend ogólnoswiatowy, a energetyka nuklearna jest doskonałym narzędziem – mówił Wojciech Dąbrowski. – Polska musi mieć w przyszłości stabilne źródła produkcji. Teraz ponad 60 proc. energii produkujemy na węglu kamiennym i brunatnym. Europejski Zielony Ład uderza więc w nas i inne kraje węglowe – dodawał. Zdaniem byłego prezesa PGE wymiana źródeł w Polsce jest konieczna także dlatego, by

utrzymać konkurencyjność gospodarki. Przyznał również, że choć sukcesem jest uznanie przez UE energetyki jądrowej jako źródła bezemisijnego, to przypomniał też, iż do tych decyzji doprowadził kryzys energetyczny wywołany napaścią Rosji na Ukrainę. – Zobaczymy, czy i jak przełoży się to na konkrety. Niestety w Brukseli nadal jest silne lobby gazowe. A Niemcy zamknęły elektrownie jądrowe w zeszłym roku, co okazało się potężnym błędem, bo wzrosły ceny energii i kraj musiał ją importować z Francji – wyjaśniał Dąbrowski.

Harmonogram

W naszym kraju za budowę pierwszych reaktorów jądrowych na Pomorzu odpowiada spółka Polskie Elektrownie Jądrowe (PEJ). Projekt ten jest realizowany wspólnie z amerykańskim konsorcjum Westinghouse i Bechtel. Doradca zarządu spółki Polskie Elektrownie Jądrowe Robert Butzke przypomniał, że inwestycja w gminie Choczewo to najbardziej zaawansowany projekt nuklearny w naszym kraju. Dodał, że w przypadku wielkoskalowych inwestycji trzeba brać pod uwagę nie tylko kompleksowe przygotowania i realizację samej inwestycji, lecz także proces serwisowania i eksploatacji, a zatem również dostaw paliwa do elektrowni.

Projekt w rejonie Choczewa będzie realizowany „pod klucz”, stąd wybór konsorcjum złożonego z dwóch doświadczonych partnerów – Westinghouse (jako dostawcy technologii) i Bechtel (odpowiedzialnego za

budowę). – Obecnie trwa audyt i prowadzimy szerokie analizy ryzyk, a te mające wpływ na harmonogram należą do kluczowych – stwierdził Robert Butzke. – Każde przesunięcie w czasie i opóźnienie może oznaczać dodatkowe koszty. Dlatego – zdaniem doradcy – wybór optymalnego finansowania jest jednym z ważniejszych czynników mających wpływ na powodzenie całej inwestycji. Robert Butzke zapewnił też, że za kilka tygodni – po wynikach audytu – informacja o ewentualnej potrzebie aktualizacji harmonogramu zostanie przekazana publicznie.

Dyrektor Bogdan Pilch uważa, że szczególnie ważne jest doskonałe przygotowanie projektu, by potem w trakcie realizacji nie było modyfikacji. – Lepiej przesunąć datę realizacji, niż rozpocząć ze świadomością, że budowa się opóźni – dodał. I przypomniał, że żaden z ostatnio uruchamianych w Europie reaktorów nie był wykonany na czas i w planowanym budżecie. – W Polsce mamy pierwszy tego typu projekt, a musimy pamiętać, że niektóre komponenty wykonują zaledwie trzy-cztery firmy na świecie, więc czasem trzeba na nie czekać pięć-sześć lat od daty zamówienia – argumentował Pilch.

Także Wojciech Dąbrowski mówił o potencjalnym problemie z realizacją zamówień. – Obecnie w przygotowaniach i budowie jest 60 reaktorów na świecie, więc istnieje zagrożenie co do terminowości dostaw – zaznaczył. Jako szef Polskiej Grupy Energetycznej, Wojciech Dąbrowski uczestniczył w przygotowaniach drugiego dużego projektu jądrowego w Polsce. Chcą go wspólnie realizować właśnie PGE i spółka ZE PAK – należąca do Grupy Polsat Zygmunta Solorza. Reaktor ma być wykonany w technologii koreańskiej, gdyż partnerem będzie koncern KHNP. Firmy nawiązały współpracę w listopadzie 2022 r. Wojciech Dąbrowski uważa, że ta inwestycja jest ważna również z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju, a zatem i obecność podmiotu reprezentującego Skarb Państwa była konieczna. Przypomniał, że w rejonie Pątnowa planowane są dwa bloki i w ciągu kilkunastu miesięcy projekt uzyskał tzw. decyzję zasadniczą, umożliwiającą podjęcie dalszych przygotowań. – Zarówno projekt państwowy, jak i pry-

watny oraz małe reaktory – SMR-y, są w interesie polskiej gospodarki, gdy już nie będziemy korzystać z węgla – dodał Wojciech Dąbrowski.

Wielkie pieniądze na początek

Budowa elektrowni atomowej jest na początku inwestycji niezwykle kosztowna, ale w trakcie eksploatacji produkcja energii z tego źródła – już bardzo tania. Goście sesji dyskutowali również o źródłach pozyskania kapitału na budowę – pierwszy z projektów może kosztować nawet 100 mld zł.

Odnosząc się do kwestii zorganizowania finansowania, Robert Butzke mówił o tym, że to bardzo złożony proces, powiązany z pomocą publiczną. A zatem wstępnie zakładane zastosowanie tzw. mechanizmu różnicowego będzie wymagało uzgodnień z Komisją Europejską. Ta zaś stawia pewne warunki, które Polska będzie musiała spełnić. Robert Butzke zapewniał, że rozmowy z instytucjami finansowymi są zaawansowane i „jest zainteresowanie finansowaniem dłużnym”. Tym bardziej, że zgodnie z rządowym programem dla energetyki jądrowej kwestia „gwarancji państwowych w konkretnej wysokości” została już przesądzona.

Natomiast w przypadku projektu w rejonie Pątnowa – jak mówił Wojciech Dąbrowski – zaplanowano realizację w formule Project Finance. – To największy w Polsce publiczno-prywatny biznes – stwierdził ekspert. – A państwo musi być w nim obecne, bo bez jego udziału nie uda się sfinansować inwestycji. Potrzebne są gwarancje odbioru energii, by pozyskać środki – dodał. I zapewnił, że są sprawdzone modele finansowania tego typu projektów, z których mogą skorzystać polscy inwestorzy.

Także Bogdan Pilch podkreślał, że wsparcie państwa jest niezbędne, a dotąd nie było takiej sytuacji, żeby elektrownię jądrową budowano jako klasycznie prywatne, czyli wyłącznie komercyjne, przedsięwzięcie.

Szansa dla polskiego biznesu

Tak wielka i kosztowna inwestycja jak elektrownia atomowa wiąże się z jednej strony z wyzwaniami organizacyjnymi i finansowymi, ale z drugiej – stwarza szanse dla rodzimego biznesu, który mógłby zostać w cały proces inwestycyjny zaangażowany. Tym samym znaczna część wydawanych na projekt pieniędzy zwyczajnie „zostanie w kraju”. Dyrektor Pilch uważa, że tzw. local content, czyli udział rodzimych firm w inwestycji pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce, może stanowić nawet 50 proc., ale także bardzo ważna będzie możliwość eksportu usług i komponentów dla innych projektów jądrowych przez polskie firmy. To oznacza, że krajowe przedsiębiorstwa mogłyby po zdobyciu doświadczenia na miejscu zabiegać także o kontrakty

”

Obserwowany obecnie tzw. renesans energetyki jądrowej nie jest zaskakujący. Wiele krajów, nie tylko w Europie, podejmuje decyzje o inwestycjach jądrowych

”

Państwo musi być obecne w biznesie jądrowym, bo bez jego udziału nie uda się sfinansować inwestycji. Potrzebne są gwarancje odbioru energii, by pozyskać środki

za granicą. Zwłaszcza, że z jednej strony jest bardzo duże zainteresowanie firm, a z drugiej – już mamy listę przedsiębiorstw z doświadczeniem w energetyce jądrowej, na przykład w Wielkiej Brytanii 46 polskich firm działa przy budowie Hinkley Point. – Oczywiście oprócz tzw. wyspy jądrowej pozostała część elektrowni przypomina klasyczne, konwencjonalne bloki, przy budowie których polskie firmy mają bardzo duże doświadczenie – mówił Bogdan Pilch.

Izba organizuje szkolenia i wsparcie dla podmiotów zainteresowanych zdobyciem certyfikatów, niezbędnych do udziału w projektach atomowych. – Szacujemy, że nawet około 300 firm przy pewnym wysiłku organizacyjnym i finansowym będzie mogło dostosować się do wymagań wykonawców, by móc starać się o zlecenia – stwierdził dyrektor. – Polskie firmy zdają sobie sprawę z wymagań stawianych przez dostawców technologii i wykonawców budowy elektrowni jądrowych. Zwykle najpierw przeprowadzany jest szczegółowy audyt w takiej firmie, a potem w uzgodnieniu i we współpracy z wykonawcami projektu konsorcjum Westinghouse/Bechtel ustala się ścieżkę i harmonogram uzyskania niezbędnych certyfikatów, umożliwiających zostanie tzw. kwalifikowanym dostawcą usług lub dóbr – wyjaśniał. Zdaniem dyrektora Pilcha cały ten proces jest długi, bo może trwać od kilku miesięcy do nawet dwóch lat w przypadku przedsiębiorstw bez doświadczenia w sektorze jądrowym. – Firmy, które startują od zera, mogą mieć z tym problem, a dla małych podmiotów wiąże się to również z wysiłkiem finansowym, więc oczekują wsparcia ze strony państwa w tym zakresie. Łatwiej radzą sobie z tym firmy średniej i dużej wielkości – wyjaśniał dyrektor generalny Izby Gospodarczej Energetyki i Środowiska.

SMR-y, czyli przyszłość?

Energetyczne Forum wGospodarce odbywało się w szczególnym momencie – z jednej strony Komisja Europejska ogłosiła powstanie tzw. aliansu przemysłowego w zakresie małych reaktorów, a z drugiej – tuż po tym, jak wspierana przez Billa Gatesa firma TerraPo-



Od lewej: Stanisław Koczot, prowadzący panel; Wojciech Dąbrowski, były prezes PGE; Bogdan Pilch, dyrektor generalny Izby Gospodarczej Energetyki i Środowiska; Robert Butzke, doradca zarządu, Polskie Elektrownie Jądrowe; Dawid Piekarz, Orlen Synthos Green Energy

wer ogłosiła, że w czerwcu startuje z budową pierwszej tego typu elektrowni w USA i uzyskała dofinansowanie w wysokości 2 mld dol. od władz.

W Polsce najbardziej zaawansowane prace nad SMR-ami prowadzi spółka Orlen Synthos Green Energy, która na początku ubiegłego roku otrzymała zapewnienie od władz USA o wsparciu finansowym. Reprezentujący spółkę Dawid Piekarz stwierdził w czasie debaty, że SMR-y są Polsce potrzebne, a bez nich musielibyśmy opracować „nową mapę przemysłową kraju”. Przypomniął, że inwestycje o wielkiej skali w ener-



getyce planowane są na Pomorzu (nie tylko atom, lecz i morskie farmy wiatrowe), a przemysł wciąż jest zlokalizowany w innych regionach. – Małe reaktory mogą zaopatrywać lokalne przedsiębiorstwa w energię i miasta w ciepło, a jednocześnie łagodzić skutki transformacji energetycznej, gdyż z powodzeniem będą mogły zastępować bloki węglowe, wykorzystując już istniejące sieci i utrzymywać miejsca pracy w przemyśle tam, gdzie one obecnie są – mówił Piekarz.

Spółka Orlen Synthos Green Energy wybrała już nawet potencjalne lokalizacje pod budowę reaktorów mo-

dułowych, zaś pierwszy z zaplanowanych ponad 20 ma powstać w Stawach Monowskich w okolicach Oświęcimia. Chodzi o reaktory typu BWRX-300 (o mocy 300 MW), a każdy da zatrudnienie przynajmniej 100 osobom. – Nie będziemy pierwsi, bo w Kanadzie na przełomie roku ma się rozpocząć budowa, której zamierzamy się przypatrywać i wyciągać wnioski – dodał Dawid Piekarz. A ze względu na skalę wydatków, znacznie niższą niż przy wielkoskalowych projektach, nie będzie problemów ze zdobyciem finansowania – przekonywał.

Notowała Agnieszka Łakoma

Dekarbonizacja wymuszona przez UE – bez odwrotu

W Polsce węgiel długo był podstawą produkcji energii elektrycznej, a jednocześnie podstawą bezpieczeństwa energetycznego państwa. Tymczasem dziś przed nami dwa wielkie wyzwania: europejska polityka klimatyczna, która zakłada redukcję CO₂, a zatem dekarbonizację. Jednak czy odchodząc od energetyki węglowej, będziemy w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwo energetyczne?



Agnieszka Łakoma, prowadząca panel; Krzysztof Tchórzewski, poseł na Sejm, były minister energii; Andrzej Sikora, prezes Instytutu Studiów Energetycznych

Podczas II Forum Energetycznego nie zabrakło debaty na najbardziej gorący i najtrudniejszy dla Polski temat – dekarbonizację gospodarki. I choć w debatach o OZE i atomie zastrzeżenia dotyczyły raczej zbyt wolnego tempa zmian, o tyle w dyskusji na temat ograniczenia udziału węgla w polskim miksie energetycznym uczestnicy debaty alarmowali: za szybko, niesprawiedliwie i bez namysłu. W debacie na temat surowców krytycznych w wytwarzaniu energii uczestniczyli: dr inż. Andrzej Sikora, prezes Instytutu Studiów Energetycznych w Warszawie; Krzysztof Tchórzewski, polityk i inżynier, były minister energii; oraz prof. dr hab. inż. Władysław Mielczar-

ski, inżynier energetyk, profesor nauk technicznych, wykładowca Politechniki Łódzkiej.

– Procesy zmieniające struktury i techniki gospodarcze trwają dość długo, zatem szybka transformacja energetyczna w Polsce nie jest możliwa – kategorycznie stwierdził Krzysztof Tchórzewski. – W czasie rozmów z Komisją Europejską przekonywano nas, że Polska musi przyspieszyć proces odchodzenia od węgla. Przekonywali nas o tym zarówno politycy zachodni, jak i polscy, prawdopodobnie pod wpływem różnych lobby związanych z odnawialnymi źródłami energii. W ich mniemaniu powinniśmy odejść od węgla szybciej, niż było na to stać polską gospodarkę. Tymczasem my w trakcie negocjacji z UE zdołaliśmy uzyskać wsparcie dla energetyki węglowej po to, by można było produkować energię wtedy, gdy nie ma wiatru lub słońca, które jest paliwem odnawialnych źródeł energii. Zagwarantowaliśmy na przykład finansowanie elektrowni w Ostrołęce, o mocy 1 070 megawatów, w ramach pomocy publicznej do 2035 r. na poziomie 2 mld 700 mln zł. Dzięki temu inwestycja stała się ekonomicznie uzasadniona. Potem jednak Polska postanowiła zacząć spełniać oczekiwania KE. Także w kraju zaczęto naciskać, by zrezygnować z węgla na rzecz gazu. I wtedy postanowiono zmienić projekt Ostrołęki: zamiast elektrowni na węgiel zbudować elektrownię gazową. I to był błąd – przekonywał Tchórzewski. – Nie jesteśmy w stanie tak szybko, jak się od nas oczekuje, zdążyć z transformacją energetyczną. I nie tylko dlatego, że musimy elektrownie węglowe zastąpić innymi. Sęk w tym, że w całym systemie musimy zbudować więcej mocy energetycznych, aby zapewnić możliwości rozwoju gospodarczego, czyli wymienić także sieci energetyczne. Nasze sieci, zwłaszcza

średnich i niskich napięć, pochodzą często z lat 70. XX wieku albo i z lat 60. Problemem staje się ich wytrzymałość. Jeżeli chcemy utrzymać obecne tempo rozwoju gospodarczego, potrzebna jest nie tylko wymiana, lecz również budowa dodatkowych bloków energetycznych. Wymaga to skończenia dyskusji i pilnego przystąpienia do realizacji tych czasochłonnych inwestycji.

Umowy i plany

Dr Andrzej Sikora przypomniał, na co się umawialiśmy, kiedy wchodziliśmy do Unii: w aktach przedakcesyjnych Polska zobowiązała się do wyłączenia w określonym czasie wszystkich silnie emitujących zanieczyszczenia i dwutlenek węgla elektrowni węglowych, nawet tzw. dwusetek – uzyskując wieloletnie tzw. okresy przejściowe kończące się nawet w 2015/16 r. – To w tamtym czasie trzeba było negocjować, a przede wszystkim mówić „nie”. Nie, nie przejdziemy na odnawialne źródła energii do 2050 roku, będziemy nadal korzystać z węgla. Gdybyśmy negocjowali w inny sposób wtedy, dziś moglibyśmy korzystać z węgla do 2050 r. – wyjaśnił ekspert. – Największym problemem naszego kraju jest brak w tym obszarze myślenia strategicznego. Brak świadomości, że polityka energetyczna wymaga konsensusu społecznego. Wymaga też programów wieloletnich: 20- i 30-letnich – takich „programów pokoleniowych”. Choć jesteśmy jednym z najbogatszych krajów na świecie, nie dorobiliśmy się modelu prognostycznego, który by pokazywał, jak decyzje polityczne wpływają na gospodarkę, a gospodarka na energetykę.

Podobnego zdania był prof. Władysław Mielczarski, który wzywał wprost: – Zaczniemy głośno artykułować nasze oczekiwania; zaczniemy mówić: pewnych rzeczy nie zrobimy. Rezygnacja przez Polskę z węgla grozi katastrofą! Są trzy typy elektrowni, które zapewniają bezpieczeństwo energetyczne: węglowa, gazowa i jądrowa. My elektrowni jądrowej nie mamy i – optymistycznie rzecz ujmując – możemy ją mieć dopiero po 2040 r. Gazu jest tyle, ile jest, i więcej nie będzie. Gdyby

”

Jeżeli chcemy utrzymać obecne tempo rozwoju gospodarczego, potrzebna jest nie tylko wymiana, lecz i budowa dodatkowych bloków energetycznych.

Wymaga to skończenia dyskusji i pilnego przystąpienia do realizacji tych czasochłonnych inwestycji

chcieć przestawić wszystkie nasze elektrownie na gaz, to potrzebowalibyśmy dodatkowo 30 mld m³ błękitnego paliwa. Dodatkowo! To ilość wprost niewyobrażalna. W związku z tym pozostaniemy przy węglu. Pytanie brzmi tylko: czy to będzie nasz węgiel, czy importowany? A jeśli importowany, to czy będziemy w stanie go sprowadzić? Założmy, że tak. Wtedy kolejne pytanie brzmi: jak bardzo uzależnimy się energetycznie? Czy mamy gwarancję, że z dnia na dzień nie zerwą się nam łańcuchy dostaw, tak jak się stało chociażby w czasie pandemii COVID-19? I co wtedy? Czy wyzbywając się własnych surowców, nie popełnimy swego rodzaju samobójstwa w momentach krytycznych? A tych krytycznych momentów przecież nie przewidzimy. To jest bardzo ważna rzecz: niezależność – podkreślał prof. Mielczarski.

Dodatkowe źródła energii

Jak wyjaśniał Krzysztof Tchórzewski, nie ma szans, byśmy przed rokiem 2050 odeszli od węgla i ropy. Nie ma takiej możliwości, biorąc pod uwagę potencjał gospodarczy i oczekiwania społeczne. Potrzeby energetyczne społeczeństwa rosną szybciej, niż państwo planuje. Zatem będziemy musieli mieć dodatkowe źródła energii. Problem polega tylko na tym, że energetyka odnawialna nie jest dodatkowym źródłem energii. Energetyka odnawialna – jako „czysta” – jest źródłem, które poprawia nam komfort życia. Ale to nie jest dodatkowe źródło energii – mówił Tchórzewski. – Tymczasem my musimy jak najszybciej budować dodatkowe źródła energii pewnej, bezpiecznej. Ubolewam więc, że budowa elektrowni jądrowej się opóźnia.

Dr Andrzej Sikora rozwiązanie tego energetycznego i gospodarczego dylematu wskazywał w nowych technologiach, w oparciu o inne surowce, np. wodór. – Z powodu agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 roku, a wcześniej rosyjskich rozgrywek i manipulacji rynkiem gazu ziemnego, głównie motywowanych politycznie, w Europie dokonał się przewrót kopernikański. Europa uświadomiła sobie, że nadchodzi kres węgla i węglowodorów. I on nadejdzie niezależnie od naszych życzeń, szybciej niż myślimy. Z takich źródeł jak Słońce, wiatr, woda korzystamy na razie tak, jak potrafimy, choć te technologie nie są do końca efektywne: trudno korzystać z energii ze źródeł odnawialnych, jeśli nie umiemy jej magazynować. Ale surowcem, który wydaje się być dostępny na wyciągnięcie ręki, jest wodór. Dzięki temu, że na Ziemi jest tak dużo wody (H₂O), metanu (CH₄), amoniaku (CH₃) – właściwie azanu, mamy na świecie olbrzymie ilości uwięzowanego wodoru. Trzeba nam tylko kolejnej Marii Skłodowskiej-Curie, która uwolniłaby wodór, i nie za pomocą elektrolizy, jak to dziś robimy. To jest przyszłość i w moim przekonaniu w krótkim terminie to zielone gazy z wodorem na czele zastąpią wę-

giel. W dłuższym terminie będzie to synteza jądrowa. Niemcy na przykład na badania nad syntezą jądrową już wydają olbrzymie pieniądze i twierdzą, że do 2030 r. ludzie zbudują prototyp reaktora generującego energię, opartego właśnie na fuzji jądrowej.

Niebezpieczna zależność od dostawców

Prof. Władysław Mielczarski sprowadził jednak debatę na tor rozważań bieżących, podkreślając, że propozycje prezesa Sikory to perspektywa 10 czy 15 lat. Tymczasem my jesteśmy tu i teraz, na początku 2024 r. Potrzebujemy energii dzisiaj. – Przypomnijmy sobie, jak po inwazji Rosji na Ukrainę musieliśmy zrezygnować z importu węgla z Federacji Rosyjskiej – swoją drogą ten import nie był jakichś gigantycznych rozmiarów. I co się wtedy stało? Musieliśmy palić miałem, piaskiem... Ludzie stali w ogromnych kolejkach. Niewielka sprawa zależności i zerwania tej zależności doprowadziła do ogromnych zaburzeń. Nie należy tego powtarzać – przekonywał prof. Mielczarski. – Powinniśmy zdefiniować, ile surowców potrzebujemy i jakie. Powinniśmy to zrobić po to, by w razie ewentualnych zakłóceń w dostawach zwyczajnie przetrwać. A zatem ponieważ musimy importować gaz, powinniśmy sami wybierać, od kogo będziemy zależni i na jakich warunkach. Ale od dostawców węgla nie możemy być zależni. Bo jeżeli wszystkie surowce będziemy importować i od wszystkich dostawców będziemy zależni, to gospodarka nam się załamie.

Strategiczne surowce

– Podam tylko dwa przykłady: pierwiastki ziem rzadkich i szczególnie nikiel – 90 proc. tego właśnie surowca dostarcza Rosja. USA są największym odbiorcą rosyjskich pierwiastków rozszczepialnych. Czyli wojna wojną, a handel działa, by gospodarka mogła funkcjonować. Niestety Unii jest to, że nie mamy własnych surowców, a jeśli już jakieś mamy, to nie chcemy ich wydobywać, by nie wracać do górnictwa – mówił dr Andrzej Sikora. – Pan profesor wspominał o dodatkowych, „niewyobrażalnych” 30 mld m³, gazu, który będzie nam potrzebny. A ja chciałbym, żeby te „niewyobrażalne” ilości gazu stały się wyobrażalne. Po wybuchu wojny na Ukrainie Niemcy przestali zużywać 48 mld m³ gazu w ciągu roku. My zredukowaliśmy zużycie gazu ziemnego o 20 proc., co daje dziś roczną konsumpcję na poziomie 17–18 mld m³. W ciągu pół roku Niemcy wybudowali 6 terminali do odbiorów i regazyfikacji ciekłego gazu, my jednego nie uruchomimy przed 2028 r. Musimy zacząć oszczędzać. Koniec z rozpasaniem energetycznym! – wzywał ekspert. – Musimy wrócić do źródeł. Zastanówmy się, czy elektryfikacja wszystkiego to

dobry kierunek. Razem z moimi studentami policzyliśmy ślad węglowy samochodu elektrycznego i okazało się, że jest on większy niż 20-letniego diesla. Może nie zmieniamy auta co dwa-trzy lata... Ludziom trzeba powiedzieć wyraźnie: jesteście odpowiedzialni za swoje bezpieczeństwo energetyczne. Za naszą granicą trwa wojna. Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co się może wydarzyć, gdy nastąpi blackout? Musicie mieć nie tylko naładowany telefon, zatankowany samochód, baterijne radio, lecz także świeczkę i zapalki, dobrze mieć latarkę, zapas wody, zapas suchego, zakonserwowanego jedzenia nawet na dwa-trzy dni – to jest także nasze bezpieczeństwo energetyczne. A z tego, gdzie żyjemy, jaką mamy wiedzę i świadomość, wynika konieczność oszczędzania energii, skoro ciągle nie umiemy jej magazynować.

Odpowiedzialność

– Rozwój cywilizacji czy społeczeństwa powoduje coraz większe uzależnienie od energii i to od tej najbardziej wrażliwej, jaką jest energia elektryczna. Bo nie ma wrażliwszej – energia musi być w każdej sekundzie. Postęp sprawił, że obywatele Unii Europejskiej w większości żyją w skupiskach silnie zurbanizowanych – w miastach, w budynkach wielorodzinnych, gdzie wszystko działa dzięki energii elektrycznej: windy, klimatyzacja, sprzęt AGD. I w przypadku jakiegokolwiek awarii ci ludzie będą bezbronni – mówił prof. Władysław Mielczarski. – Na uzależnienie surowcowe powinniśmy zatem popatrzeć także pod kątem tego, jak od surowców uzależniło się społeczeństwo, i zastanowić się, na jakim poziomie jesteśmy w stanie przetrwać. Powinniśmy się uniezależnić od dostawców surowców spoza Unii. To dobry kierunek, który proponuje KE. I tym bardziej się uniezależniać, im bardziej jesteśmy wrażliwi na brak danych surowców. A odpowiadając prezesowi Sikorze: im społeczeństwo jest bardziej rozwinięte, tym bardziej potrzebna jest funkcja państwa. Pewnych rzeczy nie załatwimy sami. Państwo ma nam gwarantować bezpieczeństwo w wielu wymiarach: od spokoju wewnętrznego, poprzez militarne, do surowcowego: w kranie ma być woda, a w gniazdku prąd i światło – bo to jest nasze życie.

Czy zatem w Polsce jesteśmy bezpieczni? Co by się stało, gdybyśmy byli w takiej sytuacji jak Ukraińcy? – pytał Krzysztof Tchórzewski. – Zgadza się z profesorem, że energia powinna być z jak najpewniejszego źródła w każdej sytuacji. Bez surowców sobie nie poradzimy. Dlatego nie mam przekonania, że jesteśmy w stanie odchodzić od węgla tak szybko, by do 2049 r. przestać go używać. To niemożliwe zarówno z punktu widzenia życia ludności, jak i z powodów technicznych oraz inwestycyjnych procesów transformacyjnych – podkreślił były minister energii. ●

Notowała Beata Zubowicz

PODRĘCZNA BIBLIOTEKA EKONOMICZNA DLA KAŻDEGO

Skorzystaj z obszernego archiwum
wydań „Gazety Bankowej”

www.gb.pl/archiwum



Dostępne także na Appstore i Google Play



finanse

Giełda & Waluty & Kredyty

Kwitnąca winnica niedaleko
Jasła na Podkarpaciu

Moda na polskie wino

„Polskie wino na aukcji DESA Unicum to swego rodzaju historyczny moment dla polskiego winiarstwa” – ekscytował się enoport.pl, zapowiadając imprezę. Podczas aukcji w Warszawie wylicytowano 74 obiekty, w tym polskie wino. Obrót wyniósł 178,7 tys. zł. Kwota może nie oszałamia, ale chyba nikt się nie spodziewał takich rekordów, jakie potrafią osiągać wino na światowych rynkach

fol. Shutterstock

BEATA ZUBOWICZ

Ostatni rekord padł w 2018 r. Na aukcji Sotheby's – bodaj najbardziej prestiżowego nowojorskiego domu aukcyjnego – pod młotek poszło pięć butelek czerwonego burgunda Romanée-Conti z francuskiego regionu Côte de Nuits. Rocznik 1945. Znaczący twierdzą, że to był wyjątkowy zbiór: ciepły i krótki. Rozlano tylko 600 butelek. Niewiele z nich przetrwało do dzisiaj. Można się więc było spodziewać, że kolekcjonerzy będą licytować wysoko. Nikt jednak nie przypuszczał, że aukcja jednej butelki zakończy się na kwocie 558 tys. dolarów! To ponad 2 mln zł. Nabył ją tajemniczy inwestor z Azji. Chwilę później sprzedano drugą butelkę z kolekcji. Tym razem nabywca ze Stanów Zjednoczonych zapłacił za nią 496 tys. dolarów. Kolejne trzy Romanée-Conti z rocznika 1937 i z lekko uszkodzonymi etykietami poszły za 310 tys. dolarów za sztukę. W ten sposób Romanée-Conti z 1945 r. stało się najdroższym winem świata, deklasując butelkę Cheval Blanc z 1947 r., która osiem lat wcześniej została sprzedana za 304 tys. dolarów.

Rodzima produkcja

Przy takich obrotach trudno się dziwić, że rynek aukcyjny wina liczy się w milionach dolarów. Winne aukcje odbywają się we wszystkich liczących się w winiarskim kręgu krajach. To, że trafią w końcu także do Warszawy, było tylko kwestią czasu. Podobnie jak to, że pojawi się na niej polska produkcja. Ale czy butelka białego wina Regent Baltica 2018 z winnicy Dwórzno („jedna z około 50 butelek dojrzewanych pod wodami Morza Bałtyckiego” – czytamy w opisie) wylicytowana za 1,4 tys. zł to sukces? Albo zestaw win (sześć sztuk) Cuvée Blanc, Cuvée Blanc Reserve 2016–2021 z Piwnicy Półtorak w „oryginalnej drewnianej skrzynce producenta z limitowanej edycji, numer 1/100”, które poszły za 10 tys. zł? Trudno o ocenę, choć – jak przekonują autorzy tekstu w katalogu do aukcji – „według autoritetów branży winiarskiej, ze względu na spłot wielu wewnętrznych i zewnętrznych czynników, polskie winiarstwo staje się the next big thing”. Czy na pewno?

”

Jesteśmy krajem win białych.
Cięższe, czerwone wina mniej się
udają. Robi się je z późnych odmian,
a te w Polsce źle dojrzewają

Lawinowy wysyp winnic

– Są już w Polsce wina bardzo dobrej jakości, które spokojnie mogłyby wejść na europejski rynek: białe, różowe, lodowe, słomkowe – ocenia Roman Myśliwiec uznawany za prekursora odrodzenia polskiego winiarstwa z końca XX w. (pierwsze miało miejsce w latach 30., ale o tym później). W 1984 r. założył na Podkarpaciu pierwszą we współczesnej Polsce winnicę z nastawieniem na produkcję wina. Na powierzchni 2 ha uprawianych jest tam ok. 7 tys. krzewów winorośli. Winnicą dziś zajmują się jego dzieci. On prowadzi fundację, zajmuje się szkoleniami nowych pokoleń winiarzy, organizuje konkursy i wydaje poświęcone winiarstwu książki. W środowisku uznawany jest za legendę. Sadzonki wyhodowane przez Myśliwicę dały początek wielu polskim plantacjom. Potem trochę się to zmieniło, bo nowe winnice zaczęły powstawać w tempie wręcz lawinowym. Wystarczy spojrzeć na dane portalu winogrodnicy.pl.: przed 2000 r. w Polsce było zarejestrowanych zaledwie 19 winnic, a w 2023 – już ponad 500! Powierzchnia całkowita upraw winorośli wynosi nieco ponad 800 ha (dane za KOWR). W sezonie 2022/2023 wyprodukowano 37 687,46 hektolitrow wina. Skok imponujący, choć polskiemu winiarstwu wciąż trudno się mierzyć choćby z winiarstwem czeskim. Oni mają ponad 18 tys. ha winnic i ponad 18 tys. zarejestrowanych winiarzy (96 proc. na Morawach). Produkują ok. 584 tys. hektolitrow wina rocznie. Nie wspominając już o Węgrach, którzy grają w zupełnie innej lidze. Tam winnice obejmują obszar prawie 70 tys. ha (22. miejsce na świecie). Produkcja wina wynosi około 3 mln hektolitrow rocznie (16. miejsce na świecie).

Kraj białego wina

A jednak – jak przekonuje Myśliwiec – polskie wino sobie radzi. – Jesteśmy krajem win białych. Cięższe, czerwone wina mniej się udają. Robi się je z późnych odmian, a te w Polsce źle dojrzewają – tłumaczy. – Najlepsze są jednak wina musujące. Już w tej chwili są bardzo wysokiej jakości – zachwala. Okazuje się, że nasz kraj ma dobry klimat do ich produkcji. Wino musujące z reguły potrzebuje bowiem większej kwasowości, a to oznacza, że lepsze są dla niego chłodniejsze warunki. – Moja fundacja Galicja Vitis od 12 lat organizuje międzynarodowy konkurs winiarski, na który przysyłane są wina z różnych krajów: z Czech, Węgier, Niemiec, ze Słowacji, czasem z Gruzji i Mołdawii. Od pierwszych edycji konkursu założyłem, że chociaż polskie winiarstwo dopiero się zaczyna, to warto je skonfrontować z innymi państwami Europy Środkowej. I proszę sobie wyobrazić, że co roku kilkanaście polskich win

zdobywa złote medale, a nawet championy (najlepsze w kategorii). Wina są oceniane przez specjalistów: enologów, krytyków winiarskich, ludzi, którzy się na winie naprawdę bardzo dobrze znają – opowiada Myśliwiec.

Jego zdaniem do rozwiązania pozostaje jeszcze tylko kwestia marketingu i liczby produkowanych butelek, by móc wejść na rynek europejski. – Możemy się tu porównać z Anglikami, którzy w latach 50. XX w. zaczęli produkować wina musujące. A dziś są to cenione wina, sprzedawane nawet we Francji – podkreśla.

Drogie i nieznane

Sęk chyba jednak również w tym, że polskie wina do tanich nie należą. W winnicach, które w rankingu magazynu „Forbes” (ogłoszony w lutym, także „pierwszy w historii”) zajęły najwyższe pozycje, butelka kosztuje średnio 100 zł, a często sporo powyżej. Za taką cenę można dostać wino dobrej jakości z krajów o ugruntowanej tradycji winiarskiej. Gdzie się więc znajdują amatorzy polskiego wina? Zwłaszcza że w świecie jest jego nadprodukcja. Plantatorzy z Nowego Świata zalewają rynki milionami litrów wina, które jest tam produkowane bardzo nowoczesnymi metodami, „sterowanymi komputerowo”. Jest robione wręcz pod gust konkretnego konsumenta, np. środkowoeuropejskiego. Wina nowozelandzkie czy australijskie są co prawda bardzo przeciętnej jakości, jak ocenia Myśliwiec, „nieco bezduszne”, ale w Biedronce można je kupić już za 15 zł. Polskiego wina w tej cenie kupić się nie da. – Wino jako produkt ma swoją cenę, ale często kilkakrotnie większą wartość ma jego marka. Te ugruntowane marki zawsze się sprzedają: i nie po 10 euro, ale co najmniej po kilkadziesiąt euro – wyjaśnia winiarz, choć jednocześnie przyznaje, że „w większości polskie wina są nadal zbyt drogie”.

Producenci wysoką cenę swoich produktów składają często na karb kosztów, jakie ponoszą. Tłumaczą, że większość winnic w Europie ma co najmniej kilkudziesięcioletnią tradycję, więc kolejne pokolenia winiarzy nie muszą się mierzyć z takimi wydatkami jak Polacy. – Żeby posadzić hektar winnicy, trzeba wydać na początek 100 tys. zł. Ale żeby produkcja miała jakikol-

wiek sens, należy mieć co najmniej 3–4 ha, a to już daje 300–400 tys. zł – rachuje Myśliwiec. Do tego trzeba doliczyć wydatki na budynek, wzniesiony lub zaadaptowany, na przetwórnictwo. Jeśli chce się sprzedawać wino np. enoturystom, to trzeba zainwestować w pomieszczenia dla nich: salę do degustacji, zaplecze sanitarne itd. Krzewy winne owocują po raz pierwszy trzy lata po ich posadzeniu. Oznacza to, że pierwsze wino udaje się wyprodukować po czterech latach od zainwestowania w winnicę. – Winiarstwo jest bardzo drogim zawodem. Dlatego wielu ludzi dochodzi do wszystkiego krok po kroku. Ja tak zrobiłem. I u mnie trwało to 20 lat – mówi Myśliwiec.

Winne dożynki w Zaleszczykach

Czy gdyby nie wojna, polskim winiarzom byłoby łatwiej? Niewykluczone. Wojciechowi Włodarczykowi, politykowi, historykowi sztuki, ale także historykowi winiarstwa i właścicielowi winnicy, obecny rozwój branży przypomina ten sprzed 90 lat. „Podobna jest dynamika, zbliżone są problemy” – pisał w tekście zamieszczonym na portalu vinisfera.pl. Niektórzy początek ówczesnego boomu winoroślowego wiążyli z wakacjami Józefa Piłsudskiego, który w 1933 r. zawiązał do Zaleszczyk nad Dniestrem. O ile jednak zasługi Marszałka dla uprawy winorośli są chyba lekko zmitologizowane, o tyle naprawdę pierwszym ważnym politykiem, który zwrócił uwagę na możliwości Ciepłego Podola, był gen. Felicjan Sławoj Składkowski. Pan premier odwiedził Podole w 1927 r. i – jak zapamiętano – przekazał tysiąc złotych na założenie winnicy.

Winorośl uprawiano tam zawsze, tyle że na niewielką skalę. Sprzyjał klimat: łagodny, ciepły, południowy. Na nasłonecznionych stokach winorośl udawała się znakomicie. Pod zaborem austriackim nie było jednak potrzeby rozwijania produkcji, bo dobre wina produkowali Węgrzy. Aż nagle doszło do istnej eksplozji zainteresowania uprawami winorośli. Winnice zakładali nie tylko ziemianie, lecz i chłopci, choć była to bardzo droga inwestycja – na początek trzeba było wyłożyć 5–6 tys. zł! Kwota w tamtym czasie zawrotna. Właścicielem pokazowej winnicy w Czortkowie był np. Związek Strzelecki, ulubiona organizacja Józefa Piłsudskiego. A największa winnica w całej międzywojennej Polsce należała do Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego (zginął w Kozielsku w 1940 r.). Została założona w 1925 r. w Wysuczce koło Borszczowa w województwie tarnopolskim. W 1939 r. liczyła 34 ha – dokładnie tyle, ile dziś ma największa polska winnica Turnau z województwa zachodniopomorskiego.

Prowadzenia nowoczesnych plantacji uczono w Państwowym Instytucie Ogrodniczym w Zaleszczykach. W roku 1930 z inicjatywy Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego we Lwowie utworzono „Instruktorat winniczny”. Na siedzibę wyznaczono Zaleszczyki,

”

Żeby posadzić hektar winnicy, trzeba wydać na początek 100 tys. zł. Ale żeby produkcja miała jakikolwiek sens, należy mieć co najmniej 3–4 ha, a to już daje 300–400 tys. zł



Święto winobrania w Zaleszczykach – fragment pochodu

fol. NAC

a na stanowisku instruktora zatrudniono Grzegorza Zarugiewicza. Wywodził się on ze starej ormiańskiej rodziny osiadłej na Podolu. W majątku w Borszczowie prowadził wzorcową winnicę o powierzchni 10,5 ha. Popularność upraw rosła w imponującym tempie. O ile w 1929 r. na Podolu winnice zajmowały zaledwie 10 ha, o tyle w 1939 – już 150 ha. W Zaleszczykach od 1935 r. organizowano nawet święto winobrania. „Winne dożynki”, jak mówiono, trwały dwa tygodnie i przyciągały tłumy turystów. Relacje nadawało radio.

Dwie zimy i zaraza

Na przeciwnym krańcu Polski uprawie winorośli wiele uwagi poświęcała Wielkopolska Izba Rolnicza. Tu dominowały winnice szklarniowe. Ale w 1934 r. zaczęto odtwarzać Winnice Kopanickie w powiecie wolsztyńskim, które w chwili swojego największego rozkwitu w połowie XIX w. liczyły ponad 200 ha. Również w Małopolsce na początku lat 30. doszło do winogrodniczego boomu, m.in. dzięki działalności Stanisława Madeja. Tuż przed wybuchem wojny szacowano, że w ciągu kolejnych 5–10 lat winoroślą będzie można obsadzić 1,5–2 tys. ha.

”

Największa winnica w międzywojennej Polsce należała do Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego (zginął w Kozielsku w 1940 r.). Została założona w 1925 r. w Wysuczce koło Borszczowa w województwie tarnopolskim. W 1939 r. liczyła 34 ha

„W wyniku II wojny światowej straciliśmy młode, dynamicznie rozwijające się Podole, a otrzymaliśmy co prawda z tradycjami, ale zanikającymi – zielonogórskie” – pisze Włodarczyk. I oblicza, że areale polskich winnic przed 1939 r. i po 1945 r. były porównywalne. Początkowo władze PRL uprawę winorośli tolerowały. „W Zielonej Górze (w okresie największego rozkwitu było tu 42 ha winnic) działał Zarugiewicz, w rejonie centralnym, wokół Warki – Madej” – odnotowuje Włodarczyk. W Zielonej Górze i w Warce odbywały się nawet winobrania. Ale wystarczyły dwie mroźne zimy i jedna zaraza, by uprawiane w systemie komunistycznej gospodarki winnice zaczęły przynosić straty. Zapadła więc decyzja o ich likwidacji. Od końca lat 50. XX w. nastał czas win owocowych.

Sprawa na pokolenia

Tymczasem dziś okazuje się, że na wytwarzanym w Polsce winie gronowym jednak da się zarobić. Winiarze sprzedają swoją produkcję w restauracjach, hotelach, sklepach specjalistycznych. I twierdzą, że już się ono źle nie kojarzy, a nawet coraz częściej jest warte swojej ceny. – Przede wszystkim u nas nie produkuje się tak wielkich ilości, żeby nie dało się tego sprzedać. Poza tym jest moda i na wino, i także na polskie wino. Winnice stawiają na enoturystykę, czyli sprzedaż wina na miejscu. A pamiętajmy, że wino podane w enoturystyce jest dwukrotnie droższe niż to ze sklepów. To jest dziś najbardziej opłacalna forma sprzedaży polskiego wina – wyjaśnia Myśliwiec.

Według niego niedługo nadejdzie czas, że polskie winnice będą się musiały zderzyć z prawdziwym rynkiem. A wtedy ci, którzy robią kiepskie wino, albo nauczą się je dobrze produkować, albo odpadną z branży. Natomiast najlepsi wejdą na rynki zagraniczne i sobie na nich poradzą. – Jedno jest pewne – mówi Roman Myśliwiec – polskie winiarstwo zaistniało już na trwałe, choć budowanie jego tradycji to sprawa na pokolenia. ●

NAJLEPSZY BANK

2024

Do udziału zapraszamy
Banki Komercyjne
i Banki Spółdzielcze

Wyłonimy także
BANKOWEGO MENEDŻERA
ROKU 2023



Zgłoszenia przyjmujemy do **7 maja 2024 r.**

Więcej informacji na:

www.gb.pl/konkursy

ORGANIZATOR:

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PARTNER MERYTORYCZNY:

KEARNEY

STANISŁAW KOCZOT

zastępca redaktora naczelnego „Gazety Bankowej”

Nie brakuje nowych wyzwań

Udział banków w rozwoju polskiej gospodarki jest nie do przecenienia. Ich rola będzie rosła w miarę rosnących potrzeb naszego biznesu. Jeżeli wzrost gospodarczy będzie taki, jak zakłada tegoroczny budżet, sektor finansowy włączy kolejny bieg

Sektor bije rekordy, zyski rosną w szybkim tempie. W zeszłym roku jego wynik netto sięgnął 27,3 mld zł. Banki zarabiają krocie na odsetkach i dopóki stopy procentowe są wysokie, pewnie tak dalej będzie. Jeżeli jednak ruszą inwestycje – a nabiorą tempa, gdy np. stopy spadną – źródła zysku mogą się nieco zmienić. Czy będą to kredyty, finansowanie ambitnych projektów gospodarczych i wielkich programów rozwojowych? Zobaczmy. Na pewno bez mocnych krajowych banków gospodarka nie nabierze takiego impetu, jak powinna.

Tegoroczny konkurs bankowy rozgrywa się w takich właśnie realiach: z jednej strony są to dobre wyniki sektora, a z drugiej – duża doza niepewności. Funkcjonujemy w świecie, gdzie poziom ryzyka jest znacznie większy niż jeszcze kilka lat temu, i nie jest to stan przejściowy. Podwyższony stopień niepewności jest charakterystyczny dla globalnego świata finansów, Polska nie jest tu żadnym wyjątkiem. Mamy może kilka specyficznych elementów, odróżniających nas od reszty, np. ciągle obecny problem kredytów frankowych, ale nie jest to coś, co by nasz poziom ryzyka podnosiło szczególnie wysoko.

Jak sobie radzić w tym skomplikowanym i – co o wiele ważniejsze – dość nieprzewidywalnym świecie? Jak prowadzić bank – duży, średni, mały – by sprostać rosnącym oczekiwaniom klientów, nie wypaść z szalonego wyścigu technologicznego, oszacować wszelkie ryzyka biznesowe, społeczne, geopolityczne? Zadanie z pewnością nie jest łatwe. Czy pomaga w tym nowa technologia, a zwłaszcza sztuczna inteligencja? W wielu przypadkach na pewno tak, przede wszystkim w budowaniu relacji z klientami, w automatyzacji procesów wewnętrznych. W jednej z dwóch części konkursu – Najlepszy Bank 2024 – banki będą wypełniały ankiety (przygotowane dla banków komercyjnych i spółdzielczych przez agencję doradztwa strategicznego Kearney, od kilku lat partnera

merytorycznego konkursu), w których wiele z tych kwestii zostanie poruszonych. Odpowiedzi będą punktowane według ściśle określonych zasad, przeanalizowane przez Kearney, a na końcu ocenione przez Kapitułę. Procedura konkursowa pozwoli na wyłonienie najlepszych i najbardziej przyjaznych banków.

O co będą pytani uczestnicy konkursu? Na przykład o koszt wakacji kredytowych brutto w stosunku do portfela kredytów hipotecznych, wysokość rezerw z tytułu kredytów hipotecznych w walutach obcych, o wskaźnik NPS (Net Promoter Score) mierzący lojalność klientów, o architekturę IT czy wyznaczanie ryzyka ESG przy ocenie kredytowej.

W porównaniu z poprzednimi edycjami w obecnej – 32. – dodaliśmy pytania dotyczące sprzedaży krzyżowej (cross-sellingu), uszczegółowiliśmy kwestie związane z NPS, ponieważ akurat te dziedziny wydają się w obecnej rzeczywistości rynkowej szczególnie istotne.

Druga część konkursu – Bankowy Menedżer Roku 2023 – wyłoni, tak jak w poprzednich edycjach, najlepszego bankiera w grupie banków komercyjnych i spółdzielczych. Z grona nominowanych przez „Gazetę Bankową”, zwycięzców wybiorą banki biorące udział w konkursie i Kapituła. Przy tworzeniu listy nominowanych, których sylwetki publikujemy na kolejnych stronach, redakcja bierze pod uwagę takie kryteria jak skuteczność w zarządzaniu bankiem, dbanie o bezpieczeństwo powierzonych środków, wyniki finansowe, umiejętność kierowania zespołem, elastyczność i promowanie talentów. Z punktu widzenia „Gazety Bankowej”, do wyznaczników wybitnego menedżera należy także jego autorytet, uznanie lokalnego środowiska biznesowego, poszanowanie zasad etyki, przestrzeganie reguł zdrowej konkurencji, wrażliwość na potrzeby społeczne.

Z regulaminem konkursu Najlepszy Bank 2024 i Bankowy Menedżer Roku 2023 można się zapoznać na stronie www.gb.pl.

MENEDŻER
ROKU
2023
MIESIĘCZNIKA
GAZETA BANKOWA

Sylwetki nominowanych do tytułu Bankowy Menedżer Roku 2023 „Gazety Bankowej”

kategoria: Banki komercyjne



Brunon Bartkiewicz

prezes ING Banku Śląskiego

W strukturach ING, Banku Śląskiego i ING Banku Śląskiego funkcjonuje od 1991 r. Był dyrektorem generalnym ING Direct w centrali w Amsterdamie. W ING Bank N.V. zarządzał Pionem Międzynarodowej Bankowości Detalicznej ING, pełnił funkcję Chief Innovation Officer. Ukończył Wydział Handlu Zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie (obecnie Szkoła Główna Handlowa) oraz Graduate School of Business Stanford University (Stanford Executive Program). Jest członkiem Rady Nadzorczej Interhyp AG (Monachium), członkiem Rady Programowej Fundacji Liderów Biznesu, Rady Uczelni Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, Rady Związku Banków Polskich.

„Od lat budowaliśmy bank odporny na nieprzewidywalne wydarzenia oraz wstrząsy, a jednocześnie stabilny i utrzymujący wysoką jakość usług. Podstawą stabilności jest nasza strategia, którą zbudowaliśmy wokół potrzeb klientów, wspierania ich w podejmowaniu ważnych decyzji życiowych. To cele, na których koncentrujemy się niezależnie od warunków na rynku” – pisał Brunon Bartkiewicz w liście otwierającym sprawozdanie zarządu z działalności Grupy Kapitałowej ING Banku Śląskiego SA w 2023 r.

W 2023 r. ING Bank Śląski osiągnął 4 440,9 mln zł skonsolidowanego zysku netto w porównaniu z 1 714,4 mln zł w poprzednim roku. Zwrot z kapitału (ROE) wyniósł 22,9 proc. Bank utrzymuje łączny współczynnik kapitałowy na bezpiecznym poziomie 16,73 proc.



Joao Bras Jorge

prezes Banku Millennium

Absolwent studiów w zakresie zarządzania na Universidade Catolica Portuguesa, a także Zaawansowanego Programu Zarządzania PADE w ramach AESE. Karierę zawodową rozpoczął w roku 1990 jako makler giełdowy. W ciągu następnych 10 lat był związany z bankowością inwestycyjną, zasiadał także w Radzie Giełdy Lizbońskiej. Przed przyjazdem do Polski przez pięć lat zajmował stanowisko Kierującego Pionem Klientów Bankowości Detalicznej oraz Koordynatora Sieci Detalicznej Millennium bcp. Joao Bras Jorge pełni funkcję prezesa przez całą dekadę, u steru banku stoi w dobrych i trudnych czasach. W zarządzie Banku Millennium SA zasiada od 19 lipca 2006 r., a od 24 października 2013 r. jest jego prezesem.

W czwartym kwartale 2023 r. Grupa Kapitałowa Banku Millennium osiągnęła zysk netto w wysokości 115 mln zł. W całym roku 2023 zysk netto Grupy wyniósł 576 mln zł, a ROE – poziom 9 proc., przy uwzględnieniu średnich raportowanych kapitałów, co było bardzo pozytywnym osiągnięciem po dwuletnim okresie negatywnych wyników. Bank zapowiada wyjście z planu naprawy w 2024 r. Millennium polubownie rozwiązuje kwestie kredytów we frankach szwajcarskich. Liczba ugód zawartych do końca 2023 r. wyniosła 21,4 tys. (w 2023 r.: 3,7 tys.), co odpowiada 35 proc. liczby umów kredytowych aktywnych w momencie pełnego uruchomienia procesu ugód.

Joao Bras Jorge jest maratończykiem. Bierze udział, wraz z grupą biegaczy z Banku Millennium, w ważnych wydarzeniach sportowych, np. w Półmaratonie Warszawskim i w Biegu na Piątkę.



Michał Gajewski

prezes Santander Bank Polska



Michał Gajewski jest radcą prawnym, absolwentem Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Northwestern University w Chicago oraz London Business School. Od 1992 r. związany z sektorem bankowym. Między 1992 a 2008 rokiem pracował w Grupie Kapitałowej WBK SA, a następnie BZ WBK SA, zajmując wiele funkcji, począwszy od pracy w oddziale banku, poprzez funkcje zarządcze średniego i wyższego szczebla, aż do stanowiska członka zarządu Banku Zachodniego WBK SA, odpowiedzialnego za bankowość detaliczną. W latach 2008–2011 pełnił funkcję wiceprezesa zarządu w Banku BGŻ SA, gdzie był odpowiedzialny za biznes detaliczny, bankowość dla małych firm, SME oraz corporate. W 2012 r. rozpoczął pracę w Banku Millennium SA, gdzie w latach 2012–2015 był dyrektorem makroregionalnym w pionie bankowości detalicznej, następnie w roku 2015 został powołany na funkcję członka zarządu kierującego bankowością detaliczną. Na stanowisko prezesa Banku Zachodniego WBK (obecnie Santander Bank Polska) został powołany w 2016 r.

Santander Bank Polska wprowadza nową strategię biznesową na lata 2024–2026 „Pomagamy osiągać więcej”. Bank jest częścią globalnej Grupy Santander, wizja rozwoju jest zgodna z modelem grupy, ale działa lokalnie. „Dokonaliśmy przeglądu naszej strategii biznesowej. Stawiamy na budowanie najlepszych doświadczeń klientów i pracowników oraz pozytywne emocje we współpracy z bankiem. Strategia zakłada zintegrowane podejście Total Experience, przyjazną interesariuszom digitalizację oraz koncentrację na odpowiedzialnym biznesie” – pisał we wstępie do prezentacji wyników banku za 2023 rok Michał Gajewski.

Dochody banku w IV kw. 2023 r. wyniosły 4,1 mld zł, a w 2023 – 16 mld zł i wzrosły o 29 proc. w relacji rok do roku. Grupa Santander Bank Polska posiada silną pozycję kapitałową: współczynnik kapitałowy to 18,56 proc., a Tier1 – 17,18 proc.

Piotr Kowynia

prezes Nest Banku



Zsektorem finansowym związany jest od ponad 20 lat. Ukończył studia matematyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Management TM ICAN Institute. W latach 2001–2009 zarządzał obszarem ryzyka w Fortis Banku – najpierw jako dyrektor Departamentu Ryzyka, potem jako dyrektor Pionu Ryzyka. Następnie przez ponad 10 lat związany był z Raiffeisen Bank Polska, gdzie pełnił funkcję dyrektora Departamentu Zarządzania Ryzykiem. Odpowiadał m.in. za stworzenie i wdrożenie Polityki Zarządzania Ryzykiem na poziomie całego Raiffeisen Bank Polska. W 2019 r. został powołany na członka zarządu Nest Banku, a od 2020 r. pełnił funkcję pierwszego wiceprezesa. Od listopada 2021 r. jest prezesem Nest Banku.

Bank konsekwentnie poszerza ofertę dla biznesu, buduje solidną bazę klientów związanych z przedsiębiorczością. Kieruje swoją ofertę przede wszystkim do mikroprzedsiębiorców oraz do małych i średnich firm. W rozmowie z Business Insider w połowie zeszłego roku Piotr Kowynia mówił, że w Polsce jest miejsce także dla małego banku, o ile ma dobry pomysł na biznes, „stawia na wysoką jakość produktów, wykorzystuje przewagi technologiczne i potrafi szybko wprowadzać innowacje”. Ostatnie osiągnięcie Nest Banku to wprowadzenie wirtualnego asystenta, zasilanego sztuczną inteligencją, opartą na modelu GPT-4. Wśród dostępnych produktów i usług banku znaleźć można bankowość transakcyjną, czyli np. konta, lokaty i wymianę walut, szeroką ofertę płatności mobilnych, a także kredyty dla firm.

Piotr Kwiatkowski

prezes Credit Agricole Bank Polska



Piotr Kwiatkowski od 2007 r. jest związany z Credit Agricole. Od 2013 r. pełnił funkcję wiceprezesa, odpowiadając m.in. za bankowość korporacyjną, inwestycyjną, rynki kapitałowe oraz analizy makroekonomiczne. Wcześniej Piotr Kwiatkowski, w roli dyrektora generalnego, zarządzał Credit Agricole Corporate and Investment Bank Oddział w Polsce. Był również członkiem Rady Nadzorczej Credit Agricole Bank Polska. W branży bankowej pracuje od ponad 20 lat, w swojej karierze był również dyrektorem biura kredytów w Banku Handlowym (dziś City Bank Handlowy), a także kierował m.in. departamentem finansowania strukturalnego i handlu oraz segmentem strategicznych klientów korporacyjnych w Pekao SA. Piotr Kwiatkowski jest absolwentem Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Warszawskiego oraz doktorem nauk ekonomicznych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie.

Bank kierowany przez Piotra Kwiatkowskiego należy do liderów działań proekologicznych w Polsce i za granicą. W tym roku ponownie przystąpił do partnerstwa w programie Climate Positive, United Nations Global Compact Network Poland. Realizuje on cele proklimatyczne, które wynikają z 10 Zasad Global Compact oraz Celów Zrównoważonego Rozwoju ONZ.

Bank bierze udział w licznych akcjach edukacyjnych, promuje wiedzę o biznesie, wspiera innowacyjne przedsięwzięcia. Był patronem konkursu „Change It – impactful innovation challenge”, zorganizowanego przez Uniwersytet SWPS i Politechnikę Wrocławską, w którym studenckie start-upy otrzymały nagrody za najlepsze innowacje społeczne. Pierwsze miejsce zdobył projekt rękawicy przeznaczonej do stymulacji uciskowej dla dzieci ze spektrum autyzmu.



Sylwetki nominowanych do tytułu Bankowy Menedżer Roku 2023 „Gazety Bankowej”

kategoria: Banki spółdzielcze



Barbara Borowska

prezes Banku Spółdzielczego w Gnieźnie



Absolwentka Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu i Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Od 1988 r. związana z bankowością spółdzielczą. Rozpocząła pracę na stanowiskach obsługi klienta, poznając zakres usług świadczonych przez bank. Barbara Borowska przeszła kolejno przez stanowiska związane z ryzykami i finansami. W 2003 r. została powołana do zarządu Banku Spółdzielczego w Gnieźnie w randze wiceprezesa. Odpowiadała za pion finansów i ryzyk. Kontynuując pracę, ukończyła studia podyplomowe z Zarządzania Ryzykami w Banku oraz Zarządzania Bankiem.

Od stycznia 2017 r. kieruje Bankiem Spółdzielczym w Gnieźnie, którego suma bilansowa obecnie przekracza 900 mln zł, posiada 12 placówek, zatrudnia około 130 pracowników. Bank wypracował silną pozycję na rynku lokalnym i w sektorze banków spółdzielczych.

Barbara Borowska jest ponadto przewodniczącą Rady Nadzorczej Systemu Ochrony SGB oraz zastępcą przewodniczącej Rady Nadzorczej Związku Rewizyjnego Banków Spółdzielczych w Poznaniu.

Tomasz Klimecki

prezes Rejonowego Banku Spółdzielczego w Lututowie



Absolwent Politechniki Łódzkiej na Wydziale Organizacji i Zarządzania. Ukończył sześć kierunków studiów podyplomowych w zakresie bankowości, matematyki oraz ryzyk bankowych. W ciągu ostatnich 10 lat odbył wiele szkoleń dotyczących zarządzania bankiem, zarządzania zasobami ludzkimi, zarządzania ryzykiem, działalności handlowej, planowania strategicznego, kontroli wewnętrznej w banku spółdzielczym. Pracę w Rejonowym Banku Spółdzielczym w Lututowie rozpoczął we wrześniu 2005 r. jako stażysta. Przez kolejne sześć lat zdobywał doświadczenie zawodowe na stanowisku doradcy klienta, doradcy kredytowego.

Od 2011 r. pełnił przez trzy lata obowiązki dyrektora oddziału w Wieluniu. 26 września 2014 r. powołany został na stanowisko członka zarządu banku ds. handlu, a od października 2018 r. pełnił funkcję wiceprezesa ds. handlu. W ostatnim czasie, tj. od stycznia 2021 r., został powołany na stanowisko wiceprezesa pełniącego obowiązki prezesa zarządu Rejonowego Banku Spółdzielczego w Lututowie, natomiast 10 czerwca 2021 r. został jego prezesem. Tomasz Klimecki to sprawny menedżer, otwarty na nowe wyzwania i doświadczenia, nastawiony na rozwój. Z zamiłowania, od 30 lat, rolnik.

Bank jest bardzo aktywny w swoim środowisku lokalnym, promuje edukację i wiedzę o finansach. Stworzył innowacyjną aplikację Nasz Bank Junior, z myślą o najmłodszych, która wprowadza dzieci poniżej 13. roku życia w świat finansów w bezpieczny i przyjazny sposób. W kwietniu tego roku ruszył z konkursem „Olimpiada wiedzy o Rejonowym Banku Spółdzielczym w Lututowie”. Konkurs prowadzony jest w szkołach podstawowych z terenu działania banku, tj. powiatu wieruszowskiego, wieluńskiego, sieradzkiego, ostrzeszowskiego oraz łęczyckiego, które przystąpiły do elektronicznego SKO.

Michał Król

prezes Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie



Menedżer bankowy z ponad 20-letnim doświadczeniem zawodowym, w tym 14-letnim na stanowisku prezesa Mikołowskiego Banku Spółdzielczego w Mikołowie. Dzięki wdrożeniu autorskiego modelu biznesowego rozwinął zarządzany bank ze średniego do największego na Śląsku i jednego z największych w Polsce. Wielkość Mikołowskiego Banku Spółdzielczego, mierzona sumą bilansową według danych finansowych w IV kwartale 2023 r., oscyluje na poziomie 2 mld zł. W efekcie MBS plasuje się na drugim miejscu pod względem wielkości, w zrzeszeniu polskich banków spółdzielczych, tj. w grupie BPS SA. Z dobrym skutkiem kierował trzema procesami łączeniowymi (przejęć) MBS z mniejszymi bankami spółdzielczymi.

Oprócz pracy zawodowej Michał Król angażuje się społecznie w działalność rozwojową sektora banków spółdzielczych, aktywnie uczestnicząc w wielu gremiach ogólnospółdzielczych w Polsce oraz Europie. Posiada tytuł doktora nauk ekonomicznych, przyznany przez Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach. Był m.in. członkiem grupy opracowującej projekt umowy systemu ochrony w Zrzeszeniu BPS w Warszawie, przewodniczącym zespołu do opracowania założeń do strategii Zrzeszenia, członkiem zespołów roboczych przy Europejskim Stowarzyszeniu Banków Spółdzielczych EACB (European Association of Co-operative Banks) z ramienia KZBS. W tym roku uzyskał tytuł Wybitnego Absolwenta Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach. Autor wielu publikacji naukowych, uczestnik licznych konferencji i wykładów poświęconych finansom oraz bankowości spółdzielczej.

Aleksander Mikołajczak

prezes Banku Spółdzielczego w Brodnicy



Absolwent Wydziału Nauk Ekonomicznych na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ukończył także studia podyplomowe Bankowość i Finanse na Wydziale Zarządzania na Uniwersytecie Gdańskim oraz studia podyplomowe Regulacje i Nadzór Bankowy w Polsce i Unii Europejskiej w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Ponadto uczestniczył w wielu profesjonalnych branżowych i menedżerskich programach rozwojowych organizowanych m.in. przez Euro-Polish Finance Corporation LTD London, Gdańską Akademię Bankową, Gdańską Fundację Kształcenia Menedżerów, ZRBS w Poznaniu, Fundację Rozwoju Bankowości Spółdzielczej czy BODiE.

Aleksander Mikołajczak jest związany z bankowością od ponad 30 lat, a z sektorem bankowości spółdzielczej – od 21 lat. W latach 1992–1999 był dyrektorem Oddziału Banku Gdańskiego w Chełmnie, a następnie – w wyniku reorganizacji w BIG Banku Gdańskim SA – dyrektorem Oddziałów Bankowości Przedsiębiorstw w Chełmnie i Świeciu. Od kwietnia 2003 r. pracuje w Banku Spółdzielczym w Brodnicy na stanowisku dyrektora Oddziału w Świeciu, skutecznie budując pozycję Banku na nowym rynku. W październiku 2011 r. został powołany na stanowisko wiceprezesa zarządu BS Brodnica odpowiedzialnego za Pion Finansowy. Od 1 kwietnia 2018 r. p.o. prezesa zarządu, a od 15 stycznia 2019 r. – po otrzymaniu pozytywnej decyzji Komisji Nadzoru Finansowego – prezes Banku Spółdzielczego w Brodnicy.

Pod jego kierownictwem w BS Brodnica przeprowadzona została reorganizacja Banku skutkująca ugruntowaniem pozycji na rynku usług finansowych. Odznaczony Srebrnym oraz Złotym Krzyżem Zasługi. W 2012 r. wyróżniony został również przez Bank Polskiej Spółdzielczości SA w Warszawie Diamentowym Odznaczeniem za Zasługi dla Bankowości Spółdzielczej, a w roku 2023 – Złotą Honorową Odznaką im. Franciszka Stefczyka za Zasługi dla Spółdzielczości Bankowej przyznaną przez Krajowy Związek Banków Spółdzielczych.

Katarzyna Siemaszko

prezes Warmińskiego Banku Spółdzielczego z siedzibą w Jonkowie



Ukończyła Wydział Ekonomiczny na Uniwersytecie Gdańskim, a także studia podyplomowe w zakresie zarządzania ryzykiem w banku i zarządzania bankiem. Posiada tytuł Dyplomowanego Pracownika Bankowego. Jej kariera zawodowa jest związana zarówno z bankowością spółdzielczą, jak i komercyjną (była referentem, inspektorem, inspektorem ekonomicznym, starszym specjalistą, naczelnikiem wydziału, ekspertem, dyrektorem oddziału, doradcą zarządu, wiceprezesem zarządu, p.o. prezesa zarządu i finalnie prezesem zarządu). Pracowała w Banku Gdańskim SA, w Powszechnym Banku Kredytowym SA, Banku Polskiej Spółdzielczości SA, w Banku Gospodarstwa Krajowego, a od listopada 2017 r. – w Warmińskim Banku Spółdzielczym z siedzibą w Jonkowie.

Przez kilka kadencji była biegłym sądowym przy Sądzie Okręgowym w Olsztynie. Dzieliła się swoją wiedzą i doświadczeniem z innymi instytucjami. W tym okresie napisała kilkadziesiąt opinii i ekspertyz dla policji, prokuratury oraz sądów. Za swoje zasługi oraz doświadczenie w Banku Polskiej Spółdzielczości SA została wyróżniona dwoma medalami Zasłużony dla Bankowości Spółdzielczej. W 2023 r. została wybrana na przewodniczącą Komisji Etyki Zrzeszenia Banku BPS SA.

Katarzyna Siemaszko, zarządzając Warmińskim Bankiem Spółdzielczym z siedzibą w Jonkowie, prowadzi politykę innowacyjnych rozwiązań systemowych, wdraża nowoczesne formy bankowości elektronicznej i mobilnej oraz stale poszerza ofertę produktową. Aktualnie bank wdrożył nowy system finansowo-księgowy oraz pracuje nad automatyzacją procesów handlowych. Katarzyna Siemaszko dba o systematyczny i efektywny wzrost kompetencji współpracowników i dobre relacje w banku.

sk

STANISŁAW KOCZOT

zastępca redaktora naczelnego
„Gazety Bankowej”

Fed rządzi

Ataku Iranu na Izrael można się było spodziewać, o czym rynki wiedziały doskonale. Przewidziały nawet dzień, w którym ma to nastąpić: weekend 13–14 kwietnia, w środku nocy. Być może czas przeprowadzenia tej operacji – gdy rynki pracują na ćwierć obrotu – spowodował i to, że w poniedziałek, po irańskiej akcji, giełdy były w miarę spokojne. Wojownicze zapowiedzi rządu Izraela trochę podgrzały atmosferę, ale nie wiadomo, co bardziej niepokoiło inwestorów – groźby wobec Teheranu czy oddalające się obniżki stóp przez Rezerwę Federalną.

Wyobraźmy sobie, że irański atak na Izrael następuje w środku tygodnia, gdy pracują wszystkie giełdy, handluje się walutami i złotem, agencje informacyjne działają na pełnych obrotach, tak samo jak sieci społecznościowe. Przedsnak tego, co mogłoby się wydarzyć, mieliśmy w piątek, dzień przed atakiem, gdy rynek aż huczał od plotek, indeksy giełdowe na Wall Street nurkowały, dolar w relacji do głównych walut wspinał się na szczyty, ceny złota po raz pierwszy w historii przekroczyły 2 430 dol. za uncję. Teraz pomnożmy te reakcje przez trzy, a może cztery...

Irański atak na Izrael był pod każdym względem ogromny. Zniszczenia mogły być katastrofalne. Teheran wystrzelił ponad 170 dronów wyposażonych w materiały wybuchowe, około 120 rakiet balistycznych i niemal 30 rakiet manewrujących. Jak się okazało, prawie wszystkie zostały przechwycone. Z pewnością to zasługa dobrej koordynacji sił sojuszników Izraela, nie tylko Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, lecz również państw arabskich. To także efekt tego, że o tym, iż akcja nastąpi, było wiadomo dużo wcześniej, praktycznie od ataku Izraela na irański konsulat w Damaszku.

Wydawać by się mogło, że wojna praktycznie nic nie zmieniła ani w walczących ze sobą państwach, ani na rynkach, które na razie potraktowały ją jak epizod, bez większych konsekwencji dla regionalnego, a tym bardziej globalnego porządku. Zachowanie status quo bez przechyłu ani w jedną, ani w drugą stronę podoba się rynkowi, bo gwarantuje

przewidywalność, o którą we współczesnej rzeczywistości jest coraz trudniej. Pojawiły się nawet opinie, że strach, który rządził giełdami przed irańskim atakiem, znalazł wreszcie swoje ujście, a to otwiera drogę do kolejnych wzrostów. Na taki paradoks zwrócili uwagę analitycy Citi, którzy nalot irańskich rakiet i dronów na Izrael oraz niewielki efekt tej operacji nazwali czymś w rodzaju przesilenia, które może zaowocować przyływem inwestycyjnego entuzjazmu. Oczywiście Citi ostrzega przed taką postawą, bo tak naprawdę nic nie jest jeszcze zakończone, a Bliski Wschód to beczka prochu, na której siedzą żądni odwetu politycy. I jedynie siła sugestii Stanów Zjednoczonych powstrzymuje ich przed rozkręceniem piekła wojny na pełną skalę.

Takie są realia geopolityczne, o których muszą pamiętać inwestorzy, niezależnie od tego, czy działają na rynkach akcji, handlują obligacjami, ropą czy złotem. Każdy z tych obszarów jest narażony na ryzyko rozkręcenia konfliktu – czy to na Bliskim Wschodzie, czy – co też jest mocno prawdopodobne i być może wyceniane już w notowaniach złota – na Tajwanie. Ten drugi konflikt tli się od dłuższego czasu, a jego skutki, gdyby doszło do eskalacji, mogą być o wiele bardziej dramatyczne niż starcie Izraela z Iranem.

Co wydaje się jednak kluczowe w sugestiach Citi, to nie tylko ryzyko zaostrzenia konfliktu między Iranem a Izraelem (nad którym – jak pokazała sobota i niedziela 13 i 14 kwietnia – siły sojuszników są w stanie zapanować), lecz także napięcia na rynku finansowym, wynikające z polityki stóp procentowych Fed i wysokiego kosztu pieniądza. Z punktu widzenia inwestorów to one mogą być realnym źródłem kłopotów. Otóż City, analizując konsekwencje irańskiego ataku, zwrócił uwagę na zbliżający się sezon wyników spółek. Sugestia była taka, że trudne otoczenie gospodarcze może odcisnąć na nich silne piętno.

Czy tak będzie w rzeczywistości? Problemy Apple'a czy Tesli wskazywałyby, że tak. Jednak bardziej ogólna konkluzja może być taka, że inwestorzy muszą pamiętać, gdzie bije centrum finansowe świata, od którego zależy jego być albo nie być. Otóż bije ono nie na pustyniach Bliskiego Wschodu i nie na szczytach Elbrusu, ale na Wall Street. ●



Konkursy Technologiczne Gazety Bankowej

Techno**Biznes** 2024



Konkurs **HIT ROKU** 2024

Dla kogo:

skierowany do firm tworzących oprogramowania, aplikacje i systemy bezpieczeństwa (w tym tzw. insurtechy i fintechy)

Cel konkursu:

wyłonienie oraz promowanie rozwiązań, produktów i usług z obszaru nowoczesnych i innowacyjnych technologii



Konkurs **LIDER** 2023

Dla kogo:

skierowany do wszystkich, którzy wdrożyli u siebie rozwiązania technologiczne poprawiające bezpieczeństwo i funkcjonowanie firmy

Cel konkursu:

wyłonienie oraz promowanie firm i instytucji, które wdrożyły rozwiązania w obszarze nowoczesnych i innowacyjnych technologii

Kategorie konkursów

Gospodarka 4.0

**Ubezpieczenia i inne
usługi finansowe**

Bankowość

Wyniki konkursu w czerwcu!
Więcej informacji na: www.gb.pl/konkursy

NBP będzie zwiększać rezerwy złota

Narodowy Bank Polski będzie zwiększać rezerwy złota w tym i przyszłym roku do 20 proc. – poinformowała wiceprezes NBP i pierwsza zastępca prezesa Marta Kightley. „Zmienialiśmy w zeszłym roku proporcje naszych rezerw. Nasze rezerwy są inwestowane w złoto i inwestowane w siedem walut rezerwowych. Na przestrzeni zeszłego roku zwiększaliśmy nasze rezerwy w złocie do 13 proc. Zarząd Narodowego Banku Polskiego (NBP) podjął decyzję, by na przestrzeni tego roku i przyszłego zwiększyć rezerwy w złocie do 20 proc.” – powiedziała Kightley w sejmie. Ilość złota wchodzącego w skład rezerw walutowych NBP wyniosła 11,532 mln uncji na koniec lutego br.

27 639

mln zł

wyniósł w 2023 r. wynik finansowy netto banków, co oznacza wzrost o 160,5 proc. w stosunku do roku 2022. Suma bilansowa banków ogółem w końcu 2023 r. była wyższa niż rok wcześniej o 10,3 proc. i wyniosła 2 994,79 mld zł. Na wynik finansowy netto sektora bankowego w 2023 r. złożyły się zyski netto na kwotę 38,4 mld zł wypracowane przez 541 banków (50 komercyjnych i 491 spółdzielczych) oraz straty netto o wartości 10,7 mld zł poniesione przez 14 banków (13 komercyjnych, w tym 8 oddziałów instytucji kredytowych, oraz 1 spółdzielczy).

Źródło: Główny Urząd Statystyczny

O 66,9 proc. wzrósł wynik finansowy zakładów ubezpieczeń

Lączny wynik finansowy netto zakładów ubezpieczeń wyniósł 9 499,2 mln zł i był wyższy o 66,9 proc. niż w 2022 r. – podał Główny Urząd Statystyczny. W 2023 r. składki przypisane brutto ogółem wyniosły 78 889 mln zł (wzrost o 9,1 proc. w porównaniu z 2022 r.), z czego 22 847,8 mln zł stanowiła składka działu I, a 56 041,2 mln zł składka działu II. Odszkodowania i świadczenia wypłacone brutto ogółem w 2023 r. wyniosły 44 239,4 mln zł i były o 0,3 proc. niższe niż w 2022 r. Suma bilansowa zakładów ubezpieczeń ogółem na koniec grudnia 2023 r. wyniosła 218 093 mln zł (wzrost w skali roku o 11,0 proc.), z tego na dział I przypadało 89 368,4 mln zł, a na dział II 128 724,6 mln zł.

Artur Olech nowym prezesem zarządu PZU SA

Rada nadzorcza Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń (PZU) powołała w skład zarządu PZU SA Artura Olecha, powierzając mu funkcję prezesa zarządu pod warunkiem uzyskania zgody Komisji Nadzoru Finansowego. Do czasu uzyskania zgody powierzyła Olechowi pełnienie obowiązków prezesa zarządu w zakresie dopuszczalnym przez stosowne przepisy – podał 28 marca ubezpieczyciel. Ponadto RN powołała w skład zarządu jako członków zarządu: Bartosza Grześkowiaka, Elżbietę Häuser-Schöneich i Jana Zimowicza. Artur Olech od ponad 30 lat jest menedżerem związanym z branżą finansową i ubezpieczeniową. Absolwent Wydziału Prawa na Uniwersytecie Warszawskim oraz Wydziału Finansów i Bankowości Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Współtwórca fintechów i insurtechów. Wieloletni prezes zarządu instytucji finansowych. Związany z rynkiem ubezpieczeniowym m.in. zarówno w domenie prywatnej, jak i publicznej – napisano w biografii. Wiele lat związany z Grupą Generali. W latach 2010–2014 pełnił funkcję lidera zarządu Grupy Generali w Polsce. W roku 2014 stworzył i poprowadził Ubezpieczenia Pocztowe w ramach Grupy Poczta Polska. W 2016 r. wraz z zespołem menedżerów założył swoją pierwszą spółkę na rynku fintech – hiPRO. W 2020 r. założył w Polsce tzw. ubezpieczyciela cyfrowego – spółkę HPI GMA.

44,2 mld zł

wynoszą zaległości konsumentów w Polsce, a średnie zadłużenie przypadające na osobę sięga 20,6 tys. zł. Najmocniej obciążeni niezapłaconymi rachunkami są konsumenci, którzy mają 36–65 lat. Ich konto obciąża 34,6 mld zł nieuregulowanych zobowiązań.

Źródło: Krajowy Rejestr Długów

GK GPW – 14,3 proc. wzrostu przychodów w 2023 r.

Gielda Papierów Wartościowych w Warszawie (GPW) odnotowała 156 mln zł skonsolidowanego zysku netto przypisanego akcjonariuszom jednostki dominującej w 2023 r. wobec 144,96 mln zł zysku rok wcześniej.

Zysk operacyjny wyniósł 127,97 mln zł wobec 130,59 mln zł zysku rok wcześniej. Zysk EBITDA wyniósł 160,23 mln zł wobec 167,42 mln zł zysku w tym ujęciu rok wcześniej.

Skonsolidowane przychody ze sprzedaży sięgnęły 444,93 mln zł w 2023 r. wobec 389,27 mln zł rok wcześniej.

„Wyniki finansowe GK GPW za 2023 r. są obarczone kosztami wielu inicjatyw strategicznych, których zakładane efekty przychodowe jeszcze się nie zrealizowały. Pomimo wzrostu przychodów GK GPW o 14,3 proc., do 444,9 mln zł, nastąpił spadek EBITDA o 4,3 proc., do poziomu 160,2 mln zł. Wskaźnik koszty/przychody w GK GPW wzrósł do 71,8 proc. w 2023 r. z 65,5 proc. w 2022 r. Dołożę starań, aby w 2024 r. i w kolejnych latach wskaźnik koszty/przychody w biznesie podstawowym oraz w całej GK GPW znacząco się zmniejszała” – komentuje prezes GPW Tomasz Bardziłowski. 27 marca Komisja Nadzoru Finansowego wyraziła zgodę na powołanie Tomasza Bardziłowskiego na stanowisko Prezesa Zarządu Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, które nastąpiło 5 lutego br. na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu GPW. 29 marca 2024 r. Tomasz Bardziłowski formalnie rozpoczął pełnienie funkcji prezesa GPW.

187,75

mld euro

wyniosły oficjalne aktywa rezerwowe w marcu 2024 r. – podał Narodowy Bank Polski (NBP). W ujęciu rocznym odnotowano wzrost o 20 proc. r/r (i wzrost o 8,4 proc. w ujęciu miesięcznym). Liczone w złotych aktywa rezerwowe wyniosły 807,49 mld zł (wobec 748,28 mld zł miesiąc wcześniej i 731,43 mld zł rok wcześniej).

Bartosz Kublik pokieruje BOŚ

Rada nadzorcza Banku Ochrony Środowiska (BOŚ) na posiedzeniu w dniu 3 kwietnia 2024 r. odwołała ze składu zarządu wiceprezesa – pierwszego zastępcę prezesa zarządu Arkadiusza Garbarczyka, oraz powołała w skład zarządu Bartosza Krzysztofa Kublika na stanowisko wiceprezesa zarządu banku, powierzając mu kierowanie pracami zarządu banku, a także Tomasza Jodłowskiego, Kamila Kuźmińskiego, Krzysztofa Łabowskiego i Michała Patryka Należytego na stanowiska wiceprezesów zarządu. Jednocześnie rada powołała Kublika na stanowisko prezesa zarządu pod warunkiem wyrażenia zgody przez Komisję Nadzoru Finansowego z dniem wydania tej zgody.

19,1 proc.

wzrósł w skali roku zysk netto sektora bankowego w okresie styczeń–luty 2023 r. i wyniósł 7,31 mld zł. Po styczniu br. zysk netto sektora wynosił 3,71 mld zł – poinformował Narodowy Bank Polski.

Druga kadencja w PAN

Prof. Gertruda Uścińska została wybrana na kolejną kadencję na stanowisku Przewodniczącej Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej Polskiej Akademii Nauk.

Prof. Gertruda Uścińska jest kierownikiem Zakładu Zabezpieczenia Społecznego w Instytucie Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, profesorem w Zakładzie Prawa Pracy i Zabezpieczenia Społecznego Instytutu Pracy i Spraw Socjalnych, autorką wielu publikacji z zakresu polityki społecznej, zabezpieczenia społecznego, ubezpieczenia społecznego, prawa europejskiego. W latach 2016–2024 kierowała Zakładem Ubezpieczeń Społecznych. Jest laureatką nagrody przyznawanej przez „Gazetę Bankową” – Polski Kompas 2022.

VeloBank sprzedany

Amerykański fundusz Cerberus Capital Management, L.P. podpisał przedwstępną umowę nabycia 100 proc. akcji VeloBanku, oferując łączną kwotę inwestycji w wysokości 1 075 mln zł, na które składa się 375 mln zł ceny nabycia akcji i 700 mln zł dokapitalizowania w celu spełnienia regulacyjnych wymogów kapitałowych banku – podał 2 kwietnia Bankowy Fundusz Gwarancyjny, który jako większościowy akcjonariusz prowadził negocjacje z nabywcą. Finalizacja transakcji jest uzależniona od uzyskania przez Cerberus wszystkich niezbędnych zgód regulacyjnych, m.in. od Komisji Europejskiej oraz Komisji Nadzoru Finansowego, i spodziewana jest w połowie 2024 r. Po zamknięciu transakcji VeloBank przestanie być instytucją pomostową i w związku z tym nie będzie już podlegał żadnym ograniczeniom działalności nałożonym przez Komisję Europejską. Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju (EBOR) oraz Międzynarodowa Korporacja Finansowa (IFC, część Grupy Banku Światowego) również uzyskały zgodę na rozważenie potencjalnego zaangażowania kapitałowego w banku. Sprzedaż VeloBanku zakończy przymusową restrukturyzację Getin Noble Banku według rozwiązań resolution.

Jak domek z kart

Kwiecień przyniósł niespotykane temperatury, więc nic dziwnego, że przyroda dosłownie oszalała. Wszystko zaczęło kwitnąć przed swoim czasem i nagle znaleźliśmy się jakby u progu lata. Niesamowita energia, której dawkę otrzymaliśmy, powinna dać nam w maju impet do działania.

Jednak sytuacja międzynarodowa komplikuje się na tyle, że w odczuciu wielu osób należy bardzo ostrożnie snuć i tym bardziej realizować swoje zamierzenia. To, że siedzimy na becze prochu i że do tego się przyzwyczailiśmy, jest nam wiadome od rozpoczęcia ataku na Ukrainę. Do tego doszła przybierająca różne postacie coraz ostrzejsza konfrontacja między Chinami i Ameryką, której celem jest globalne przywództwo. Nastąpiła też gwałtowna eskalacja konfliktu na Bliskim Wschodzie. Te groźne wydarzenia nie mają znaczenia lokalnego czy regionalnego, mogą bowiem doprowadzić do wciągnięcia wszystkich państw w wir wojny globalnej. Zasada jest taka: gdy jedna ze stron konfliktu zaczyna słabnąć, nagle mało widoczna oś sojuszników tworzy zdecydowaną koalicję jawnie współdziałającą w obaleniu drugiej strony. Wewnętrzny rozłam społeczeństwa amerykańskiego, którego efektem jest niemożność wykreowania silnego, nowego przywództwa, doprowadza do złamania Pax Americana.

Wszystko może się zawalić jak domek z kart. Nic więc dziwnego, że w corocznym, obszernym – bo 60-stronicowym – liście do akcjonariuszy Jamie Dimon, najpotężniejszy bankier Ameryki, dyrektor generalny JP Morgan Chase, napisał coś, co w normalnej sytuacji międzynarodowej byłoby jedynie propagandowym sloganem, ale teraz nabiera dramatyzmu. Dimon podaje: „Globalne przywództwo Ameryki jest kwestionowane z zewnątrz przez inne narody, a od wewnątrz przez nasz spolaryzowany elektorat. Musimy znaleźć sposoby na przezwyciężenie naszych różnic i współpracę z innymi narodami Zachodu w imię demokracji. W czasach wielkiego kryzysu niezwykle ważne jest, abyśmy zjednoczyli się, by chronić nasze podstawowe wolności, w tym wolną gospodarkę”. Świat widziany od strony amerykańskiego bankowca wyraźnie cechują trzy niepokojące zjawiska: konieczność remilitaryzacji, wzrastające wydatki na realizację zielonej infrastruktury oraz dramatyczny wzrost zadłużenia, i to nie tylko USA. Przy czym jego niszczące skutki dla gospodarki i społeczeństw coraz trudniej zneutralizować przez nowe pomysły emisji finansowych. Dlatego

PROF. GRZEGORZ SZULCZEWSKI

profesor SGH w Warszawie,
członek Zespołu Etyki Biznesu przy
Towarzystwie Naukowym Prakseologii



jest on większym pesymistą niż prognostycy głoszący, że Stanom Zjednoczonym jednak uda się miękkie lądowanie i utrzymanie w ryzach inflacji oraz obniżenie stóp procentowych przez Fed. Mimo to stwierdza, że Ameryka nie ma innego wyjścia jak obrona globalnego przywództwa, i ostrzega, że jeśli temu wyzwaniu nie sprostą, to m.in. Chiny zawładną Europą.

Przenosząc się na Stary Kontynent, warto uwzględnić przy tworzeniu i zamiarach realizacji własnych planów głos zasłużonego dla Szwajcarii bankowca Blaise'a Goetschina, odchodzącego na emeryturę szefa Banku Kantonalnego Genewy. Przez wiele lat kierował on działami inwestycyjnymi banku Crédit Suisse. Właśnie o upadku tego banku wypowiedział się w jednym z późniejszych wywiadów. Według niego to wydarzenie ma dla bankowości znaczące konsekwencje. Było ono szokiem dla zagranicznych inwestorów, którzy do dzisiaj nie mogą pojąć, że drugi co do wielkości bank szwajcarski może upaść, i to tak szybko. Jak powiedział Goetschin: „Ucierpiała międzynarodowa reputacja Szwajcarii”. Zwraca więc uwagę, że w tych nad wyraz niepewnych czasach nawet takie twierdzenie solidnej – wydawałoby się – bankowości jak banki szwajcarskie mogą nie dać rady utrzymać swych pozycji na rozchwanianym rynku finansowym. Do niebezpieczeństw, jakie bankowiec widzi po tej stronie oceanu, dodaje jeszcze jedno. Jak zauważa: „Gospodarka stała się bardziej skomplikowana. Jeśli przeprowadzisz ankietę na temat umorzonych przez CS obligacji ATI – kto może ci dokładnie powiedzieć, jakie to instrumenty? Albo dlaczego Narodowy Bank Szwajcarii wprowadził wówczas ujemne stopy procentowe? Z drugiej strony ograniczono nauczanie ekonomii w szkołach, a media rzadziej donoszą o takich pojęciach jak rachunkowość narodowa. W przeszłości duża część ludności pracowała w rolnictwie i małych przedsiębiorstwach. Dzięki swojej codzienności zapoznała się z rachunkiem zysków i strat. Z własnego doświadczenia wiedziała, że dochody muszą przewyższać wydatki. Obecnie wielu nie rozumie już tych podstawowych pojęć. Trudno im czytać nawet wyciągi z własnych funduszy emerytalnych. Tworzy się w ten sposób mimowolna elita ludzi rozumiejących kontekst, podczas gdy społeczeństwo nie jest już w stanie samodzielnie oceniać gospodarki”. Rośnie więc asymetria informacyjna i ona też stwarza pokusę różnych nadużyć w stosunku do klienta.

Miejmy jednak nadzieję, że rozwój sytuacji, w tym politycznej, nie zaszkodzi do końca podejmowaniu rozsądnych decyzji w bankowości. Maj jest bowiem czasem spożytkowania wiosennej dawki energii. ●

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

W CENTRUM WYDARZEŃ

LIVE!

CODZIENNIE OD 8:00

» Informacje » Komentarze » Analizy



OGLĄDAJ NAS 

polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat

NA POZYCJI

196

N E T I A

NA POZYCJI

192


orange™

NA POZYCJI

32

 **vectra**

NA POZYCJI

825

PLAY
dawniej UPC

NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

www.wPolsce.pl



**Na wymagającym
ryнку pomagamy
obrać właściwy
kierunek transformacji!**

KEARNEY

www. Kearney.com